

M.S.
L.W.
w Łodzi

Łódź



tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 17 (1270) ROK XXV

30 LIPCA 1982 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Trochę statystyki
- Było o wsi głośno
- Przekrój
- Aferzysta
- Opowiadanie SF

Mortadela story

DARIUSZ DOROŻYNSKI

Ktoś kiedyś na mądrej naradzie powiedział wprost: gdybyśmy mieli w tym kraju przeciętnie jedną świnię na głowę mieszkańca — nie byłoby kłopotów z żywnością. Choć zawsze zapewne będzie to w sferze marzeń, to jednak jeszcze w latach 1974—1975 nie mieliśmy większych problemów z zapewnieniem odpowiednich ilości mięsnego surowca dla rzeźni. Mięso było tanie, około 40 procent więcej niż obecnie trafiało na rynek, sporo eksportowaliśmy. Dziś eksportu nie ma, a sytuacja na rynku jest — delikatnie mówiąc — nienormalna. Parę osób opisując od strony stricte specjalistycznej dziwne na pozór zmiany zachodzące w krajowej hodowli bydła i trzody z powodzeniem będzie mogło się habilitować faktem, że w ostatnich latach ta właśnie

czne dla wielu rolników, potencjalnych dostawców bydła i trzody jest następujące rozumowanie (autentyczna wypowiedź „ziemianina” z sieradzkiego):

— Panie, jakby nie patrzył, to trzody nie będzie, bo — wyliczę: żeby podchować jedno tucznika do wagi 120 kilogramów to muszę kupić prosiaka za średnio 2 tysiące złotych, 10 kwintali ziemniaków i 2 — zboża na paszę. Ziemniaki liczymy po cenach rynkowych (nazwijmy je otwarcie — czarnorynkowymi) to płacę 500 złotych za kwintal, a zboże po 3 tysiące. W sumie wkładam w ten interes 13 tysięcy złotych. I teraz: nie licząc kosztów energii, mojej robocizny i tym podobnych dostanę za wieprzaka do 15 tysięcy złotych. Czyli wychodzę — jak to mówią — „na styk”. No, to pytanie — ja umiem liczyć; przedstawiam się na hodowlę bydła mlecznego, bo cena mleka jest lepiej ustawiona — do 16—17 złotych za litr”.

Tak więc w ostatnich kilku latach wiadomości z punktów skupu były alarmujące, surowca było coraz mniej, poszły w górę ceny mięsa i wędlin, a i te ostatnie zaczęły być „jakieś inne”. Pojawiły się dziwne nazwy: Krakowska, która dawniej była zasuszonym, pachnącym bardzo grubym kabanosem, przypominać zaczęła bardziej serwatkę, zmienił się smak, aromat, barwa niektórych wędlin. Oprócz narzekania w kolejkach przed sklepami mięsnymi, wyrażonej poprawy w zapatrzeniu nawet drastycznie podwyższone ceny nie przy-

HODOWLA PRZESTAŁA SIĘ OPLACAĆ

Ano zaczęły się najpierw jakieś dziwne zachwiania cen ziemniaków i zboża. Coraz więcej producentów stwierdzało, że lepiej opłaca się je sprzedać niż karmić prychówek. Były też odczuwalne załamania w zbiorach, ale wciąż jeszcze głoszone że w 1980 roku dojdziemy do 90 kilogramów mięsa i przetworów na głowę. Importowaliśmy miliony ton zboża, w znacznej mierze przeznaczając je na produkcję mięsa. I dziś musimy to czynić, by nie zejść do 30 kilogramów na przeciętnego Polaka. Reasumując — skończyła się reglamentacja, i dziś charakterysty-

Feliks Rajczak

★ ★ ★

Dzień się pochyla jak kłos pszenicy
dojrzewającej pod zorzą

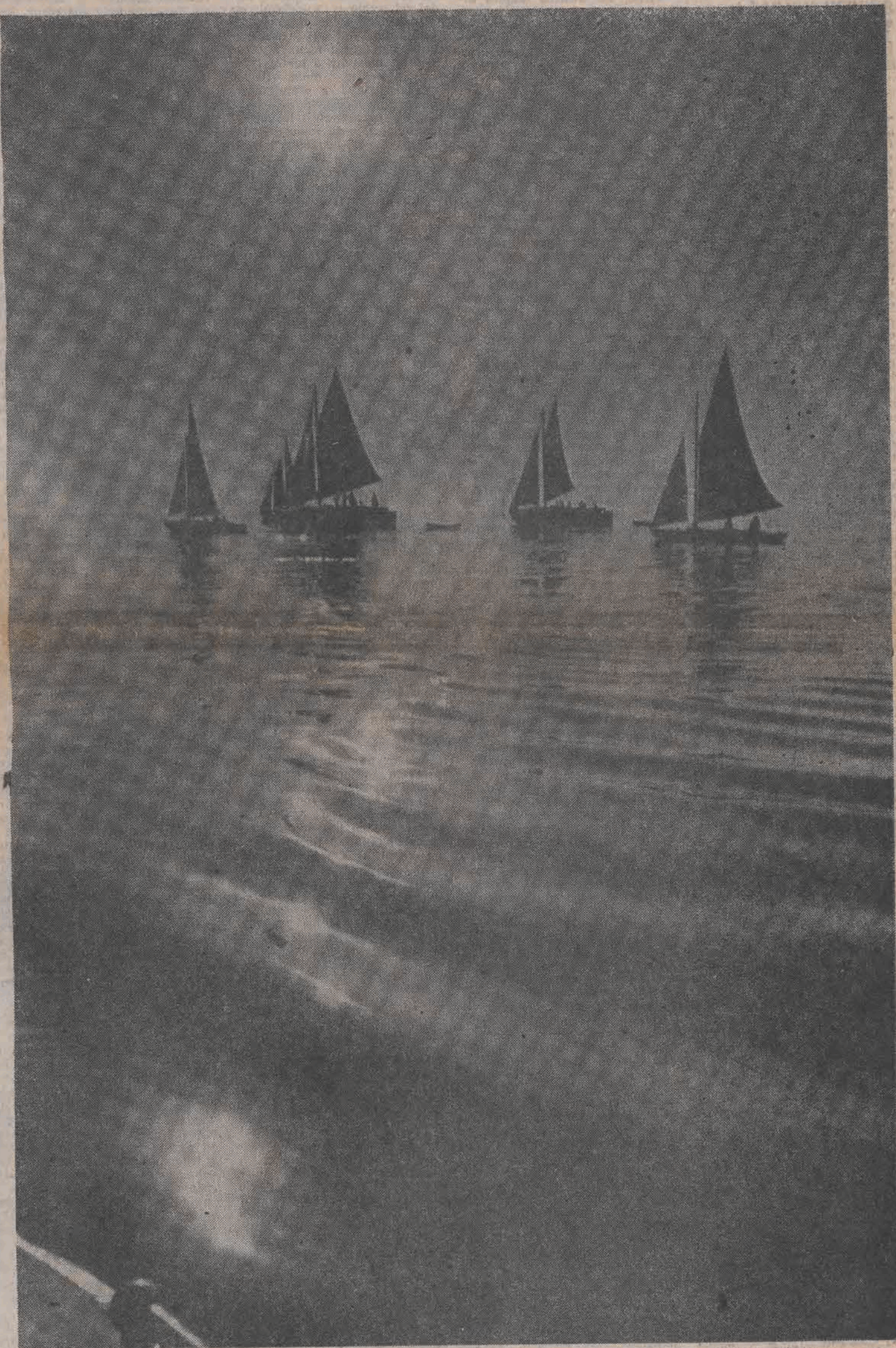
Dalekie stada co odleciały
stąd przed stuleciem — wracają

Człowiek bez daty i przymiotnika
podnosi pagór, ku gwiazdom

Czas się ulatnia oknami domów
dawnych żeglarzy i wilków

Wyjdź na próg i zwołaj ludzi
tu na ostatnią wieczność

Na srebrnych tacach w złotych kielichach
ciało i wino niemowląt



Pod zaglami

czytaj strona 11

Przegląd prasy

ŚWIĘTY MIKOŁAJ, TEN PRZEROŚNIĘTY KRASNAŁ

— jak twierdzi Carl Sagan w „Kosmicznym powinowactwie” („PRZEGŁĄD TECHNICZNY” nr 5 z 11 lipca 1982 r.) — nie jest w stanie w nocy z 24 na 25 grudnia w ciągu 8 godzin odwiedzić 100 milionów domów w USA. Gdyby przyjąć powszechne wierzenie w Świętego Mikołaja jako hipotezę o udowodnieniu, to pomijając już wyjaśnienie tajemnicy napędu reniferów, które w amerykańskiej legendzie ciągną sanie Świętego Mikołaja po niebie, nie utrzyma się ona w zetknięciu z prostym obliczeniem. Carl Sagan zakłada, że ów wyrosnięty krasnał przebywa tylko w jednym domu przez sekundę, pomijając ceremonie wchodzenia przez komin, wypełniania pończochy prezentami, to odwiedzenie wszystkich 100 milionów domów w USA zajęłoby mu... trzy lata. A przecież nie tylko w USA opowiada się dzieciom bajeczki o Świętym Mikołaju. Musi widać być ich więcej, tych wyrosniętych krasnał.

Oczywiście Carl Sagan nie o krasnałach pisze, a o problemach życia w Kosmosie. Przykład z krasnałem alias Świętym Mikołajem jest tylko ilustracją sposobu poddawania krytycznej ocenie powszechnie — bądź w większości — przyjmowanych hipotez. Chodzi o to, aby przyjąć możliwie skrajne założenie i w sposób matematyczny obliczyć, co z tego wynika. Carl Sagan zakłada więc, że tylko jeden raport rocznie o lądowaniu UFO na Ziemi jest prawdziwy. Załóżmy teraz, że UFO jest wykonane z metalu. Ile trzeba metalu na produkcję UFO, aby mogły one w ogóle funkcjonować? Odpowiedź na to pytanie próbował dać amerykański fizyk Hong-Yee Chiu. Doszedł on do wniosku, że potrzeba do tego przetworzenia pół miliona gwiazd i wykorzystania ich metalu. Gdyby jednak komuś przyszło do głowy — zastrzeżenie: Carl Sagan — że „to jest bardzo naładowane podejście do sprawy”, bo te polazdy mogą być zbudowane na przykład z tworzyw sztucznych, to oczywiście może być możliwe, ale to tworzywa też trzeba skądś wziąć.

Nie odrzuca on w istocie myśli o istnieniu życia poza Ziemią, możliwości występowania wyżej rozwiniętych cywilizacji. A nawet lądowania ich wysłanników na Ziemi. Uważa jedynie, że „dla osoby, która ma choć trochę sentymentalny umysł, dowody te są nieprzekonywujące”. To znaczy te dowody, jakimi obecnie dysponujemy.

Bal? Żebyśmy sami wiedzieli, czym dysponujemy. Należy zgodzić się z Carlem Saganem, kiedy on mówi w watołowości analogie wywołanej z pewnych niewłaściwych faktów. Ona nie między innymi przez Enikę von Danikena. Czy „astronaucci pozaziemscy” — pisał — „wyglądali dokładnie tak samo, jak astronaucci amerykańscy czy radzieccy”? Oczywiście, że nie musieli wcale tak wyglądać, ale my sobie nie potrafimy ich wyobrazić inaczej — nawet jeśli tu byli i zostawili ślady — jak tylko na wzór i podobieństwo nasze. Jest to wszakże przetrwanie geocentryzmu. Dziś już wiemy, że to nie Słońce krąży wokół Ziemi, ale ciągłe jeszcze nam się zdaje, że życie mogło narodzić się tylko na

Ziemi, a jeśli nawet narodziło się gdziekolwiek indziej, to musi być podobne do naszego. Tymczasem problem jest znacznie bardziej skomplikowany. „PROBLEMY” (nr 4 z lipca 1982) przedrukowują artykuł Johna A. Balla „Inteligentne istoty pochodzenia pozaziemskiego” (przedruk z „American Scientist” vol. 68, 1981). W artykule tym J. A. Ball pyta między innymi

CZY CZŁOWIEK MOŻE ROZMAWIAĆ Z OSTRYGĄ?

Może się to wydać sprowadzeniem całych rozważań o pozaziemskich cywilizacjach do absurdu, ale uważna lektura artykułu J. A. Balla dowodzi czegoś przeciwnego. Wychodzi on bowiem z trzech założeń: 1. że w każdym miejscu Kosmosu są warunki dla rozwoju życia, a więc życie ciągle gdzieś powstaje i rozwija się; 2. że istnieje tylko wiele miejsc, w których życie może się rozwijać; 3. że „niczego nie wiemy o istnieniu cywilizacji pozaziemskich”. I to trzecie nie wymaga żadnego dowodu, bowiem faktycznie niczego nie wiemy i wszystkie nasze najbardziej fantastyczne hipotezy pozostają tak długo hipotezami, jak długo nie odkryjemy drugiego przypadku powstania życia w Kosmosie.

Jeśli jednak przyjmiemy, że powstanie życia na Ziemi nie było „wyjątkowym przypadkiem”, ale pewną prawidłowością, to powstaje następne pytanie: dlaczego Kosmos nie chce się z nami skomunikować, dlaczego my nie potrafimy odnaleźć śladów istnienia pozaziemskich cywilizacji? Otóż — powiada J. A. Ball — większość badaczy zakłada, że „cywilizacje te usiłują się z nami skomunikować, a my nie jesteśmy wystarczająco rozgarnięci by te usiłowania dostrzec lub usłyszeć”. Zdaniem J. A. Balla takich usiłowań nie było, bo gdyby były, to „bylibyśmy tego świadomi”. Odrzuca on oczywiście hipotezę o tym, że żyjemy w „eksperymentalnym laboratorium”, które ktoś zorganizował i obserwuje nasze zmagania z życiem; odrzuca ją jako aienaukową.

Cywilizacje — powiada J. A. Ball — powinny się rozwijać według trzech przewidywanych możliwości: 1. rozwój do momentu zagłady z przyczyn wewnętrznych lub zewnętrznych; 2. technologiczna stagnacja; 3. równomierny stały rozwój. Mogą też występować kombinacje tych możliwości, jak na przykład rozwój i zagłada, regeneracja, rozwój i zagłada. Coraz częściej mówi się właśnie o takim mieszanym cyklu, o określonym czasie życia i rozwoju cywilizacji. Zresztą i w historii naszej ziemskiej cywilizacji występują pewne cykle, tyle, że każda nowa cywilizacja dokonuje postępu w technice i technologii. Ale nieobecne i u nas są teorie, że po doświadczeniu do pewnego pułapu w rozwoju cywilizacji musi nastąpić katastrofa i wszystko zaczyna się od nowa. Nie ulega na przykład wątpliwości, że wojna jądrowa cofnęłaby naszą cywilizację o kilka, jak nie kilkanaście, wieków wstecz. Ale może być to również koniec dla naszego globu. Mieljmy nadzieję — i zrobmy wszystko, żeby do tego nie doszło.

Jeśli chodzi o cywilizacje pozaziemskie, to nie muszą się one rozwijać wedle ziemskich praw. Zresztą obserwując tylko rozwój naszej cywilizacji J. A. Ball dochodzi do optymistycznych wniosków. Zakłada on, że nasza cywilizacja zmierza w kierunku: 1. przejścia do okresu przemysłowego do informacyjnego, kiedy w działaniu ludzi najważniejsze będzie zdobywanie wiedzy i tworzenie piękna; 2. wykorzystania inżynierii genetycznej dla sterowania ewolucją tak, aby w przyszłości ludzie posiadali pewne specjalne umiejętności maszyn, udowodnionych roślin i zwierząt; 3. dążenia do tego, aby bardzo rozwinięte organizmy mogły działać w bardzo niskich temperaturach, które są korzystniejsze dla ich pracy; 4. zmniejszania zapotrzebowania na energię i materiały. Kierunek ten posiada jednak pewną

barierę: „szybkość światła jest czynnikiem ograniczającym przepływ informacji”.

Jeśli nasza cywilizacja pójdzie w tym kierunku, to Ziemia przestanie nam być potrzebna. Również Słońce. Inne bowiem będziemy mieli źródła energii.

„Planety i ich macierzyste gwiazdy ani nie będą potrzebne — pisze J. A. Ball — ani użyteczne jako miejsce zamieszkania. Planety takie jak Ziemia są dobrą miejscem, skąd cywilizacje pozaziemskie mogą pochodzić, ale nie trwać. Planeta macierzysta zapewne zmieniona zostanie w muzeum”.

Biedna, stara Ziemia, co ją czeka!

Ale co z tego wynika? Otóż, wynika stąd wniosek, że jeśli inne cywilizacje rozwijają się też w podobnym kierunku i stają przed możliwością kosmicznych podróży, to szukają kontaktów z cywilizacjami wyżej od siebie rozwiniętymi albo równymi sobie. Nam do tego daleko. A więc one nie szukają kontaktu z nami. My natomiast myślimy o takim typie kontaktu, jaki może istnieć między ludźmi z prymitywnego szczepu wędrownych zbieraczy czy myśliwych z ludźmi „o wysokim stopniu rozwoju technologicznego”, od których można się czegoś nauczyć i przyspieszyć własny rozwój. A tymczasem — twierdzi J. A. Ball — trzeba raczej patrzeć na to, jak na model „porozumienia się zwierzęcia z człowiekiem i to zwierzęcia raczej bardzo prymitywnego”. Przysiękajcie dla nas, ale bardzo prawdopodobne.

John A. Ball nie poprzestaje jednak na tym pesymistycznym stwierdzeniu. Rozwija je dalej. Otóż wyróżnia on trzy grupy cywilizacji: I. — kontroluje zasoby planety; II. — kontroluje zasoby gwiazdy; III. — kontroluje zasoby galaktyki. Nasza zbliża się do grupy I. Być może są gdzieś cywilizacje grupy II. „Z tego, co wiemy, można sądzić, że w Galaktyce naszej nie ma cywilizacji typu III”.

Stawia on więc trzy robocze hipotezy, jako kierunek dalszego myślenia i badania:

1. Ludzkość nie jest unikalna, ani jedyna, ale nie jest też czołową cywilizacją Kosmosu. Istnieją inne i wywierają pewną kontrolę nad Galaktyką i Kosmosem.

2. Inne cywilizacje nie zdają sobie sprawy z naszego istnienia i nie są nami zainteresowane.

3. Nie wiemy o innych cywilizacjach, bowiem: a) one tego nie chcą i ukrywają się przed nami, b) nie jesteśmy na tyle rozgarnięci, aby zdać sobie sprawę z istnienia innych cywilizacji, a im na tym nie zależy.

Jak by na to nie patrzeć, to program badań astronomicznych jest też programem badań nad innymi cywilizacjami, ale — powiada J. A. Ball — równie ważne jest prowadzenie badań nad powstaniem życia na Ziemi. Ono też nam może wiele wyjaśnić w interesującej nas sprawie innych cywilizacji.

Kto natomiast interesuje się astronomią niech zajrzy do „ASTRONAUTYKI” (nr 2 z 1982 r.), gdzie Olgierd Wólczyński prezentuje artykuł pt.:

„SATURN ODKRYTY NA NOWO”

w którym przedstawia wyniki badań „Voyagera 1” i „Voyagera 2”. Z tych badań wynika, że średnica równika Saturna wynosi 57 900 km, a obrót dookoła osi 10 godzin 39 minut 28 sekund. Saturn jest globem gorącym. Wysła on dwa razy więcej energii niż otrzymuje od Słońca. Podobnie zresztą jak Jowisz. Ostatnio odkryto, że również Wenus wysyła o 15 procent więcej energii niż otrzymuje jej od Słońca. Badania wykazały, że Saturn składa się w 89 proc. z wodoru i w 11 proc. z helu. Wiemy już sporo o niektórych planetach naszego układu, ale wiele jeszcze nie wiemy, jak wiele jeszcze

LUCJAN BOGUSZ

Z troską i nadzieją

Tegorocznym lipcowym obchodom 38 rocznicy Manifestu PKWN towarzyszyły odczuwalne wciąż dotkliwie trudności i dolegliwości życia w kryzysie. Zrozumiałe zatem, że niełatwo było o świąteczną radość.

Ta sama rocznicowa okazja jest także powodem ciekawości o przyszłość. Dlatego zapewne z tak dużym zainteresowaniem oczekiwano ostatniego w tej sesji posiedzenia Sejmu PRL. Zapowiedzianemu wystąpieniu premiera gen. W. Jaruzelskiego towarzyszyły rozmaite nadzieje i spekulacje zagranicznych korespondentów. Nie miało to być wystąpienie programowe, chociaż oczekiwano odpowiedzi o zamierzeniach rządu w drugim półroczu br.

Myślę, że każdemu, kto w miarę uważnie wysłuchał wystąpienia premiera na forum Parlamentu nieodparcie nasunęło się kilka refleksji. Zapewne były one różne, jak różne są wciąż dziś poglądy i doświadczenia Polaków. Jest to wiadome i oczywiste również dla władzy. Potwierdził to w swoim wystąpieniu premier m. in.: „Możemy dziś dyskutować, sprzeczać się nawet o polskie sprawy w polskim Wrocławiu, Gdańsku i Szczecinie, w wzniesionej z ruin Warszawie”. Właśnie. A jeżeli tak jest to m. in. dlatego, że tych 38 lat budowy socjalizmu w Polsce nie musimy się wstydić, choć „nie ustrześliśmy się błędów i gorzkich porażek”.

Jednakże dziś dyskutujemy głównie o przyszłości. Stawiamy sobie pytanie: co dalej? Dokąd zmierzamy? Jest to zrozumiałe, a nawet oczywiste. Dla władzy, a więc w pierwszej kolejności dla rządu, jak to potwierdził premier, drogowskazem do przyszłości Polski jest i pozostanie program IX Zjazdu PZPR, „program wybiegający poza dzisiejszy, zasnuty chmurami horyzont. Jego zasadnicze kierunki zaakceptować może każdy patriota niezależnie od swych osobistych zapatrywań lub wierzeń”.

Mimo to, jako społeczeństwo „stoimy wciąż na rozdrożu”. Konstatacja społeczna tych kilku miesięcy stanu wojennego jest w różnych środowiskach i grupach różnorodna. Dorobek gospodarczy pierwszego półroczia nie jest imponujący. Sytuacja społeczno-polityczna kraju i kondycja moralna narodu dalekie są od zadowalających. Nie zauważyliśmy i nie odnotowaliśmy znaków stabilizacji byłoby jednak złośliwością. Są nieszczęśliwe i zachwiania, trudności, napięcia a nawet zahamowania w rozwoju procesu stabilizacji, odnowy i reformy. Nieuchronnie zbliża się jednak czas dokonywania wyborów. Zrozumiałe, że niełatwych ale niezbędnych, tak w odczuciu osobistym, jak i społecznym. Mówił o tym w swoim wystąpieniu gen. W. Jaruzelski, stwierdzając m. in.:

„Siedem miesięcy temu Polska stanęła nad przepaścią. Dziś stoi na rozdrożu. Nadszedł czas, aby dokonać wyboru między drogą donikąd i drogą w przyszłość. Są w naszym społeczeństwie głębokie podziały. Jest wiele uzasadnionych i słusznych. Rocznicę Manifestu Lipcowego obchodziliśmy przez długie lata w poczuciu dumy z osiągnięć, z rozwoju wolnej ojczyzny. Dziś towarzyszy nam troska. Ale jest też nadzieja. Są do niej podstawy”.

Mimo to wystąpienie premiera na sejmowej trybunie dalekie było od taniego, nieuzasadnionego optymizmu. Jak zapowiedział gen. W. Jaruzelski: „Będzie to trudne półroczcie. Weszliśmy w nie z obciążeniem trwającą od nas kryzysu”. O jego rozmiarach świadczą dobitnie fakt, że gospodarka nasza w przeciągu trzech lat cofnęła się do poziomu produkcji z roku 1974, a w produkcji na jednego mieszkańca — do roku 1973. A więc prawie o dziesięć lat! Jest to cena załamania, za które płaci całe społeczeństwo. Stąd nie może dziwić, że sprawy gospodarcze będą dziś największą troską naszego społeczeństwa. Pewne nadzieje rodzą korzystne oznaki w niektórych dziedzinach produkcji oraz zapowiedzi przez rząd możliwości osiągnięcia pod koniec bieżącego roku poziomu produkcji z roku ubiegłego. Oznaczałoby to zahamowanie regresu w momencie startu do realizacji 3-letniego planu rozwoju społeczno-gospodarczego, który określono w oświadczeniu rządowym jako „trzytłak mocnego odbicia od dna”.

Powstrzymywaniu zjawisk regresywnych w produkcji ma towarzyszyć stała troska rządu o niedopuszczenie do rozszerzania się obszarów społecznego niedostatku. Są to bowiem te obszary, w których kryzys odczuwany jest najbardziej dotkliwie, czasami wręcz tragicznie. Z uznaniem należy odnotować te fragmenty z sejmowego wystąpienia premiera, które zapowiadają konsekwentną realizację zasad reformy gospodarczej. Nie jest bowiem tajemnicą, że zasady te w niektórych przedsiębiorstwach z trudem zdobywają sobie obywatelstwo, że wielu co bardziej konserwatywnych lub nieopracowanych dyrektorów próbowało wziąć reformę „na przeczekanie”. A tymczasem podobnie jak kryzys, tak i reformy „przeczekać” się nie da. Aby zwyciężyć kryzys należy wdrożyć, i to jak najszybciej, reformę. Opanenci uzyskali z sejmowej trybuny raz jeszcze potwierdzenie tego, że: „od reformy nie może być, nie ma odwrotu”. Ta część kadry zarządzającej, która tego nie rozumie lub zrozumieć nie chce będzie musiała odejść”.

Nieraz już pisano o tym, w tym również na łamach naszego pisma, że w znacznej mierze o powodzeniu reformy decydować będzie również działalność samorządów pracowniczych. Chociaż od decyzji o możliwości wznowienia ich działalności minęło już sporo czasu, praktyka pokazała raz jeszcze, że decyzje i możliwości siebie, a życie i biurokracja sobie. W skali kraju, podobnie i w naszym województwie tzw. uruchamianie samorządów pracowniczych jak dotąd przebiegało nader opornie. Wygląda na to, że

duża grupa dyrektorów przedsiębiorstw i przedstawicieli ich organów założycielskich postanowiła się z tą sprawą nie spieszyć. Cóż, wielu widać spodobała się już nieograniczona władza z tytułu niczym nie krępowanej jednoosobowej odpowiedzialności. Należy zatem mieć tylko nadzieję, że zapowiedzi i zalecenia premiera zostaną tym razem w pełni zrealizowane. Przypominajmy ten fragment wystąpienia gen. W. Jaruzelskiego:

„Trzeba wyraźnie przyspieszyć ich (tzn. samorządów) uruchamianie. W ciągu najbliższych trzech miesięcy powinny stać się one autentycznym i odpowiedzialnym partnerem w zarządzaniu większością przedsiębiorstw”.

Z bogatego w treści wystąpienia gen. W. Jaruzelskiego co najmniej trzy sprawy należą do tych, których pozytywne i w miarę pilne rozwiązanie decydujące będzie o postępie w przełamywaniu impasu politycznego w naszym kraju. Bowiem kryzys nasz nie jest jedynie krachem gospodarczym, ale przede wszystkim kryzysem społecznym. Każda z tych trzech kwestii wzajemnie się warunkuje.

W przeddzień posiedzenia Sejmu opublikowana została deklaracja w sprawie patriotycznego ruchu odrodzenia narodowego sygnowana przez PZPR, ZSL i SD oraz przedstawicieli organizacji chrześcijańskich i katolików świeckich. Ugodzono także zamiar powołania Tymczasowej Rady Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Zamiar ten, jak i sama deklaracja spotkała się z poparciem Sejmu. Wielu posłów w swoim wystąpieniu nawiązywało do tej inicjatywy udzielając jej poparcia. Przemawiając m. in. z ramienia klubu poselskiego ZSL poseł Bolesław Strużek stwierdził, iż proces odrodzenia narodowego, któremu ma służyć Ruch jest fundamentem wszelkich reform w kraju i warunkiem ich powodzenia.

Z postępiem w zakresie uzyskiwania realnego porozumienia pomiędzy podstawowymi siłami narodu, uspokajaniem politycznych emocji i zaożnieniu, a więc i ogólną normalizacją życia wiąże się perspektywa zniesienia stanu wojennego. Decyzja taka, jak to stwierdzono w uchwale sejmowej, „nie może być tylko funkcją czasu, lecz funkcją sytuacji społeczno-politycznej i stanu zaawansowania procesów konsolidacji społeczeństwa wokół polskiej racji stanu”.

Z ogólną aprobatą posłów, a także większości społeczeństwa spotkało się oświadczenie gen. W. Jaruzelskiego mówiące o tym, że „intencją WRON jest, aby warunki umożliwiający zawieszenie stanu wojennego mogły okazać się dojrzałe jeszcze przed końcem bieżącego roku”. Do zapowiedzi tej nawiązywało w swoich wystąpieniach wielu posłów, w tym m. in. przedstawiciel klubu SD poseł Jan Paweł Fajęcki, który powiedział:

„Z perspektywy ponad pół roku stwierdzamy, iż stan wojenny stał się w wielu dziedzinach czynnikiem porządkującym sprawę kraju. Stan ten jednak nie powinien trwać ani chwili dłużej — niż jest to niezbędne dla zapewnienia krajowi warunków bezpieczeństwa bytu narodowego”.

Myślę, że, jak sądzę, wyraża pogląd realistycznie myślący większości naszego społeczeństwa.

Trzecią ważną i równie złożoną jak poprzednie, a przy tym mocno rzutuującą na przyszłość kraju jest kwestia przyszłości ruchu związkowego. Nie może być i nie ma alternatywy typu: być albo nie być dla związków zawodowych. „Odrodzenie ruchu związkowego — jak stwierdził premier — jest nie tylko ważne, ale i złożone (...). Ruch związkowy musi się odrodzić. Jest on klasie robotniczej, ludzkiej pracy żywotnie potrzebny. Władza socjalistyczna wyjdzie tej potrzebie aktywnie na spotkanie”. Jest to odpowiedź dla tych, którzy po doświadczeniach sprzed 13 grudnia bagatelizowali sprawę potrzeby istnienia związków zawodowych w państwie socjalistycznym.

Wydaje się, że dobrze się stanie, że wyłonione zostanie wreszcie kompetentne ciało społeczne, które zdecyduje o przyszłości ruchu związkowego w Polsce. Nadszedł już temu stosowny już czas. Podzielić również należy pogląd wygłoszony w Sejmie przez wicepremiera M. Rakowskiego, o zakresie problemów, których wyjaśnienie w toku odbudowywania struktur związkowych jest niezbędne. Jedynie pewne zastrzeżenia w niektórych środowiskach może budzić teza o konieczności „ponownego spojrzenia na projekt ustawy związkowej i ewentualne skorygowanie jej pod kątem doświadczeń minionych dwu lat”. Osobiście postulowałbym daleką ostrożność w rewizji tego projektu, pamiętając o tym, o czym sam wspominał w swoim wystąpieniu M. Rakowski, jak wiele miejsca w dyskusji poświęcono sprawie miejsca i roli strajku w naszym systemie społecznym. Tych i podobnych poglądów nie można bagatelizować. Zaś daleko posunięta rewizja społecznie skonsultowanej wersji ustawy może być odczytana jako próba zamachu na sens konsultacji w ogóle. Byłoby to błąd i strata.

Błędem i stratą byłoby zaprzepaszczenie tych szans, o których mówiono na posiedzeniu Sejmu w przeddzień 38 rocznicy lipcowego święta. Istnieje realna szansa i jest poważna nadzieja, nadzieja obopólna — władzy i społeczeństwa, że tak się nie stanie. Jeśli władza wywiąże się z zobowiązań przedłożonych narodowi, zaś ta nie mała wciąż część społeczeństwa, która odnosi się jak dotąd z rezerwą do poczyniań rządu i WRON uwierzy w konieczność dokonania wyboru i sens słów, że tylko od nas zależy przyszłość kraju, wówczas to zaistnieje duża szansa rychłego przełamania polskiego impasu.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorotyński, Eugeniusz Iwanicki. (z ca sekretarza redakcji) Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwierński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Ochońcowa (redaktor techniczny), Jerzy Panasiuk, (z ca sekretarza naczelnego) Igor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Głanc (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wronska, Mirosław Zajdel (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzeminski, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 662-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamawia kopii, nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-958, Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP 50 oddział w Warszawie nr 1153 20145 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: al. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 38762. Zam. 1421. F-5.

1 Lata 1918—1919, to okres niezwykle ciężki dla inwalidów wojennych. Brak było ustawodawstwa rodzinnego, przesłane systemy socjalne i prawne państw zaborczych. Mimo tych trudności na terenie byłych zaborów powstały trzy odrębne organizacje inwalidzkie.

W Warszawie działało kilka grup inwalidzkich o różnych zabarwieniach politycznych. Najlicniejszą była grupa inwalidów rekrutujących się z żołnierzy byłej armii rosyjskiej, mniej liczne grupy to byli żołnierze korpusu Dowbora-Muśnickiego, kaniowszczyków — żeligowszczyków i legionu Pułaskiego — powracających do Polski z terenów Rosji radzieckiej. Toczące się wówczas walki między klasami i grupami oraz reprezentującymi je partiami politycznymi, nie stwarzały sprzyjającej atmosfery dla rozwiązania bardzo bolesnych i nabrających problemów socjalno-bytowych. Inwalidzi otrzymywali wówczas sporadycznie wypłacane zaopatrzenie za pośrednictwem Ekspozytur do Spraw Inwalidzkich, które przeprowadzały w miastach powiatowych i wojewódzkich rejestrację inwalidów.

W kwietniu 1919 roku, na wspólnej konferencji trzech oddzielnych organizacji inwalidzkiej powstał Związek Inwalidów Wojennych RP z siedzibą w Warszawie. Lata 1919 — 1921, ze względu na sytuację społeczno-gospodarczą Polski — były dla inwalidów szczególnie ciężkie. Dopiero w marcu 1921 r. uchwalona została ustawa o zaopatrzeniu inwalidów.

Pogłębiający się kryzys gospodarczy Polski był powodem ciężkiej sytuacji inwalidów, bowiem doraźne podwyżki świadczeń rentowych nie nadążały za postępującą inflacją. W tej sytuacji władze związkowe zabiegały o nowe formy pomocy. Domagano się m.in. ustalenia pierwszeństwa na detaliczną i hurtową sprzedaż wyrobów tytoniowych, spirytusowych i biletów loterii państwowej oraz prowadzenia kiosków ulicznych. Zabiegi te spotykały się z ostrymi, a nierzadko gwałtownymi protestami ze strony handlarzy tymi artykułami. Walka toczyła się na łamach prasy, a także przeniosła się na teren Sejmu. Postawa większości społeczeństwa i Sejmu sprawiły, że uwzględnione zostały postulaty związkowców. Dzięki temu wygospodarowane zyski z prowadzonych przez Związek przedsiębiorstw koncesyjnych oraz składki członkowskie stanowiły aż do 1939 r. główne źródło dochodów Związku.

W latach 20-tych różne partie polityczne zabiegały o poparcie Związku. Narastający kryzys sprawił, że w celu ratowania równowagi budżetu państwa próbowano zapewnić ją m.in. kosztem inwalidów wojennych. Stąd próby podziału rencistów na: inwalidów armii polskiej jako grupy uprzywilejowanej i na inwalidów byłych armii zaborczych. W tej sytuacji władze państwowe zaaprobowały powołanie jeszcze jednej organizacji związkowej pod nazwą Legia Inwalidów Wojska Polskiego. Decyzja ta podyktowana została chęcią odciążenia z szeregów Związku Inwalidów Wojennych RP inwalidów armii polskiej. Jednak mimo poparcia ze strony władz sanacyjnych Legia Inwalidów Wojska Polskiego nie odegrała ważniejszej roli i nie spełniła oczekiwań jej współtwórców.

W tym samym czasie powstał także Żydowski Związek Inwalidów Wojennych z siedzibą w Krakowie. Rozwijał on działalność w Małopolsce. Jednakże lwia część inwalidów pochodzenia żydowskiego utrzymywała się przy ZIW RP.

Wszystkie zabiegi i manipulacje o charakterze organizacyjnym i politycznym spowodowały rozłam w szeregach Związku. Wyrazem tego było powołanie przez rząd w trybie komisarzy nowego kierownictwa — w 1928 r. gwałtowny został w Warszawie Kongres Inwalidów Wojennych.

Obrady Kongresu miały burzliwy charakter i nacechowany troską o interes społeczności inwalidzkiej, Kongres wyłonił nowe władze związkowe, które w następnych latach zyskały sobie szacunek i uznanie społeczności inwalidzkiej. Dzięki temu organizacja związkowa nie tylko odzyskała dawny autorytet, lecz znacznie umocniła swój prestiż wśród związkowców i w społeczeństwie. Od tego czasu datuje się okres aktywnej działalności organizacyjnej i socjalnej. Mimo różnych zakrętów o charakterze ekonomicznym i politycznym, mimo nagminnych ataków w prasie na postępowych działaczy — Związek umacniał swą siłę i zwartość wewnętrzną oraz autorytet w społeczeństwie.

Do największych osiągnięć Związku w tym okresie należy zaliczyć ustawodawstwo inwalidzkie, tj. ustawę z dnia 17 marca 1932 r. Przyznawała ona inwalidom szereg przywilejów. I tak m.in. wprowadziła obowiązek zatrudnienia inwalidów przez instytucje państwowe i prywatne. Przyczyniła się ona do częściowej likwidacji bezrobocia wśród inwalidów, przyniosła im szereg ulg i poprawiła warunki materialne.

2 Po klęsce wrześniowej Związek Inwalidów Wojennych RP uzyskał od władz okupacyjnych prawo legalnego istnienia. Jednakże ograniczono jego działalność do spraw gospodarczych i opieki socjalno-bytowej nad inwalidami. Wykonywał je pełnomocnik Zarządu Głównego ZIW, który pod patronatem PCK i Rady Głównej Opiekuńczej reprezentował Związek przed władzami okupacyjnymi. W ramach posiadanych funduszy — pełnomocnik ów udzielał doraźnych zapomóg zgłaszającym się inwalidom, pomagał im w uzyskaniu koncesji monopolowych i administrował majątkiem Związku.

Działacze Związku prześladowani byli przez hitlerowców, jak większość Polaków. Wielu z nich podzieliło los tych, którzy zginęli w obozach zagłady, w masowych egzekucjach, w krwawych pacyfikacjach, itp. Rozstrzelano m.in. prezesów Związku: Mariana Kantora i Edwina Wagnera, sekretarza Zarządu Głównego, Henryka Rudowskiego i Bolesława Kikiewicz. Ten sam los spotkał prezesów zarządów okręgów: Wacława Hawrylinka i Antoniego Snochowskiego, prezesów kół: Gustawa Czaję i Wacława Frankowskiego oraz wielu działaczy społecznych, jak Feliksa Woźniaka i Henryka Jutte.

3 Wojna i okupacja pociągnęły za sobą śmierć ponad 6 mln osób, co stanowiło — według stanu z 1933 roku, 27,2 proc. ogółu obywateli polskich. Z tej liczby tylko 644 tys. przypada na poległych wskutek bezpośrednich działań wojennych, a 5.384 tys. na zmarłych w wyniku eksterminacyjnej i ludobójczej polityki hitlerowców. Inwalidztwem zostało dotkniętych około 590 tys. osób, z czego około 100 tys. jako wojskowych.

Bardzo wysokie były straty ludności cywilnej wskutek działań wojennych, które przekroczyły 520 tys. osób. Do tej liczby należy doliczyć drugie tyle osób, zmarłych na skutek eksterminacji pośredniej, jak w następstwie doznanych ran, nadmiernej pracy, narastających chorób o charakterze epidemicznym, itp. Odrębną kartę w hitlerowskiej polityce ludobójczej stanowią obozy koncentracyjne, w których zostało przetrwałe wojnę 863 tys. Polaków.

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, w trosce o los ofiar wojny, wydał 12 grudnia 1944 roku pierwszy dekret o inwalidach wojennych. Przepisy tego dekretu i kolejnych aktów prawnych tworzyły podstawę prawną do opieki nad ludźmi okaleczonymi, schorowanymi oraz wyniszczeniymi wojną i okupacją. W dniach 17—18 grudnia 1944 r. na Ogólnym Zjeździe Delegatów w Lublinie reaktywował swą działalność Związek Inwalidów Wojennych. W miarę wyzwalań poszczególnych re-

gionów kraju obejmował je swą działalnością aż do maja 1945 r. Działacze Związku i upoważnione przezeń osoby uruchamiali w porozumieniu z administracją państwową przedsiębiorstwa różnych branż, przejmowali majątki i gospodarstwa rolne, odnawiali sanatoria, pensjonaty, przychodzili z pomocą inwalidom i wdowom po inwalidach w uzyskaniu pracy.

Organizowane przez Związek zakłady szkoleniowe i ośrodki, m.in. w Krakowie, Poznaniu, Łęborku i Słupsku umożliwiały inwalidom zdobycie uprawnień zawodowych i otwierały im drogę do awansu społecznego. Dużą rolę odegrały gimnazja spółdzielcze w Nałęczowie i Piechowicach. Wychowankowie tych szkół byli pionierami w rozwoju spółdzielczości inwalidzkiej. Tworzone przez Związek bursy i internaty niosły realną pomoc w poszukiwaniu pracy, mieszkania, zapewniały wyżywienie, odciecz, a także opiekę lekarską. Właśnie sanatoria w Dusznikach, Cieplicach, Solcach i Jarze oraz ośrodek przeciwgruźliczy w Sokółowsku — przyspieszały inwalidom powrót do

zdrowia. Dzieci i sieroty po inwalidach korzystały z kolonii letnich organizowanych we własnych ośrodkach nad morzem i w górach. Sami zaś inwalidzi wojenni wraz z rodzinami, a także wdowy po poległych żołnierzach i zmarłych bojownikach znajdowali możliwość wypoczynku w organizowanych domach wczasowych w atrakcyjnych miejscowościach. Dzięki wydatnej pomocy państwa oraz funduszom Związku znaczna część inwalidów otrzymała wózki inwalidzkie, inwalidzkie pojazdy mechaniczne, protezy, itp., które nie tylko ułatwiały im kontakty z otoczeniem, ale warunkowały podjęcie pracy zarobkowej. Najbardziej potrzebujący otrzymywali bezpłatnie lub po zredukowanych cenach: węgiel, drzewo oraz najniezbędniejsze zaopatrzenie na zimę. Rolnicy korzystali z niskoprocentowych pożyczek, uzyskiwali bezzwrotne zapomogi pieniężne na zagospodarowanie, zakup inwentarza żywego oraz maszyn i urządzeń. Dzięki pomocy państwa powstały inwalidzkie wsie osadnicze. Ponad 20 proc. osadników wojskowych na Ziemiach Odzyskanych rekrutowało się z inwalidów wojennych. Wnieśli oni nie miały wkład w zagospodarowanie tych ziem.

W okresie odbudowy główne zadanie tego stowarzyszenia polegało na jak najszybszym włączeniu inwalidów wojennych do pracy i samodzielnego życia w społeczeństwie. Dzięki pomocy władz politycznych i administracyjnych opracowany został kompleksowy program roz-

woju rehabilitacji. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

niez za granicą. Harmonijnie łączona działalność społeczno-rehabilitacyjna z gospodarczą, stwarza coraz lepsze możliwości zatrudniania osób niepełnosprawnych i daje im szansę na urzeczywistnienie swych aspiracji.

Od początku powstania spółdzielczości inwalidzkiej, znalazła tu pracę dość liczna grupa inwalidów wojennych. Piastują oni do dziś wiele odpowiedzialnych funkcji i legitymują się poważnymi osiągnięciami w pracy zawodowej i społecznej. Związek Spółdzielni Inwalidów od chwili swego powstania współdziała ściśle ze Związkiem Inwalidów Wojennych i udziela mu wszechstronnej pomocy socjalno-bytowej i leczniczej.

Rozwój działalności Związku Inwalidów Wojennych w pierwszym pięcioleciu Polski Ludowej został zahamowany w latach 1949—1955. W okresie tym uwidoczniła się dość daleko idąca ingerencja państwa w życie społeczne. Sytuacja polityczna w kraju, wypaczenia centralistyczno-biurokratyczne w zakresie kierowania życiem społecznym, spowodowały spadek liczby członków oraz zaprzestanie realizacji niektórych funkcji, a głównie socjalnej. Zawieszonych zostało szereg uprawnień inwalidów wojennych oraz nastąpiły zasadnicze zmiany w systemie orzekania o inwalidztwie wojennym.

W latach 1950—1955 uwidoczniły się tendencje do likwidacji Związku. Tendencje te wynikały m. in. z chęci uniknięcia działalności nęgodnej z polityką ówczesnego kierownictwa państwowego i partyjnego. Ponadto sądzono błędnie, że pomyślna realizacja planu 6-letniego zapewni wszystkim obywatelom dobrobyt. Nie doceniano wówczas sensu pracy społecznej, tworzącej niezmierzalne wartości moralne i materialne.

Na fali demokracji życia społeczno-politycznego, w grudniu 1956 roku odbył się Krajowy Zjazd Inwalidów Wojennych. Powołał on nowe władze związkowe, uchwalił nowy statut, który stanowił podstawę dla reaktywowania działalności organizacyjnej, propagandowej i socjalnej. Jednak trudna sytuacja ekonomiczna kraju uniemożliwiła zaspokojenie uzasadnionych potrzeb inwalidów wojennych. Kolejne zjazdy inwalidów — II, III i IV — mimo stopniowego podnoszenia się poziomu życia środowiska inwalidzkiego, poświęcone były głównie sprawom socjalnym. Stanowiły one podstawowy nurt obrad zjazdowych. Zjazdy te odnotowały również wzrost ilościowy aktywności społecznej, rozwój samorządu koleżeńskości i jego zaangażowanie w rozstrząsanie opieki nad inwalidami.

Na początku lat siedemdziesiątych, po przełomie wstrząsach społeczno-politycznym, nowe władze polityczne i administracyjne dostrzegły niedostatek środowiska inwalidów wojennych i uznały, że przeszłość wyraźnie ich skrzywdziła. Nowa nadzieja wstąpiła w cierpliwość i lojalnie usposobionych inwalidów wojennych, których liczba, w miarę upływu czasu, znacznie zmalała. Nadzieja ta podsycona była troską o zapewnienie spokojnej starości, której zabezpieczenie rentowe i emerytalne było niezadawalające.

Początek lat siedemdziesiątych wskazywał na to, że oczekiwania weteranów walk na lepszą przyszłość stanęły się rzeczywistością. Powołanie Urzędu do spraw Kombatantów i powierzenie mu uprządkowania systemu opieki państwa między innymi nad inwalidami wojennymi, a następnie ustawa z 29 maja 1974 r. o zaopatrzeniu inwalidów wojennych i wojskowych oraz ich rodzin, jak również uzupełniające akty prawne z lat 1975 i 1977, potwierdziły dobrą wolę państwa w usunięciu krzywd i zaniechaniu wobec tych, którzy w okresie wojny ponosili odpowiedzialność za losy ojczyzny, a następnie dźwigali uciążliwe skutki wojennego kalectwa.

Ustawa z 29 maja 1974 r., w której społeczność inwalidzka dopakuje się istotnych luk i niedoskonałości, była z pewnością przejawem humanitaryzmu. Tchnęła z niej troska o życie i sprawę inwalidów wojennych i przewijała się nuta uznania i szacunku dla ciężaru ran, kalektwa i utraconych często szans życiowych. Połowicznie rozwiązane w tej ustawie zaopatrzenie emerytalno-rentowe miało zgodnie z oświadczeniem przedstawicieli najwyższych władz państwowych charakter przejściowy, uzasadniony trudnościami gospodarczymi państwa.

Obietnica władz politycznych i administracyjnych nie spełniła się niestety rozbudzone nadzieje w gwałtownie starzejącym się środowisku inwalidów wojennych. Dzisiaj już wszystkim znane są przyczyny niespełnionych nadziei. Chylące się ku kryzysowi społeczno-politycznemu i gospodarczemu w końcu lat siedemdziesiątych państwo nie było w stanie swych obietnic zrealizować, pozostawiając nie rozwiązany problem i troski z nim związane władzom politycznym i państwowym. Nie spełnione oczekiwania ostatecznego rozwiązania problemów bytowych inwalidów wojennych wesły więc w lata osiemdziesiąte.

Początek lat osiemdziesiątych wprowadził 66 tysięcy członków Związku Inwalidów Wojennych w tryby przemian społeczno-politycznych i gospodarczych, które przyniosła z sobą odnowa życia państwa i narodu. Wstrząs społeczny spowodowany ujawnieniem nieprawidłowości i krzywd wyrządzonych narodowi przez ekipę sprawującą rząd w latach siedemdziesiątych inwalidzi wojenni odczuli dotkliwie uznając to jako zaprzepaszczenie swych ofiar i cierpień, jakie ponieśli dla dobra ojczyzny.

W okresie burzliwych dni jesieni 1981 roku narastające zagrożenie wolności i niepodległości Polski budziło protest wśród inwalidów wojennych i kategorię sprzeciwu potępiający ekscesy i prowokacje antyradzieckie, które naruszały spokój żołnierskich grobów i obrażały pamięć żołnierzy, którzy polegali w walce o naszą wolność. W imię tego spokoju, porządku publicznego i zgody narodowej ponad 500 członków Kół Łódź-Polesie, zebranych w guli ze spólu Szkół Włókienniczych, przy ul. Żeromskiego 115, manifestowało w pierwszym dniu stanu wojennego swe poparcie dla Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

GUSTAW KASPRZYCKI

Jest ich dziś 66 tysięcy

W bieżącym stuleciu Polska przeżyła tragiczne w skutkach dwie wojny światowe. Spowodowały one bezmiar strat ludzkich, moralnych, kulturalnych. Z wojen tych wyszły tysiące ludzi okaleczonych, chorych, wymagających opieki i pomocy.

gionów kraju obejmował je swą działalnością aż do maja 1945 r. Działacze Związku i upoważnione przezeń osoby uruchamiali w porozumieniu z administracją państwową przedsiębiorstwa różnych branż, przejmowali majątki i gospodarstwa rolne, odnawiali sanatoria, pensjonaty, przychodzili z pomocą inwalidom i wdowom po inwalidach w uzyskaniu pracy.

Organizowane przez Związek zakłady szkoleniowe i ośrodki, m.in. w Krakowie, Poznaniu, Łęborku i Słupsku umożliwiały inwalidom zdobycie uprawnień zawodowych i otwierały im drogę do awansu społecznego. Dużą rolę odegrały gimnazja spółdzielcze w Nałęczowie i Piechowicach. Wychowankowie tych szkół byli pionierami w rozwoju spółdzielczości inwalidzkiej. Tworzone przez Związek bursy i internaty niosły realną pomoc w poszukiwaniu pracy, mieszkania, zapewniały wyżywienie, odciecz, a także opiekę lekarską. Właśnie sanatoria w Dusznikach, Cieplicach, Solcach i Jarze oraz ośrodek przeciwgruźliczy w Sokółowsku — przyspieszały inwalidom powrót do

woju rehabilitacji. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.

Uzyskane przez spółdzielczość inwalidów wyniki w dziedzinie rehabilitacji, wysoko są cenione nie tylko w naszym kraju, lecz również w innych państwach. Obejmował on rehabilitację: leczniczą, społeczną i zawodową. Urzeczywistnienie tego programu powierzono zostało spółdzielczości inwalidzkiej. Została ona powołana do życia w 1949 roku, w oparciu o bazę kadrową i materiałową Związku Inwalidów Wojennych. Doświadczenia Spółdzielców ZIW miały niezwykle ważne znaczenie dla spółdzielczości inwalidzkiej, a zwłaszcza w zakresie rehabilitacji. Początkowo pomyślana ona była jako pomoc dla inwalidów wojennych, by z czasem — w miarę rozwoju techniki i cywilizacji — objąć wszystkie grupy inwalidów. W miarę rozwoju wiedzy medycznej i pokrewnych dyscyplin nauki zakres i skuteczność rehabilitacji stawały się coraz większe. Obejmowała ona swym zasięgiem coraz to nowe grupy kalektw i schorzeń. Dzięki temu duży odsetek inwalidów powrócił do pracy i czynnego życia w społeczeństwie.



Foto: Mirosław Zajdler

Czy równość jest sprawiedliwa?

W czasach, kiedy życie społeczne biegnie swoim utartym torem, bez większych zakłóceń i wstrząsów, kiedy każdy otrzymuje tyle środków do życia, ile mu się należy — zgodnie z istniejącymi przepisami i przyjętymi normami, kiedy ponadto obowiązujące ustawodawstwo i jego praktyczne funkcjonowanie nikogo nie dyskryminuje w szansach i możliwościach polepszenia sytuacji życiowej, wtedy — jak się wydaje — problematyka równości nie budzi powszechnego zainteresowania i nie rozbudza emocji, a pozostaje raczej przedmiotem teoretycznych rozważań jednostek. Słowem, brak jest wtedy wyraźniejszych oznak, że nierówność w sytuacji poszczególnych jednostek danej społeczności uznawana jest za pozabawioną racjonalnego uzasadnienia, czyli za niesprawiedliwą. Owszem, ten i ów odczuwa chwilami swój mniej korzystny w porównaniu z innymi punkt startu życiowego — czy to z powodu warunków środowiskowych, czy braku wrodzonych predyspozycji jakby pewien rodzaj upośledzenia, ale przyjmuje ten stan z cichą rezygnacją, jako coś na co „nie ma mocnych”.

Jeśli nawet przywołana tu obserwacja (czy raczej domniemanie) byłaby słuszna, to chyba tylko w odniesieniu do naszego, polskiego pola obserwacji, a w dodatku — do okresów względnej stabilizacji gospodarczo-politycznej, nie mamy bowiem dostatecznych podstaw do snucia tak subiektywnych refleksji o stanie umysłów w wielu innych krajach, np. tych, w których zachodzą gwałtowne przeobrażenia społeczne i procesy rewolucyjne. Bo przecież i u nas, gdy tylko pojawiają się silniejsze napięcia społeczne, których główny ciężar spada jak zwykle na warstwy najuboższe, oszczędzając z reguły środowiska lepiej sytuowane, rozlega się donośne powszechne wołanie o równość — o zrównanie tych co mają mniej, z tymi co mają więcej. W świadomości ogromnej części społeczeństwa następuje ułomne pojęcie równości z pojęciem sprawiedliwości, a niejednokrotnie dostęp do podstawowych dóbr uznany zostaje za niesprawiedliwy, każdy bowiem, jak się wtedy mawia „ma taki sam żołądek”.

A jednak emocje — choć stają się ważnym motorem społecznych działań — nie są dobrym doradcą, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych, które wymagają przede wszystkim chłodnej refleksji, wolnej od rozróżnień i stronniczości. Z pewnością nie każdego stać na refleksję, a już tym bardziej wobec tej problematyki, ponieważ zagadnienia równości i sprawiedliwości są znacznie bardziej złożone niż się powszechnie przeczuwa, wymagają więc pewnej wiedzy o prawach rządzących życiem społecznym i zbiorową świadomością.

Pisaliśmy już na tych łamach o samoradnym ukonstytuowaniu się Obywatelskiego Klubu Konsultacyjnego — społecznego ciała opiniotwórczego, w skład którego wchodzi, na zasadzie dobrej woli, ci spośród przedstawicieli łódzkiego środowiska intelektualnego, którzy poczuwają się do moralnego obowiązku uczestnictwa w poszukiwaniu rozwiązań trudnych problemów dnia dzisiejszego. Interdyscyplinarny charakter klubu (naukowcy różnych kierunków, działacze, ludzie sztuki) sprawia, że podnoszone z inicjatywy jego członków zagadnienia są nasświetlane, w otwartej dyskusji, z różnych stron, z różnych punktów widzenia, a użytkownikom tej drogi opinii i sugestii mogą (i powinny) służyć miejscowym władzom jako cenna inspiracja do podejmowania działań o społecznym charakterze i ukierunkować je zgodnie z potrzebami społeczeństwa.

Czy także — zgodnie z odczuwaniami? Raczej chyba licząc się

z nimi, niż się im podporządkowując wyłącznie pod zewnętrznym naciskiem, lecz bez wewnętrznego przekonania. Sądzę bowiem, że władza nie tylko powinna „uczyć się od mas”, lecz także uczyć się je przekonywać o społecznej słuszności podejmowanych decyzji. Wydaje się, że pożyteczną rolę dwukierunkowej „transmisji” pomiędzy łódzkim społeczeństwem a władzami ma szansę spełniać OKK, jeśli z jednej strony potrafi właściwie rejestrować i intelektualnie przetwarzać nastroje i aspiracje społeczeństwa, a z drugiej — popularyzować w środowiskach twórczych i w szerszych kręgach społecznych ekonomiczno-społeczną politykę władz, zgodną z opiniami OKK.

Dodajmy zresztą, że najwyżsi przedstawiciele łódzkiego kierownictwa partyjnego i administracyjnego, zaproszeni na jedno z klubowych spotkań, złożyli zapewnienie, iż będą nie tylko dostarczać Klubowi niezbędnych materiałów informacyjnych, lecz także brać pod uwagę formułowane pod adresem władz wnioski i postulaty wypracowywane przez to niezależne gremium.

Sądzę, że wzięcie pod obrady Klubu tak ważnego zagadnienia, jak właśnie „równość a sprawiedliwość” stanowi dobry prognostyk dla kierunku merytorycznej działalności OKK, jest to bowiem temat nie tylko nośny ideowo, o istotnych aspektach moralnych, lecz również ważkich implikacjach dla praktyki społecznej, czego dowiodła klubowa dyskusja. Nie pokuszę się tu o dokładną relację z jej przebiegu, odtwarzającą poszczególne wypowiedzi, w większości niezwykle wnikliwe, nacechowane społeczną troską, warto jednak przekazać Czytelnikom, że w konkluzji uznano sprawiedliwość za pojęcie nadrzędne w stosunku do równości, akcentując zarazem potrzebę wyrównywania szans życiowych jednostek i środowisk, zwłaszcza w odniesieniu do sytuacji najdotkliwszych i pilnych, jakie wiążą się np. ze stanem zdrowotnym społeczeństwa. Tej właśnie sprawie poświęcił się w najbliższym czasie jedno z posiedzeń Klubu.

Doceniając społeczne znaczenie działalności Obywatelskiego Klubu Konsultacyjnego redakcja „Ogłoszeń” będzie śledzić jego obrady z należytą uwagą i czynnie współuczestniczyć w popularyzacji najważniejszych przemysłów.

JERZY KWIECIŃSKI



Foto: Mirosław Zajdler

W Osiedlu Chojny Stare ma zamieszkać 3 tysiące ludzi. Do zakończenia jego budowy jeszcze daleko. Potrwa ona, co już teraz można stwierdzić z całą pewnością, znacznie dłużej, niż zakładano w pierwotnych planach. Po zakończeniu wszystkich prac, gdy na placach zabaw staną huśtawki, a przed blokami zakwitną kwiaty, będzie to jedno z najładniejszych łódzkich osiedli. Jego urok można dostrzec już teraz, choć znacznie łatwiej przychodziło to ludziom, którzy przyjeżdżają tu na kilka godzin w słoneczny dzień niż stałym mieszkańcom. Obecnie są bowiem Chojny wielkim i niezbyt porządnym placem budowy. Po nierównych drogach jeżdżą ciężkie samochody. Wyłożone przez nie koleiny z najwyższym trudem pokonują „syrenki” i „maluchy”. Do okien bloków zagląda dźwięki, w miejscach przyszłych kwiatników poniewierają się stopy betonowych płyt i stalowych elementów. Trwa ruch i rozgardiasz. Niemal w centrum tego placu budowy mieszka już w tej chwili około 10 tysięcy lokatorów — ludzi, którzy oczekując w spółdzielczej kolejce, niejednokrotnie marzyli o dniu, w którym dostaną klucze do własnego M. Przez lata oczekiwania nikt nie zastanawiał się, czy do bloków będzie prowadziła równa droga, kiedy otworzą sklep osiedlowy i czy w niedalekiej odległości znajdzie się punkt naprawy sprzętu gospodarstwa domowego. Liczyło się tylko mieszkanie. Z chwilą przeprowadzki zmienił się jednak punkt widzenia. Po kilku dniach euforii, że wreszcie mieszkanie jest, zaczęli ludzie zauważać także i to, czego nie ma, a co bezwzględnie być powinno. Przede wszystkim powinny być sklepy spożywcze i z artykułami przemysłowymi codziennego użytku, żłobki, przedszkola i szkoły, zapewniające odpowiednie warunki do nauki i zabawy wszystkim osiedlowym dzieciom, przychodnia lekarska, drogi, po których nawet w czasie jesiennej sioły można wygodnie dojść czy dojechać do domu, place zabaw, punkty usługowe najbardziej potrzebnych branż. Powinny być tramwaje i autobusy, zapewniające sprawny dojazd do centrum miasta i innych dzielnic. O wszystkich tych sprawach wiedzą nie tylko mieszkańcy osiedla — z potrzeb ludzi zdają sobie sprawę również projektanci i wykonawcy. A tymczasem... Posłuż się kilkoma cyframi.

W 1980 roku nie oddano do użytku żadnych pomieszczeń handlowych ani socjalno-usługowych. Niewiele lepiej było w roku 1981, kiedy to przekazano użytkownikom tylko dwa przedszkola tymczasowe w parterowych mieszkaniach. Pierwszy sklep na osiedlu otwarto dopiero w maju br. Zgodnie z założeniami w pierwszym realizowanym obecnie etapie budowy, obok bloków mieszkalnych, w osiedlu powinno powstać m. in. 9 sklepów spożywczych, 5 przemysłowych, 7 zakładów usługowych, 2 przedszkola stałe i 3 tymczasowe, nowa szkoła. Nie dają nadziei na poprawę sytuacji tegoroczne efekty, a właściwie ich brak. Plan przewidywał przekazanie w bieżącym roku 1.906 m kw powierzchni handlowej i socjalno-usługowej. Wiadomo już teraz, że nie z tego nie wyjdzie. Z planowanych na ten rok zadań, do których należą m. in. przedszkole, żłobek i 4 pawilony handlowe, żadne nie jest jeszcze rozpoczęte. W sprawie no-

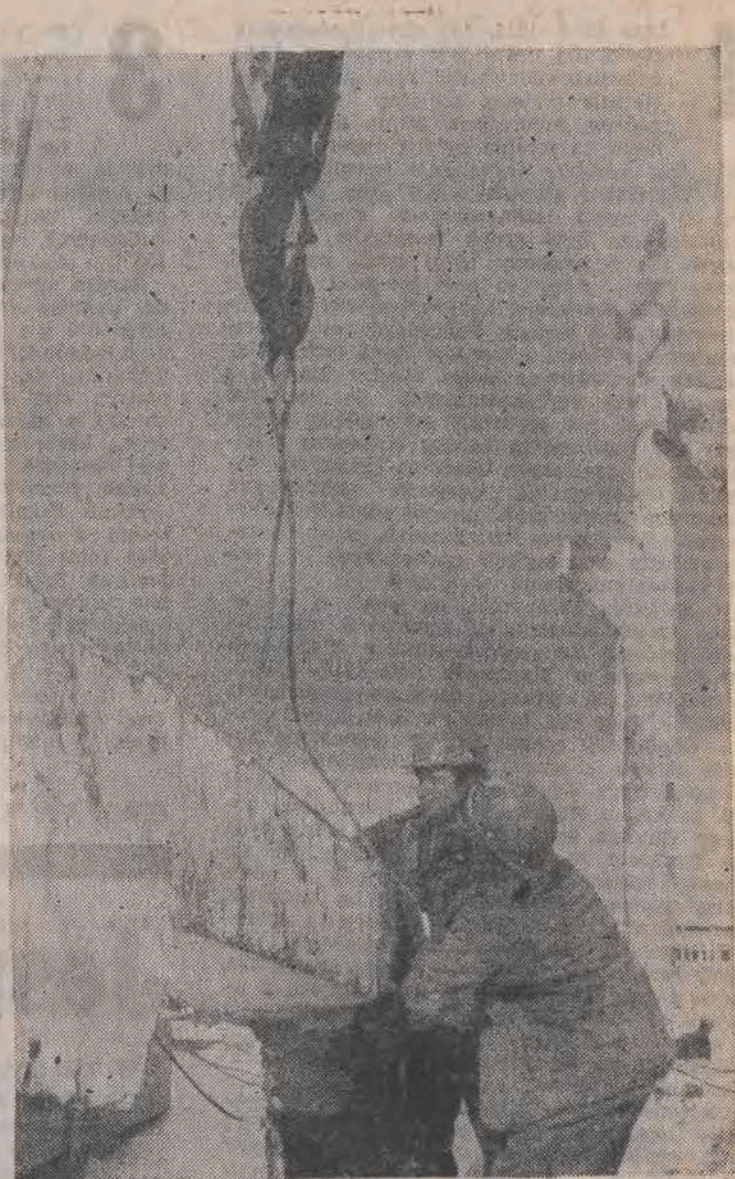


Foto: Mirosław Zajdler

Przede wszystkim mieszkania

TERESA JERZYKOWSKA

wej szkoły ciągle brak umowy z wykonawcą robót. Zaniedbano także remontu starego budynku szkolnego. Otwarcie minitargowiska, które miało powstać szybko, w trybie awaryjnym, zastępując w części brak sklepów, odsuwa się na nieokreślony termin, bowiem jego przyszły użytkownik nie zgadza się przyjąć nie uzbrojonego terenu. Nie rozpoczęto robót przy urządzeniu łącznicy telefonicznej, która również miała być gotowa w tym roku. Do dyspozycji mieszkańców są jedynie dwa automaty telefoniczne, często zepsute. Z 208 punktów świetlnych czynnych jest jedynie 55. Całe osiedle funkcjonuje na prowizorycznej sieci energetycznej, z której korzystają również budowlani, co powoduje częste awarie. Aby nie wydłużać ponurej listy, wspomnę jeszcze o fatalnej komunikacji i straszonym stanie dróg, zniszczonych przez ciężki sprzęt budowlany i o najważniejszej sprawie, którą są usterki w mieszkaniach: przemazanie ścian, przeciekanie oraz mnóstwo drobniejszych lecz ducziliwych braków.

Mieszkańcy Chojen tłoczą się w nielicznych, docierających tu tramwajach, obciążeni zakupami i dziećmi dowożonymi do odległych przedszkoli, pokonują z trudem księżycowy nieomal krajobraz, zanim dotrą do pełnych usterek mieszkań. Trudno więc dziwić się, że zamiast radości z długo oczekiwanego mieszkania objawiają w różnej formie żal i pretensje pod adresem spółdzielni mieszkaniowej, budowlanych oraz władz administracyjnych dzielnicy i miasta. Taką sytuację znamy od lat nie tylko z Łodzi, ale z całego kraju, z każdego nowego osiedla. Paradoxs polega jednak na tym, że Chojny miały być osiedlem wzorowym. Już przystępując do jego budowy podjęto słuszne postanowienie, iż w tym przypadku nie popełni się błędów i niedociągnięć typowych dla tego rodzaju przedsięwzięć. Skończyło się jednak na dobrych chęciach. Błędy pojawiły się już na etapie przygotowania procesu inwestycyjnego i pogłębiły w fazie wykonawstwa. Od samego początku, tj. od 1979 roku, kiedy rozpoczęto roboty niekubaturowe, związane z uzbrojeniem terenu, realizacja planu odbiegała od założeń. Smutny efekt oglądamy dziś.

Czy można było takiej sytuacji uniknąć, kto zawinił i kto odpowie za wszystkie kłopoty, z jakimi boryka się 10 tysięcy

ludzi? Odpowiedź na drugą część pytania — czego domagają się mieszkańcy i przedstawiciele organizacji działających w osiedlu, jest moim zdaniem nieistotna, w niczym bowiem nie przyczyni się do poprawy warunków życia. Warto natomiast zająć się poszukiwaniem odpowiedzi na część pierwszą, choćby po to, aby w przyszłości nie powtórzyć po raz kolejny tych samych błędów. Trzeba również zastanowić się, co można zrobić, wykorzystując posiadane siły i środki, aby ulżyć nieco mieszkającym tu ludziom, jak ustalić hierarchię potrzeb i problemów, aby w pierwszej kolejności zająć się najpilniejszymi. Próba sformułowania odpowiedzi podjęto w czasie plenum KD PZPR Łódź — Górna, w którym uczestniczyli również przedstawiciele inwestora, wykonawców oraz osiedlowych organizacji. Dyskusja była ożywiona i długa, ale chciałabym skoncentrować na jednej tylko wypowiedzi członka działającego w osiedlu Obywatelskiego Komitetu Odrodzenia Narodowego. Z wieloma szczegółami zgodzić się trudno, zwłaszcza z obarczaniem całą winą za powstałą sytuację budowlanych, bowiem nie tylko, a nawet nie przede wszystkim oni tu zawiniли. Warta uwagi i zastanowienia jest jednak myśl przewodnia: hasło — kryzys — jest zbyt łatwym i nadużywanym usprawiedliwieniem nieudolności czy niechęci do rzetelnej pracy. Nie wolno złożyć rąk i czekać, aż kryzys minie, to wtedy będzie się pracować dobrze. Najwyższy czas skończyć z apeli i prośbami, a zacząć żądać od wykonawców właściwej roboty...

I to właśnie wydaje się słuszne — zastąpić apele żądaniami, ale nie tylko na linii: mieszkańcy — wykonawca. Podobnie, jak mieszkańcy nowego osiedla mogą i powinni żądać od budowlanych bezusterkowych mieszkań, tak i ci ostatni muszą żądać właściwego przygotowania terenu budowlanego, odstąpienia od praktyki różnego rodzaju nacisków, dezorganizujących harmonogram robót (przypadki takie nie należały do rzadkości), terminowego dostarczania zamówionych materiałów. Kolejną listę żądań, po lokatorach i wykonawcach, przedstawia może inwestor i wszyscy zaangażowani w proces powstawania osiedla, od momentu, gdy jego projekt powstaje na deskach architektów i urbanistów, aż po ostatnie prace porządkowe. Jeśli każdy z uczestników realizacji osiedlowej inwestycji spełni wymagania pozostałych, problem przestanie istnieć. Rzecz jednak w tym, aby wymagania te były rozsądne. Można bowiem żądać przyspieszenia prac nad wyeliminowaniem wad technologicznych W-70, w jakiej budowana jest część osiedla, nie można — natychmiastowej zmiany technologii. Pomijając koszt związany z przeprojektowaniem, odsunęłoby to na dłuższy czas oddanie kolejnego bloku. Trzeba wymagać od budowlanych, aby nie pozostawiali po sobie śmieć, trudno natomiast zabronić im korzystania z dróg obok domów do przejazdów ciężarówek i sprzętu w chwili, gdy innych dróg nie ma. Niezbędnym warunkiem zachowania rozsądku w formułowaniu żądań jest także umiejętność czasowej rezygnacji z niektórych słusznych postulatów. Uwaga ta odnosi się przede wszystkim do nowych lokatorów. Jest sprawą oczywistą, że w osiedlu powinny być nie tylko sklepy, ale i wszystkie potrzebne obiekty usługowe i socjalne. Jeżeli jednak wszystkie siły skoncentruje się na usuwaniu założeń w tym zakresie, powstaną nowe opóźnienia, tym razem w budownictwie mieszkaniowym. I tak zresztą są one dość duże: z 64 budynków planowanych jako efekty 1980 roku, wykonano tylko 17 (26 proc. planu). Nieco lepiej było w 1981 roku — z 52 planowanych bloków oddano do użytku 40. W wyniku tych opóźnień 7.714 rodzin, które miały już otrzymać mieszkania, nadal czeka. Są to ludzie, dla których ciągle najważniejszą sprawą jest właśnie mieszkanie. Zapewne po otrzymaniu kluczy bardzo szybko zmienią zdanie, zapominając, że spółdzielcza kolejka, w której czekają inni, jest ciągle bardzo długa.

Chojny miały być wzorem. Nie są. Podobnie trudna sytuacja jest w innych nowych osiedlach. Nie zaniedbując działań zmierzających do jej poprawy — do czego uchwała plenum KD PZPR Łódź — Górna zobowiązała realizatorów — warto uświadomić sobie właściwą hierarchię potrzeb całego społeczeństwa miasta. Na pierwszym miejscu są tu mieszkania i tego przede wszystkim musimy żądać.

Trochę statystyki nikomu jeszcze nie zaszkodziło

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Czytelnicy nie lubią liczb. Dlaczego? — Bo liczby są nudne — powiada. Czy rzeczywiście liczby, dane i wielkości, jakimi operuje statystyka są nudne? Chyba tylko dlatego, że nie potrafimy ich czytać, że czasem brakuje nam wyobraźni, czasem fantazji, a czasem po prostu znajomości życia, co razem pozwoliłoby ująć za liczbami to wszystko, co się za nimi kryje, co ukazują rzędami ustawione cyferki.

Ukazał się właśnie **MAŁY ROCZNIK STATYSTYCZNY 1982**. Kosztuje: 75 złotych. Sporo. Ale przynosi szereg interesujących danych. Spróbujmy zatem popatrzeć, co się też kryje za niektórymi kolumnami cyfr.

1

Ile nas?



Jest nas — a ściśnięto było nas w 1981 roku, według danych na 31 grudnia — 36 062 tysiące. W ciągu ostatnich 21 lat przybyło nas 6 267 tysięcy.

W dawnych latach mawiano się, że jak się rodzi więcej chłopców niż dziewczynek to idzie ku wojnie. Jesli by wierzyć takim oświadczeniom z odległych lat, to trzeba byłoby ostro wziąć się za walkę w obronie pokoju, bowiem w wieku do 4 lat na 100 chłopców przypada 95,3 dziewczynki. Ta przewaga chłopców utrzymuje się do 19 lat, a i poniżej przeważają młodzieńcy i mężczyźni do 34 lat. Na każdym 100 mężczyzn w wieku od 30 do 34 lat przypada 98 kobiet w tym samym wieku oczywiście.

Mniejsza liczba kobiet w wieku do lat 35 nie powinna ich przerażać, jako że rośnie ilość rozwodów, a więc każdy pan i każda pani zdoła zakosztować rozkoszy małżeńskich, a niektórzy nawet po kilka razy. Gorzej nieco sytuacja wygląda wśród starszych roczników. Oto bowiem na 100 mężczyzn w wieku od 35—39 lat przypada już 100,6 kobiet w tym samym wieku. I im starsza grupa tym więcej kobiet przypada na stu mężczyzn. Są to oczywiście skutki wojny, ale i tego, że mężczyźni żyją krócej.

W grupie wieku od 55 do 59 lat na 100 mężczyzn przypada 124,8 kobiety. W grupie lat od 70 do 74 na 100 mężczyzn jest już 148,3 kobiet, a na 100 mężczyzn po 80 latach przypada, aż 235,7 kobiet.

Pilnujmy się więc panowie i dbajmy o zdrowie!

2

Nasze zdrowie



A jest po co dbać, bowiem statystycy ostrzegają, że rośnie liczba zgonów z powodu niektórych chorób. Temat to poważny, niema tu co żartować. Oto skutki postępującej cywilizacji.

Nowotwory złośliwe — były powodem zgonów w 8,9 przypadkach na 10 tysięcy ludzi w 1960 roku, już w 13,7 przypadkach w 1970 roku, ale po dziesięciu latach, czyli w 1980 roku — już 16,8 przypadkach. I choroby te są jednakowo groźne w miastach, jak i na wsi.

Spada natomiast śmiertelność z powodów nowotworów niezłośliwych. Jeśli w 1960 roku na 10 tysięcy ludzi z tego powodu umierało w 0,8 przypadkach, to:

— w 1970 roku w 0,5;

— w 1980 roku w 0,3;

choć w 1981 roku podniosło się do 0,4.

No i oczywiście serce.

Śmiertelność z powodu nadciśnienia utrzymuje się mniej więcej w tych samych granicach;

- 1970 rok — 2,0 przypadków na 10 tysięcy ludzi,
- 1975 rok — 1,8 przypadków,
- 1980 rok — 2,0 przypadków.

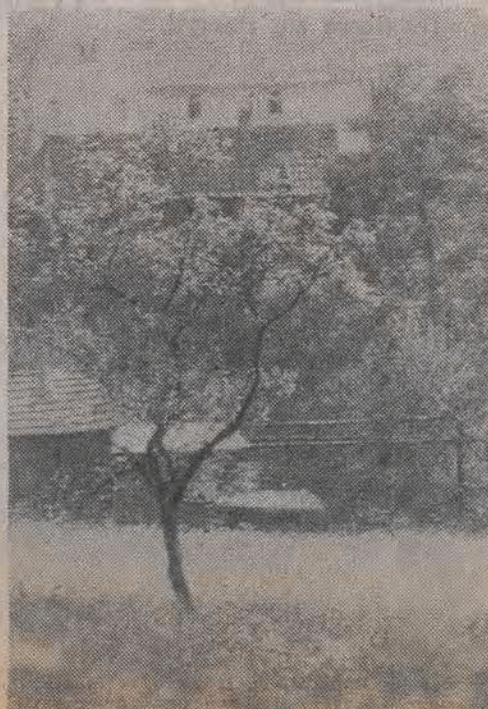
Tyleż samo w 1981 roku. Ale tu uwaga: śmiertelność z powodu nadciśnienia jest wyższa na wsi niż w mieście. Jeśli w 1981 roku na 100 tysięcy ludzi zmarło z tego powodu 1,6, to na wsi — 2,6.

Następne niebezpieczeństwo. **Niedokrwienie serca**. W 1960 roku z tego powodu na 10 tysięcy ludzi umierało 2,1, ale już w 1970 — 5,7 po 5 latach — 7,7 i w 1980 roku 9,2. Jednakże w 1981 roku, choć był to rok bardzo niespokojny, nerwowy, bogaty w wydarzenia, to ilość zgonów z tego powodu była mniejsza i wyniosła 8,7 przypadków na 10 tysięcy ludzi.

Podobnie sytuacja wygląda z innymi chorobami serca. Jeżeli w stosunku do liczby zgonów z tego powodu w 1960 roku (7,9 — wszystko oczywiście liczone w porównaniu do 10 tysięcy ludzi, czyli taka jest ilość zgonów na każde 10 tysięcy ludzi) nastąpił wzrost w 1970 roku — 9,1 i dalszy wzrost w 1975 — 10,0 to notuje się teraz pewien spadek: w 1980 — znów 9,1, ale już w 1981 — 7,7 i — co dziwniejsze — więcej przypadków zgonu z powodu innych chorób serca na wsi niż w mieście. A przecież w mieście było bardziej niespokojnie i nerwowo niż na wsi.

3

Nasze środowisko



Wiemy już, ilu nas jest. Dowiedzieliśmy się, jakie choroby nam zagrażają. Tu jeszcze może tylko dodatkowa uwaga, że gruźlica choć nie przestała być groźną chorobą, to dane wykazują spadek ilości zgonów z tego powodu: 1960 — 3,7; 1970 — 2,5; 1975 — 1,2; 1980 — 0,8. Popatrzmy teraz czym oddychamy, co pijemy, i w ogóle — jakim jest nasze środowisko. Zaczniemy może od wody.

Pijemy wodę z wodociągów i wydaje się nam, że wszystko jest w porządku. Siedzą tam specjaliści, którzy dbają o to, aby woda docierająca rurami do naszych domów było dobra i zdrowa. I my im ufamy. Ale nie ufają im statystycy. Dokonali badań i oto ich wyniki.

W 1980 roku wodociąg publiczny dał w 83,7 procentach wodę dobrą, w 13,4 niepewną i w 2,9 procentach wodę złą. I sytuacja jest gorsza niż w 1975 roku, bo wówczas wody dobrej było 87 procent.

Nie lepiej jest w wodociągach zakładowych. Dają one aż 6,8 procent wody złej, a w 1975 roku dawały złej wody tylko 3,6 procent.

Jeszcze gorzej jest w wodociągach lokalnych, gdyż tutaj w 1980 roku aż 13,7 procent było wody złej.

Wszystkie te dane dotyczą wodociągów w miastach, bo na wsi jest wcale nie lepiej. W 1980 roku w wodociągach publicznych było 7 procent wody złej, w zakładowych — 7,2, a w lokalnych — 24,1 procent.

Jeszcze gorszą wodę mamy w studniach. Tylko w studniach przydomowych w miastach było w 1980 roku 43,8 procent złej wody i w 66,2 procentach złej wody na wsi.

Proszę jednak nie myśleć, że źródła naturalne dają zawsze dobrą wodę. Oto wyniki badań z 1980 roku: w 20,7 proc. w miastach i 37,8 proc. na wsi w naturalnych źródłach jest zła woda.

A teraz popatrzmy, czym w różnych rejonach kraju oddychamy. Tu może uwaga dodatkowa, ale niezbędna chyba: mały rocznik statystyczny podaje wielkości ogólne bez rozbięcia na poszczególne województwa. Trudno więc na tej podstawie dokładnie powiedzieć, gdzie jest powietrze mniej, a gdzie więcej podtrute. Wiadomo, że w ośrodkach przemysłowych jest gorzej. W 1980 roku było bowiem 928 fabryk, które zatrwały atmosferę pyłami i gazami, więcej niż w 1975 roku, bo wówczas było takich fabryk 871.

Przeciw pyłom emitowanym w powietrze tworzy się powoli zaporę. W 1980 roku w 799 fabrykach były urządzenia redukujące pyły i przez to zatrzymywano 91,7 procent wszystkich pyłów emitowanych przez fabryki. Gorzej sytuacja wygląda z gazami. W 1975 roku fabryki emitowały 3 040 tysięcy ton gazów, a w 1980 roku — 5 135 tysięcy ton. W urządzeniach redukujących emitowane gazy pozostawało ich tylko 11,3 procent wszystkich.

Zmniejsza się też powierzchnia ziemi uprawnej i lasów. Są to — niestety — koszty rozwijającej się cywilizacji. W 1980 roku ogółem dla budowy osiedli, dróg, fabryk zabrano 16 281 ha, w tym 14 521 ha użytków rolnych. Pociągające może być tylko to, że 3 972 ha przeznaczono pod zalesienie lub zadrzewienie.

Mniej pociągające natomiast jest to, że „pod tonór” rosło hektary lasów. Na przykład:

- 337 ha lasów z drzewami do 20 lat,
- 217 ha lasów z drzewami do 40 lat,
- 236 ha lasów z drzewami do 60 lat,
- 126 ha lasów z drzewami do 80 lat

I 205 ha lasów z drzewami rosnącymi już ponad 80 lat. Tych starych drzew może najmniej powinno być szkoda, ale ich wiek pokazuje, jak długo drzewo rośnie, a jak szybko można całe hektary starego lasu wyciąć. Tym bardziej, że dziś topór zastąpiła piła mechaniczna.

4

Jak mieszkamy?



Kwestia mieszkaniowa — to jeden z najtrudniejszych problemów naszej skomplikowanej współczesności. Spółdzielcze statystyki utrzymują, że 570 tysięcy członków spółdzielczości mieszkaniowej oczekuje na mieszkania, a 440 tysięcy dłużej niż 5 lat. Ale to nie wszystko. Ta sama statystyka pokazuje, że jednocześnie 1 770 tysięcy kandydatów oczekuje na to, aby stać się członkami spółdzielni mieszkaniowych. 1 200 tysięcy kandydatów posiada pełny wkład na mieszkanie spółdzielcze. Są to dane zbyt optymistyczne. Sytuacja jest znacznie gorsza, gdyż wzrost kosztów utrzymania, jaki obecnie następuje, wielu rodzin uniemożliwia starania o mieszkanie spółdzielcze. A po drugie — spadek działalności budownictwa sytuację tę jeszcze bardziej komplikuje.

W latach 1970—1978 następował wzrost ilości oddawanych mieszkań. W 1970 roku oddano 194,2 tys. mieszkań, a w 1978 roku — 283,6 tys. mieszkań. I to był szczyt możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw budowlanych. Jak było z jakością oddawanych mieszkań — to inna sprawa. W 1979 roku nastąpił pewien spadek „produkcji” w budownictwie mieszkaniowym. Oddano 278 tysięcy mieszkań. W 1980 roku 217,1 tys., a w 1981 — 183 tys. Jak będzie w 1982 roku? — dopiero dowiemy się, ale sytuacja wcale nie jest wesoła, a prognozy optymistyczne.

Optymistycznie natomiast można byłoby ocenić inne wyniki budownictwa. Na przykład w 1975 roku na jedno mieszkanie przypadało w mieście 2,95 izb, a w 1981 — 3,13. Wynik, można powiedzieć — dobry, ale czy odpowiada on strukturze rodzin oczekujących na mieszkania, czy nie oznacza to, że buduje się mieszkania wieloizbowe, a mniej tzw. kawalerek, które też są przecież potrzebne, a przy wzroście kosztów utrzymania będą wręcz poszukiwane. Na pytania te trzeba będzie udzielić odpowiedzi osobno.

Statystyka pokazuje również, że w miastach w 1975 roku na jedno mieszkanie przypadały 3,49 statystyczne osoby, a w 1981 — 3,27, co nie jest zbyt wielkim postępem. Również przełiczenie izb na osobę statystyczną wykazuje, że w miastach w 1975 roku było 1,18, a w 1981 roku — 1,04.

Jak mieszkania, które posiadamy, są wyposażone w niezbędne urządzenia? Wodociąg posiadało w 1980 roku 87,8 procent (w 1970 — 75,2 proc.), ustęp — 74,5 proc. (w 1975 r. — 55,5), łazienkę — 71,0 proc. (w 1975 — 48,4), gaz — 61,2 (w 1975 — 48,3), centralne ogrzewanie — 59,7 proc. (w 1975 r. — 36,2). To oczywiście w mieście. Na wsi sytuacja wyglądała znacznie gorzej: wodociąg — 37,4 procent, ustęp — 22,3 proc., łazienkę — 27,1 proc., gaz — 2 proc., centralne ogrzewanie — 18,5 proc.



Zasobna wieś, solidne, przeważnie murowane obiekty, dużo wygodnych budynków mieszkalnych, czysto. Widać ludzi, to gospodarstwo. Nowy budynek Ochotniczej Straży Pożarnej, przyzwyczajenie do władz gminnych, sporty, ośrodek zdrowia, teraz buduje się pawilon na porożu dla matki i dziecka. Będzie też porożówka.

Jest dobra droga i wodociąg, w wielu domach są już łazienki. Gospodarkę przeważnie średnią, od 2 do 10 ha, tylko kilka wielkich, specjalistycznych. Duża wieś, około 800 mieszkańców, siedziba gminy (6 wsi i ponad 2.000 dusz). Konopnica leży 27 km od Wielunia, pięknie położona nad Wartą, przyjeżdżają tu letnicy. Nie leży za górami, za lasami, blisko do miast, a kłopoty ma, jak w wielu biedniejszych wsiach.

Dziewczęta, z którymi rozmawiam — młode, ładne, ubrane ze smakiem. Żadne tam wiejskie dziurki. Przeciwnie, są wygadane, z nerwem, mają maturę.

Pytam więc, czemu sława wsi przybłąka jakby, gdzie się podziła wielka aktywność kulturalna mieszkańców.

Lidka: — A pani chciałaby się robić to życie kulturalne po szesnastu, albo i więcej godzinach pracy? Od 7.00 do banku, a jak jest spód bycia to i od 5. Uwaga! Trzeba, bo ma się do czynienia z pieniędzmi. Potem lecieć w pole, obrobić 6 ha, zaożyć, zasieć, wycześć się po nawoży. Teraz na gwałt wozu się siano. Wracę człowiek o 10 wieczorem, pełną furą zmordowany jak diabli, pot się leje, a w obejściu też jeszcze trzeba pomóc.

No? Gdzie jest czas na kulturę. Walą się człowiek z nóg i śpi kamieniem. A rano od nowa.

Urszula: — A tutaj nie ma tak, że raz zrobisz i gotowe. Czasem obrobisz pole, wypieścisz, wszystko jak w podręczniku. I przyjdzie ulewa albo grad. I zaczyna się od nowa. Cała robota na marne. Ile razy stałam nad polem i płakałam ze złości. Wyje się, przeklina, ale zrobić trzeba.

Maryla: — Chyba wtedy najbardziej mi żal że zrezygnowałam ze studiów, że nie uciekłam. — Chciałaś iść do miasta?

Lidka: — Wszystkie chciałyśmy, ale każda po maturze wróciła. Albo się próbowało i nie wyszło ze studiami, jak z moim prawem administracyjnym, albo zwyczajnie trzeba było wrócić pomóc na gospodarstwo. Mam ciężko chorego ojca po wypadku, matka też nie pierwszego zdrowia, jest 6 ha pola i dom, który zbudowałyśmy niemal we dwie z matką. Tylko czasem, jak już sobie przydeputuję nos ze zmęczenia, to tak bym spałowała manatki i wio, do miasta. Na posadę, po 15 jestem wolna jak ptak, nie ma orki, gnoju. Chodzi człowiek w eleganckich pantoflach, a nie w gumakach za kolana.

Janina: — Tutaj tylko zimą jest czas. I kawałek lata, po robotach wiosennych, a przed zniwami. Wtedy się jeździ po koleżankach, które poszły do miasta. Obiecują się kina, czasem teatr, albo jakiś koncert. Natapie się człowiek na zapas, jak wróci.

Maryla: — Zdarza się czasem wśród ludzi w mieście, że wstydzą się pokazać ręce: stwardniałe, pokancerowane. Każdy od razu pozna, że ze wsi. A jak ze wsi, to pewnie głupi, ćwoki. Ludziom w mieście się wydaje, że jak chodzą po trotuarze, to i kulturalnie mają. Robią cię. A jak się pojedzie na zakupy, to widać, jak tym miastowym elegancom słoma z cholewek wyłazi. Pewnie, różnie bywa, ale przecież nasza wieś nie jest zabita dechami. I my mieliśmy tu kino, niby objazdowe, ale raz na tydzień był nowy film. Dostawaliśmy filmy z Łodzi, zawsze nowości. Ale jak się uparł Wieluń, że teraz oni będą rozprowadzać filmy, to kino stoi zamknięte, a jak się czasem coś trafia, to szmłra, że nie daj Boże. Teatr tu był, zespół muzyczny...

— A teraz co, nie ma?

Maryla: — Teraz jest w kółko robota.

— Przecież na wsi zawsze była robota? A jednak o Konopnicy głośno bywało. Że kulturalna, że aktywna. I nagle, co? Tak ładnie żarło i zdechło?

Marzena: — No, nie całkiem. Przecież mamy zespół pieśni i tańca. Same w nim pracujemy. Kilku chłopaków gra w zespole muzycznym. Sami organizujemy zabawy, różne „Andrzejki”, topienie marzanny, czy inne.

Urszula: — Z tą kulturą u nas jest tak jak z tym przysłowiem:

TRZYMAJ SIĘ PĘDZLA, BO DRABINĘ ZABIERAM...

...jest dom kultury i nic się w nim nie dzieje. Inni nawet miejsca dla siebie nie mają, a tu stoi chatupa jak stodoła. Ale jak trzeba coś zorganizować, to musimy wszystko załatwiać sami. Wyprosić salę, przygotować bufet, nawet kanapki zrobić. Jeszcze posprzątać po sobie. A Dom Kultury zatrudnia dyrektora, wicedyrektora i sprzątaczkę. A najweselsze, że jeszcze płacą za to musimy, bo GOK (Gminny Ośrodek Kultury) musi przynosić zyski. Przecież ten Dom jest nasz, wieś go zbudowała. Dla naszego koła ZSMP (tu u nas nie ma ZMW) powinny być drzwi stale otwarte.

Lidka: — W ogóle cały ten interes jest postawiony na głowie. Administracja gminna tak musi rządzić, żeby wyjść na swoje i żeby na wszystko starczyło. Jak reforma to reforma, więc i Dom Kultury i Spółdzielnia Kółek Rolniczych mają się samofinansować. Tylko czy można GOK traktować jak dojną krowę? Tak mi się zdaje, że administracja, mając w ręce fundusze na kulturę, powinna się tylko opiekować sprawami żywymi Domu Kultury. np. etaty dla ludzi pensje, ale zostawić im swobodę. W końcu kto się ma znać na robieniu kultury: urzędnik czy instruktor kulturalny?

Maryla: — Z tymi instruktorami też jest na opak. Kiedyś szefem Domu Kultury był Leszek Janiak. Ten to miał energię załatwiać organizować. Było kółko fotograficzne, modelarskie, kółko literackie, dla każdego coś miłego. W Domu zawsze coś się działo. Teraz chłopak wziął się za sport i prowadził nasz Międzyzakładowy Ludowy Zespół Sportowy, i nawet dobrze mu to idzie.

Urszula: — Za to Dom przysiadł. Nasz dyrektor, pan Adamski, to znany literat, poeta. To jest złoty człowiek, dobry i mądry, wszyscy go tu bardzo szanują. Tylko kto to widział, sadzać poete na urzędzie? Pan Adamski to skarb dla Konopnicy, ale on ginie w tych

wszystkich urzędowych sprawach. Byłby cudownym opiekunem dla młodych. Na pewno przyciągnąłby wielu zainteresowanych literaturą. Ale skąd ma mieć na to czas, kiedy musi urzędować? Tu potrzebny jest młody, energiczny organizator. Taki, co potrafi się wykić w urzędach, przypilnować sprawy. Dyrektor nie jest od robienia kultury, on ma organizować. A instruktorów brakuje.

— Tyle jest przecież bezrobotnych?

Marzena: — Ale nie ma mieszkań. W Konopnicy bardzo z tym ciężko. Młode małżeństwa albo gnieżdżą się katem u gospodarzy, albo uciekają do miast, przeważnie na Śląsk. Zaczęli parę lat temu budować kilka bloków mieszkalnych. One załatwiłyby całą sprawę, ale teraz się okazało (jakby wcześniej nie wiedzieli), że budowę zaczęto na gruncie I klasy. Dzisiaj bardzo pilnują wykorzystania ziemi uprawnej, więc budowę wstrzymano. I tak wisł w powietrzu. Nie będzie mieszkań, nie ściąganie się ani nauczycieli, ani instruktorów.

Janina: — Z pieniędzy na działalność kulturalną też jest cała kolomyja. Niby są, ale

JOLANTA WROŃSKA

Było o wsi głośno

Ant, było. Był amatorski teatr dramatyczny, teatr kukiełkowy. Biblioteki zazdrościć mogli miastowi. Chciało się ludzi budować Dom Kultury, boisko sportowe z przyległościami. Mówili — światła wieś, wzór daje. Działacze się cieszyli,

— Uuu, pan! tu jak psyjeżdżo! dochtór na rowerze z węzłkiem, to zawsze odjeżdżał własną taksówką.

Tak więc, nie poznawszy lekarza, maszeruje do gimnazjalnej biblioteki.

Już sama czytelnia i podręczny księgozbiór mogą wzbudzić zazdrość. Czysto, przytulnie, jasno. A na półkach encyklopedie, słowniki, atlasy, leksykony. Jest literatura społeczno-polityczna i podstawowe dzieła historyczne.

Gospodyni, pani Elżbieta Dondziak, oprowadza po swych włościach.

— Jak zaczynałam — mówi — to prowadziłam jednocześnie świetlicę i bibliotekę. Miałam 18 m kw, bez pieca, zupełna prowizorka. Księgozbiór liczył wtedy 3.100 tomów. To był rok 1970. Dzisiaj mam piękną czytelnię na 25 miejsc i wygodne zaplecze, a na półkach 7.040 tomów.

— Mówią o pani, że jest pani tu najważniejszą dla kultury, wychwalają.

— Eee tam, przesada.

— Kiedy pani zaczynała tu pracę, byli już jacyś czytelnicy czy była to orka na ugorze?

urzędnicy się cieszyli, wieś poprawiała statystyki w „ukulturalnianiu”, gospodarce, w czynach społecznych. Potem jakoś ucichło. Pojechałam więc zobaczyć tę światłą wieś i ludzi, co im się chciało.



Foto: Mirosław Zajdler

dostać ich nie można. Te wszystkie przelewy bankowe to cała operacja. Nasze koło ZSMP chciało kupić jakiś porządny sprzęt radiofoniczny, ale tu się okazało, że od czasu odnowienia ZMW, wieś przypisano do tego Związku. Nie ważne, czy po wsiach są koła ZMW, czy ich nie ma. Więc pieniądze na kulturę na wsi oddano na fundusz ZMW w województwie, a ci nie chcą ich dawać dla innej organizacji. Niby słusznie, tylko co z nami? Najprościej byłoby zmienić nazwę i pieniądze się znajdą.

Lidka: — Z tego wszystkiego została tylko biblioteka, bo nawet jak przyjeździe — rzadko bo rzadko — jakaś estrada albo teatr, to wstawiają taki kit i chałturę, że szkoda człowiekowi czasu. Pamiętam, jak robiła u nas teatr pani Felicka Budzik, nauczycielka. Dzisiaj już na emeryturze. Wszyscy młodzi mają o niej najlepszą pamięć. Jak robiła przedstawienie, to ludzie zjeżdżali się nie tylko z gminy, ale i z dalekich okolic.

— A teraz?

Marzena: — A teraz jest praca, praca, kryzys, kolejkę i praca. Chwała Bogu, że zostały jeszcze książki, przynajmniej się liter nie zapomni.



Po drodze do biblioteki zaglądam do ośrodka zdrowia, ciekawa jestem warunków pracy, młodych kadr. W poczekalni tłok, są właśnie godziny przyjęć. Zaczęłam jakąś babinę i pytam, czy jest doktor.

— Jeszcze go nima.

— A gdzie jest? Pojechał do chorych? Bo tu tyle ludzi czeka?

— Niii, pani, on u siebie, na górze teraz leczy.

— Jak to, na górze? Przecież tu ma gabinet?

— Ale on prywatnie. Jak skńczy, to psyjdzie na dół.

— To źle mu tu nie jest.

ją książek bardzo poszukiwanych, potrzebnych dla kobiet chcących odpocząć po całym dniu harówki, dla mężczyzn, nie mających wiele czasu na studiowanie jakichś trudniejszych pozycji. Nie mówię już o tzw. nowościach literatury współczesnej — polskiej i obcej. Często te psychologiczne dyrdymały są nie do ugryzienia. Tutaj czytelnik chce rozumieć o czym czyta, chce szukać w książce znajomego życia. Co wcale nie znaczy, że można iść na łatwinę i kupować dla biblioteki byle co. Bardzo poszukiwane są książki Wacława Bilńskiego czy Stąpora. „Rozmowy z katem” Moczarskiego ludzie wyrwali sobie z rąk. Sytuację wydawniczą pani zna, w księgarniach pełno, tylko nie ma co czytać. Dlatego już od dwóch lat niemalże nie przybyło mi książek z oficjalnych dostaw. Tylko raz dostałam 90 tomów, z czego większość to debiuty. Nikt tego nie ruszył. Nie znaczy, że wszystkie książki były złe, ale czytelnika wychowuje się napierw na znanych mu autorach i ciężko go nakłonić do sięgnięcia po coś nieznanego.

Raz tylko naszą bibliotekę spotkał wielki zaszczyt. Prof. Pawłowski z Pabianic, często przyjeżdżający tu na lato, ofiarował nam sto tomów, mnóstwo wspaniałych rzeczy. Niestety już nie żyje, ale cały swój prywatny księgozbiór — 300 tomów — zapisał bibliotece w Konopnicy. Dostaliśmy poezję Baczyńskiego i Staffa, „Noc i dzień”, „Lunę w Bieszczadach”. Te książki od razu powędrowały do czytelników. O książkach dla dzieci i młodzieży lepiej nie mówić. Jedna tragedia. To, co mam, pielegnuję jak mogę, strzegę jak oka w głowie, żeby na dłużej starczyło. Nowe pozycje literatury dziecięcej są zupełnie nieczytelne. Dzieci tego nie lubią, a wznowienia choćby bajek Brzechwy nie widziałam już od lat.

Przecież młodzież to najważniejszy czytelnik. Jak się w dziecku wykształci nawyk czytania, to zostanie na całe życie. Dlatego wspólnie z nauczycielami organizujemy lekcje w bibliotece. Dziecko od IV klasy uczy się korzystania z katalogu, ze zbiorów podręcznych, uczy się wędrować po książkach. Lekcja historii, języka polskiego czy geografii w zetknięciu z obrazem, tekstem lub atlasem, o wiele łatwiej jest przyswajana. Taką lekcję dziecko pamięta, bo kojarzy ją z konkretem. Tutaj wielką pomoc i opiekę mam zresztą ze strony Biblioteki Wojewódzkiej w Sieradzu. Zamawiam książki, których nie mam u siebie. Przydają się nie tylko do lekcji.

Dużo mi się udało w tej pracy, ale mam też swoje niepowodzenia. Jedno z nich to zupełnie fiasko z upowszechnieniem fachowej literatury rolniczej. I wcale nie dlatego, że rolnik jest głupi. Myślę czasem, że ten co napisał uczonę dzieło o nawożeniu, nigdy w życiu nie rozrzucał na przykład gnoju na polach. Za przemądrzało to, za bardzo uczonym językiem pisał. Rolnik specjalizujący się w hodowli bydła musi mieć konieczną literaturę, ale dla tych (a mamy ich większość), co to i trochę kartofli, i żyto, i warzywa, i bydekko, dla nich potrzebna jest przede wszystkim jasna i zrozumiała broszura, ulotka, dobra prasa rolnicza. I ona przede wszystkim jest czytana. Najważniejsze, żeby informacja była aktualna i do starczona na czas.

Druga rzecz, to zastanawiający fakt, że ostatnio jakby mniej się czyta literatury społeczno-politycznej. Jakby ludzie mniej potrzebowali pogłębić swą wiedzę. Wystarczałyby gazety. Pozamykali się ludzie w sobie. Na pewno trzeba czasu, żeby się otrząsnąć ale żal, że właśnie teraz nie sięgają po książki.

... I KRASNOLUDKI

Rozmawiając z tutejszą młodzieżą odniosłam wrażenie, że oni nawet chcą coś zrobić, ale przyniata ich nawał codziennej roboty w polu, a zwłaszcza bierność tych, którzy są odpowiedzialni za życie kulturalne tu w gminie, ale nie tylko.

— Kiedy ja myślę — mówi pani Dondziakowa — że młodym się po prostu nie chce. Ze czekają na gotowe, aż im się podsunie pod nos. Narzekanie na robotę też jest bez sensu. W polu zawsze była robota, a ci, co wcześniej zrobili tyle dla wsi, co im się chciało organizować teatr, konkursy, zapraszać estradę, też przecież pracowali. Może po prostu ludziom chciało się przedtem pracować w gromadzie. Młodzi z kolei — i chyba nie bez racji — twierdzą, że za organizowanie życia kulturalnego odpowiedzialni są ci, którzy otrzymują za to pensje. Ze społeczna praca mieszkańców, owszem, ale że nie można robić za darmo czegoś, za co ktoś inny bierze państwowe pieniądze.

— Ma pani trochę racji. Młodych trzeba poddeprzeć, dać im przykład. A tu starzy się wykruszyli, a młodzież zapatrzoną jest na wzór miasta i w telewizję. W ogóle uważam, że telewizja, mimo wszystkich swoich zalet, tu, na wsi, wyrządziła szczególnie wielkie straty w aktywności ludzi. W flu-wsiach jedynym schematem spędzenia czasu wolnego jest gospoda albo telewizor? A potem zaczyna się główna impreza rozrywkowa, z wyrzucaniem kółków z plotu i kłonicami.

Przez całe lata propagowano tę bierność przed telewizorem. Zresztą warunki teraz są znacznie cięższe niż kiedyś. Kto ma 2 hektary, nie uciula na dokupienie ziemi, musi dorabiać w przemyśle albo na urzędzie. Z małych gospodarstw młodzież pociękała do miast. Ci, co zostali, harują na gospodarce i nie mają czasu na nic więcej. A na kulturę trzeba oczywiście mieć czas. Mogą ją więc robić ci, którzy albo nie mają gospodarstwa, albo są na emeryturze.



Na odjeździe młody człowiek powiedział mi: — Proszę pani! lata mijają, piosenki mijają, tylko refren jest ten sam, że krasnoludki wreszcie pomogą tej sierotce Marysi ze wsi...

W stał, chłodny mimo lata, ranek niedzielny 14 czerwca 1970 roku. Byłem niewyspany, czułem się markotny i wcześniej wybrałem się na ulicę Nowotki. Nawarzyłem piwa — pomyślałem — trzeba będzie je teraz wypić. Sądziłem, że będę pierwszy. Ale w szkole zastałem już w komplecie komitet organizacyjny. Przed dziesiątą zjawia się też pierwszy goście. Najpierw — przyjeźdźni. Poznań, Szczecin, Opole, Warszawa, Tomaszów Mazowiecki, Sochaczew, Koluszki... Następnie miejscowi.

Znam już tych, którzy pokazali się na poprzednich zebraniach organizacyjnych. Ale duże trudności — zwłaszcza, gdy chodziło o pięć żeńską — sprawia mi rozpoznawanie nowo przybyłych. Przecież to dwadzieścia siedem lat!

Zjawiają się jak na bardzo uroczyste święto lub premierę wielkiego widowiska. Wsuwają się do sali jakos nieśmiało, nieco niepewnie, jakby bojaźliwie... Czas odsunął nas nieco od siebie. Czujemy się teraz wszyscy, jakbyśmy się tu zjawili z innego świata... Rozglądają się ciekawie po sali, podchodzą do mnie i witają się kordialnie. Większość musi mi przypominać swoje dawne, panięskie nazwisko. A chłopcy?... Przepaszam — dawniejsi chłopcy. Wydorosli, zmężnieli, zmienili się bardzo. Czas przyszykował czuprynki, niektórych częściowo lub zupełnie pozabawił.

Zajmują miejsca przy nakrytych stołach nie przerywając śpiesznego wiatku rozmowy, który się jednak rwie i ogranicza z konieczności do krótkich i lakonicznych odpowiedzi. Z boku siedzi samotnie jakaś przynębiona, zagubiona kobieta. W rękę trzyma mój pamiętnik, niby bilet wstępu. Jest inna od wszystkich. Okazuje się, że odbyła nocą drogę ze Szczecina i nie zmuzyliła okupacyjnej przeszłości. Głos jej wydaje się dziwnie znajomy.

— To ty jesteś... może... Jasia? — zwraca się do niej nieśmiało Ewa Walczakówna.

— Ewa! — wykrzykuje tamta z uniesieniem.

Sciskają się mocno i długo. To przecież Jasia Musiałowska, która przybrała rodzice. Wczoraj, uważali za swoją córkę. W komplecie uczyla się stosunkowo krótko, ponieważ Niemcy wywieźli ją do Rzeszy gdy miała dwunasty rok życia. Kiedy wróciła do Łodzi nie starczyło jej sił ani nie było warunków do kształcenia się. Wyszła za mąż, pracuje i mieszka w Szczecinie.

Zebrań odbywa się pod hasłem: „Spotkanie bohaterów „Pamiętnika nauczyciela” z autorem i ich okupacyjnym wychowawcą”. Prowadził je inż. Zbigniew Sosniński, ten sam, który w czasach hitlerowskich rządów w Łodzi zmuszony był pracować w sklepie volksdeutscha Nobla, mojego prześladowcy. Lektorem jest Kryśia Nowakówna, aktualnie magister Jajtę, chefiłki Od jej ojca, pracującego w miejskim archiwum otrzymywałem cenne pomoce naukowe dla kompletów. Zadanie lektora będzie polegać na odczytywaniu urywków

„Pamiętnika” związanych z określoną sytuacją, w jakiej znalazł się uczestnik spotkania, który będzie przemawiał. Odczytywanie urywka ma stanowić niejako rekomendację żywego bohatera książki i stwierdzenie faktów nie wszystkim znanych.

Jeszcze w czasie okupacji Heniek Podgórski z kompletu klasy V i Hania Zdzieszkówna z klasy VI zmarli na gruźlicę; w styczniu 1945, kiedy światła nam wolność, od odlamka bomb ginie Mietek Głazcz z klasy IV, wnet potem umiera na gruźlicę Adam Bajer z klasy VI, syn mojego fikcyjnego pracodawcy, i z tej samej klasy Mietek Dąbrowski — z powodu choroby serca. W następnych latach, kiedy już mieliśmy wolność — Kryśia Szymkiewicz z klasy V, wtedy studentka III roku biologii na Uniwersytecie Łódzkim, Kazik Kowalski już jako lekarz oraz Leszek Piotrowski stają się ofiarami wypadków samochodowych (ten ostatni na kilka dni przed spotkaniem). Odczytana lista nieżyjących kolegów zrobiła na słuchaczach ogromne wrażenie. Ich pamięć uczczono chwilą ciszy.

Z uchwycionych zestawień wynika, że ogół wychowanków po wywołaniu ukończył szkołę średnią ogólnokształcącą z nadbudową specjalistycznych kursów pomaturalnych, niektórzy pokończyli szkoły średnie typu zawodowego. Oddzielnie sporządzona lista zawiera pięćdziesiąt nazwisk z adresami, których właściciele zdobyli dyplomy wyższych uczelni. Na liście figurują lekarze różnych specjalności, nauczyciele (w tym naukowcy), absolwenci prawa, dziennikarze, plastycy, specjaliści techniczni, chemicy, włókniarze, itd.

Teraz następują przemówienia byłych uczniów, rodziców, nauczycieli, przedstawicieli Okręgowej Komisji Historycznej ZBoWiD i moje własne.

Pierwszym mówcą był Tadek Milczarski, aktualnie lekarz w Tomaszowie Mazowieckim. Skomentuje on urywek z „Pamiętnika” odczytany przez lektora pt. „A dlaczego dzieci uciekły?”.

Jeżeli Tadek mówił swobodnie, na swój sposób odzwierciedlając szczegóły zdarzenia i z pozycji człowieka w pełni już dojrzałego dawał świadectwo prawdziwie tamtych czasów — to niezwykle wzruszenie ogarnęło wszystkich w czasie przemówienia Wandzi Trzapałkowskiej (aktualnie Małczyńskiej), warszawskiego lekarza. Z ust lektora usłyszała fragment odbywającej się w roku 1941 Akademii Listopadowej, która miała miejsce w mieszkaniu Tadeka Milczarskiego przy ulicy Niemcewicz, przy rogu Łącznej. Wtedy Wanda, kończąc swój nastrojowy, deklamowany wiersz pt. „Pożegnanie” — rozplakała się i ze łzami w oczach zakończyła deklamację utworu. Teraz, jak żywa, stanęła przed nią atmosfera tamtych lat i przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Jestem tak wzruszona — powiedziała — że nie wiem, czy nawet będę mogła mówić... Mimo, że upłynęło już tyle lat, jakiś moment ten zapisany w książce jest tak żywy, tak głęboko wrył się w pamięć, że

Spotkanie

ADAM KOWALSKI

W poprzednim numerze „Odgłosów” zamieściliśmy fragment wspomnień Adama Kowalskiego — autora książki wydanej nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w 1969 roku — „Pamiętnik nauczyciela”. Książka traktowała o pracy nauczycielskiej w okresie okupacji. Już po wydaniu książki autor doszedł do wniosku, że byłoby dobrze spotkać się po latach z byłymi uczniami. Drukowane w „Odgłosach” fragmenty wspomnień pod tytułem „Kim teraz są” opisują przygotowania do spotkania autora książki z byłymi uczniami. Obecny — samo spotkanie. Wybrane przez redakcję fragmenty pochodzą z nie drukowanej jeszcze drugiej części książki, którą autor zatytułował: „Epilog, czyli FINIS CORONAT OPUS” — koniec wieńczy dzieło. Skróty pochodzą od redakcji.

chyba nigdy nie będzie można tego zapomnieć.

Skończywszy, Wandzia z pełnymi łez oczyma podeszła do stołu, przy którym siedziałem i słabutkim głosem jeszcze raz dziękując mi za pracę okupacyjną dla dobra polskich dzieci — serdecznie mnie uściskała.

Po niej głos zabrał Mietek Nowak, ojciec mgr Krystyny Jajtę, po nim pani Walczakówna, matka Ewy:

— Cóż ja mogę powiedzieć po tylu latach? To wszystko już się trochę zatęchło w naszej pamięci, ale było przeżyciem swego rodzaju. U mnie w domu także odbywały się lekcje. Zawsze starałam się wtedy dyktować na korytarzu. Ale jednego razu zapomniałam zamknąć za ostatnim dzieckiem drzwi na klucz. Nagle wchodzi listonosz. Strach sparaliżował mnie po prostu. Bałam się przecież o wszystkie dzieci i o profesora. Wyszłam za listonoszem i tłumaczę mu: „Dzieci uczą się tylko niemieckiego, bo to szkoda, żeby traciły czas na próżno”. A listonosz odpowiedział: „Niech się pani nie boi... ja też jestem Polakiem!”.

Ryszard Till powiedział:

— Na sali jest wiele osób, którym się trzeba długo przysłuchiwać, by wreszcie poznać, kim jest ta osoba. Ale pamiętam dobrze sylwetkę naszego nauczyciela. Utkwiła mi dobrze w pamięci, gdyż chodził w piaseczku — nie wiem czy to był skórzany czy z tworzywa — w każdym razie na ulicy można go było wziąć za gestapowca. Może to nie jest właściwe określenie, ale taki ubiór — być może — dawał większą pewność w poruszaniu się na ulicy. Tę właśnie sylwetkę, ten czarny piaseczek i taką jakąś poważną, ruchliwą postać widzę jeszcze do dziś. Ta okoliczność dodawała nam nawet pewnej otuchy i większej pewności w naszych warunkach...”

Następnie głos zabrał jeszcze: była uczennica — mgr Jadwiga Lutrosińska, była uczennica Eulalii Majchrzakowskiej-Konopki, matka jednego z uczniów (jest dziś notariuszem) Teodora Bocheńska, matka innego ucznia — Marianna Prajs, uczestniczka tajnego nauczania Alcja Napiórkowska, Helena Czekaj — sekretarz zespołu do

spraw tajnego nauczania przy Okręgowej Komisji Historycznej ZBoWiD, przedstawiciel tej komisji — p. Adamowicz i wreszcie przyszła kolej na mnie. Oto, co powiedziałem między innymi:

— Jak to się stało, że my dzisiaj się spotykamy? Przyszłam się wam, że w moim sercu od dawna pielegnowałam taką myśl o spotkaniu, tylko nie wierzyłam, że to się uda. Wiedziałem, że jesteście rozproszeni po całej Polsce. A te adresy, które miałem zachowane, to były adresy okupacyjne, tymczasowe, prowizoryczne. Ale kiedy ukazało się w ubiegłym roku drugie wydanie mojej książki „Pamiętnik nauczyciela”, i kiedy w czasie spotkań z młodzieżą szkolną czytałem jej urywki z książki i opowiadałem o tajnym nauczaniu, stwierdziłem ze smutkiem, że dzisiejsza młodzież prawie nie wie o okupacyjnym nauczaniu, albo ma błędne o nim pojęcia. Tego, co mówiłem, słuchała młodzież z zapytaniem, a w dyskusji zapytano wreszcie: „A co się stało z tym uczniem lub uczennicą?” A co się stało w ogóle z bohaterami tej książki, jeżeli oni żyją, są prawdziwi, a nie fikcyjni?”

Niestety, nie miałem zaspołkoć ciekawości młodzieży, bo znałem tylko dalsze losy niektórych uczniów z najbliższej rodziny. Ale wtedy chyba najwięcej zaczęła w moich myślach kiełkować myśl spotkania (...).

O nauczycielach, biorących udział w akcji tajnego nauczania czytamy czasem w prasie lub innych publikacjach artykuły, zatytułowane szumnie, chociażby: bohaterowie tajnego nauczania. Może to i słusznie. Ale mało jest wzmianek o wazszych rodzicach, tych sojusznikach nauczyciela w konspiracyjnej akcji. Jeżeli nauczyciel był tym pierwszym czynnikiem inspirującym i prowadzącym pracę, to bez pomocy rodziców, chociażby bez ich biernej zgody, bez udostępnienia mieszkań dla kompletów, bez pewnej ilości pomocy naukowych, o które rodzice zabiegali, bez wystawiania na straż w czasie lekcji nie można by sobie wyobrazić tajnego nauczania. Ale powiem wam, co stwier-

dziłem na początku mojej pracy okupacyjnej. Wasze matki zdawały się być odważniejsze od niektórych ojców, którzy nie godzili się na przysyłanie dzieci na lekcje. Zdarzało się czasem, że matki przysyłały dzieci bez wiedzy ojca.

Myśmy jeszcze nie orientowali się, że w Łodzi tam, gdzie jest ulica Przemysłowa zakłada się fundamenty pod wielki obóz koncentracyjny dla polskich dzieci. Wystarczyło, aby polski chłopiec wybił szybę w niemieckim domu lub aby polska dziewczynka przez pomyłkę wsiadła do wagonu tramwajowego z napisem „Nur für Deutsche”, by w konsekwencji dostać się do tego obozu zagłady. A czy tajna nauka mogła uchodzić za mniejsze „przestępstwo”? Czy nie przynosiłoby mi wiadomości, że gdzieś w samej Łodzi czy też w pobliżu Niemcy nakryli tajny komplet, zabrali dzieci, nauczycieli i rodziców? A czy nie było wypadku, że nasi chłopcy, wbiegając zdyszani i spojeni na lekcję, tłumaczyli się, że Niemcy łapią polskie dzieci na ulicach?

A więc trzeba rozgrzeszyć ojców, którzy początkowo bałi się przysyłać swoje dzieci. Oni mieli rację. I dlatego uważam, że aureola bohaterstwa należy się wszystkim rodzicom, którzy posyłałi swe dzieci na komple-

A co o was mógłbym powiedzieć, moi uczniowie? Wtedy byliście w wieku dziecięcym, w takim okresie życia, kiedy to czasem zdaje się, że świat można przewrócić do góry nogami, kiedy to szuka się jakiegoś mocnego przeżycia, jakiegoś przygody, kiedy to czasem ucieka się nawet z rodzinnego domu i zdaje się — bez powodu. Byliście wtedy w wieku takiej robinsonady, szukałiście przygody. I ta przygoda sama weszła wam w ręce. Wielka Przygoda! Wystarczyło nawet, żebyśmy się, ot tak spotykali raz na tydzień, porozmawiali sobie o tym i o tym... i już byłoby zaspokojenie tej żądzy przygody. Ale cóż? Ja byłem nauczycielem, miałem przed sobą dzieci w specjalnych warunkach. Trzeba uczyć... Nic innego nie można było robić. I zacząłem uczyć (...).

Jeżeli z perspektywy 27 lat spoglądam na tamten okres, to w tajnym nauczaniu, nie tylko przeze mnie prowadzonym, lecz także przez innych nauczycieli — dostrzegam dwa ważne aspekty z siebie wpływające i z sobą związane.

Pierwszy aspekt — to ta ponad wszelką siłę nauka, to dwójnie i trojnie się, zwłaszcza pod koniec, kiedyśmy czuli przez skórę, że kres nauki okupacyjnej się zbliża.

Nad drugim aspektem z pierwszego wypływającym nie będę się rozwodził. Wspomnę tylko fakty: chociażby jaki był wpływ Akademii Listopadowej na udekorowanie grobu powstańca z 1863 roku, Andrzeja Jędrzejewskiego, na cmentarzu św. Franciszka na Chojnach oraz oczyszczenie grobów żołnierzy z okresu kampanii wrześniowej na Kurczakach w Dniu Zadusznym roku następnego. To było patriotyczne dzieło moich uczniów bez żadnej mojej inspiracji. Pamiętałem jak wtedy działały barwy

narodowe. A przecież przez cmentarze przesuwali się różni ludzie. (...).

Bardzo często przeglądam fragmenty mojego pamiętnika i przeżywam je na nowo. I stwierdzam, że to, co tu napisałem, nie jest zgodne z prawdą. To nie ja sobie stworzyłem „ten maleńki azyl”, to wy stworzyliście mi ten azyl i możność nauczania. I dlatego korzystam z dzisiejszej chwili, żeby wam, moim uczniom, bardzo serdecznie podziękować i podziękować także waszym rodzicom, którzy wtedy darzyli mnie takim bezgranicznym zaufaniem.

Spotkanie nie postawiło przysłowiowej kropki nad „i”. Casus: odnaleziona Zosia Dułemba, uczennica kompletu III—IV—V. Jedną z najlepszych uczennic, podobnie jak jej siostra Jadzia w żeńskim komplecie gimnazjalnym. Mimo krytycznych warunków materialnych wykształcenie córek leżało w ambitnych planach ich matki, wdowy. Kiedy po wywołaniu starsza siostra poszła na studia, Zosia jako pracująca zapisuje się do technikum ekonomicznego dla pracujących. Jednocześnie pomagała chorej matce utrzymać dom i tym samym ułatwiała starszej siostrze ukończenie studiów. Gdy w przyszłości Zosia pójdzie na studia, wtedy zmienia się role siostr i Jadzia, jako absolwentka politechniki, już będzie zarabiała. Tymczasem Zosia, po celującej maturze, dostaje się na studia w Moskwie, a z o-trzymanego stosunkowo wysokiego stypendium część pieniędzy przekazuje nawet matce.

Słyszałem to z ust samej Zosi, już jako pani Semczuk, mieszkającej w Warszawie i pracującej w Ministerstwie Handlu Zagranicznym. Pani Zosia jest również autorką cennych opracowań z zakresu statystyki.

W tym też czasie udało mi się odnaleźć w Gliwicach Jasię Andrzejewską, która (obecnie z męża Rewerendą) jest nauczycielką w gliwickiej szkole. W tej to szkole przy ulicy Robotniczej, na skutek serdecznego zaproszenia przez moją ex-uczennicę i aktualnie koleżankę „po fachu”, odbyłem nawet ogromnie wzruszające spotkanie z młodzieżą jej szkoły, w większej części dziećmi imigrantów zaborczych. Białoczerwonymi różami witała mnie tu także dr Barbara Zielenka, gliwicki lekarz szkolny, również moja łódzka, okupacyjna wychowanka.

Spotkałem się też po 34 latach z inteligentnym, bardzo zdolnym i ruchliwym uczniem jednego z kompletów. Mieszkał w Łodzi przy ulicy Korzeniowskiego, był jednym z moich punktów lekcyjnych. Teraz moje nazwisko nie temu dawnemu wychowankowi nie mówi. Zapomniałem, że wtedy było zakonspirowane. Tylko wtajemniczeni je znali. Ale zeszyty z okupacyjnych lekcji posiada dotąd zachowane na pamięć. Wtedy nazywał się Leszek. Obecnie inż. Lech Krowiranda zajmuje stanowisko wiceprezenta miasta Łodzi.

Może spotkam jeszcze innych...

Zachęcam miłośników

Podobno nie w przyrodzie nie ginie. W dziedzinie kultury jednak obserwuje się dość często, jak gina i obumierają pomysły i inicjatywy, nim zdąży przybrać realną postać. Po prostu wiele dobrych pomysłów rozplywa się w powietrzu, z tej zwykłej przyczyny, że nikt ich nie rejestruje i dopiero po jakimś czasie, zupełnie przypadkowo, czyjś stary pomysł objawia się w całkiem innej głowie jako myśl świeża i oryginalna. Pierwotny pomysłodawca powinien się tylko cieszyć, że oto jego myśl słuszną, choć przez nikogo nie zauważoną, uwiła sobie gniazdo w cudzej mózgowicy. Bo może jest z tym tak, jak z przedwczesną ideą lub wynalazkiem? Muszą dopiero dojrzeć warunki, aby słowo stało się ciałem...

Nie bez powodu tak tutaj kręć i kluczę, ponieważ jest mi trochę niezręcznie wspomnieć, że dokładnie przed pięcioma laty rzuciłem w „Głosie Robotniczym” (z 17 lipca 1977) pomysł — na owe nieodległe czasy widocznie jednak przedwczesny — żeby ktoś zdecydował się przyhołubić amatorów pisania, zwanych brzydko grafomanami, czyli po prostu nieprofesjonalistów, których główną amatorską pasją jest uprawianie literatury pięknej, najczęściej poezji. Pisałem wówczas (w art. „Niech im wiosna będzie zawsze radosna”), że ich gorące umiłowanie literatury zasługuje na nie mniejszy szacunek i poparcie, niż inne rodzaje amatorskiej twórczości, cieszące się jednak oficjalnym uznaniem i znajdujące organizacyjne wsparcie w rozmaitych kołach zainteresowań — plastycznych, muzycznych, teatralnych i in.

Są to ludzie uprawiający swoją amatorską twórczość bez widoków na jakikolwiek odzwiek, nie tyle zresztą w swojej większości spragnieni tego, żeby kiedyś ujrzeć swoje utwory wydane drukiem, ile złąknieni słuchaczy, których mogliby znaleźć wśród bratnich dusz. Stanowią chyba najliczniejsze środowisko wśród uprawiających po amatorsku sztukę piękną, ale działają w zupełnej izolacji i rozproszeniu, bardzo często sfrustrowani z braku kontaktów z podobnymi sobie, z którymi potrafiliby się wzajemnie zrozumieć. Nachodzą wydawnictwa, redakcje, szukają stu-

chaczy wśród przygodnych znajomych, narażają się na obojętność lub drwinę.

Pisałem więc, że „trzeba im stworzyć warunki wypowiedzania się we własnym gronie. Czy góprawdy byłoby herezją, sprzeczną z zasadami naszej polityki społecznej, która ma na uwadze zaspokajanie zamiłowań i upodobań człowieka, gdyby choć jeden dom kultury (taki zwłaszcza, w którym część pomieszczeń świeci pustkami) oddać raz czy dwa razy na tydzień przez godzinę lub dwie we władanie kółka amatorów piszących. Niechby znajdowali tam sobie wiernych i chłonnych słuchaczy, niechby sobie wzajemnie czytali własne wiersze i opowiadania i o nich dyskutowali, niechby w środowisku bratnich dusz zawiązywali przyjaźnie, oparte na tak głębokiej więzi, jak wspólne umiłowania. Iluż przestawili odczuwać samotność wśród ludzi, która tak często jest ich udziałem!”

Rzuciłem tę myśl przed pięcioma laty, ponieważ miałem już w tym względzie pewne doświadczenia z lat grubo wcześniejszych, tj. 1949/51, kiedy to w krakowskim Domu Kultury Związków Zawodowych „Pod Baranami” powołałem i prowadziłem Zespół Literatury Pięknej. Ale właśnie popełnione przeze mnie wówczas błędy (które później pojąłem) w postaci przeorganizowania i zbytniego ufachowienia zajęć (zaangażowałem trzech znanych literatów) oraz niesłuszną intencją „łowienia talentów” (do czego powołane są związki twórcze), wszystko to sprawiło, że zamiast azyłu dla ludzi szukających ucieczki w sztukę od szarzyzny i mizologii ich zawodowego życia stworzyliśmy wyselekcjonowaną z ogółu potrzebujących hermetyczną grupkę, zawieszoną w połowie drogi, pomiędzy amatorsstwem a profesjonalizmem. A w dodatku władze związków zawodowych uznały nas za pięk-noduchów.

Ale pewnie bym o tych sprawach sprzed pięciu i trzydziestu lat całkiem zapomniał, gdyby nie lektura artykułu Henryka Pustkowskiego w „Głosie Robotniczym” (z 1 lipca br.) pt. „Amator znaczy miłośnik”, z którego oowiedzialem się, że zdecydowa-

no się powołać Klub Miłośników Poezji i zapewnić mu odpowiednie lokum. Cieszę się, że jest to właśnie „toczka w toczkę” mój przez nikogo nie zauważony pomysł, a jak bliska może być zbieżność idei, które narodziły się w różnym czasie w dwóch różnych głowach, świadczy o tym zapewnienie dane przez H. Pustkowskiego potencjalnym kandydatom do Klubu, że zostawi im się swobodę organizacyjnych i programowych poczyną. I słusznie, bo jak pisałem we wspomnianym artykule: „Oczywiście, musiałby ktoś nad tym dyskretnie czuwać ze względu ściśle porządkowych, ale nie wkraczając z porządku czy instruktorem. Po co? W imię czego? Niechby sobie sami układali program i pisali, jak kto potrafi!”

Okazuje się więc, że pomysły nie zawsze rozplywają się w powietrzu, krążą bowiem w eterze, a nieraz — na zasadzie fluidu — przenikają do czyjejś podświadomości, przelastaczając się tamże, jak w tym przypadku, w konkretny program działania.

Ale w związku z tym rzucam (może nie na wiatr) pomysł kolejny. Może dobrze by było, gdyby jakaś wiodąca i koordynująca placówka kulturalna np. Łódzki Dom Kultury (a może instytucja taka jak Wydział Kultury) zaczęła pilnie śledzić i rejestrować pomysły i propozycje, które — nierzadko przecież — spływają z piór zajmujących się kulturą na łamach łódzkiej prasy? Po prostu, do obowiązku określonego pracownika mogłoby należeć przygotowywanie takich okresowych informacji na użytek decydentów i organizatorów kultury. Gdyby już istniał, dajmy na to, taki „bank pomysłów”, to może ludzie uprawiający amatorską twórczość literacką znaleźliby opiekę o pięć lat wcześniej...

JERZY KWIECIŃSKI

P.S.: Podpisując się oburacz pod ideami wyrażonymi w artykule Henryka Pustkowskiego przypominam zainteresowanym adres Klub Miłośników Poezji: Łódź, Ogrodowa 13, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Gorąco też wszystkich zachęcam.

FELIKS RAJCZAK ur. 30 lipca 1938 r. w Świątkach. Z wykształcenia filolog. Mieszka i pracuje w Zduńskiej Woli. Od 1959 roku datuje się jego droga poetycka, niezwykle intensywna, pełna poszukiwań i dociekań o sens piękna i sens życia. Inspiracją twórczości Rajczaka są krajobrazy i człowiek. Wydał zbiory „Zrenica”, „Golań i Jabłko”, „Osmi świat”, „Ballada o legach” oraz zbiór utworów satyrycznych „Jednostki uśmiechu”. Feliks Rajczak jest także działaczem, inicjatorem i animatorem wielu inicjatyw kulturalnych na terenie województwa sieradzkiego. Dzięki niemu ukazują się dwa znaczące, cykle wydawnicze: „Katalogi sztuki ludowej i folkloru sieradzkiego” oraz „Arkusze sieradzkie”, prezentujące twórczość literacką pisarzy związanych z Ziemią Sieradzką; przez wiele lat prowadził także „Biesiady sieradzkie”; dziś kontynuuje prace edytorskie dotyczące sztuki i ludzi kultury regionu. Za swoją działalność Feliks Rajczak otrzymał tegoroczną Nagrodę Kulturalną Województwa Sieradzkiego w dziedzinie upowszechniania literatury i publicystyki. Gratulujemy!

(e. lw.)



Od Mazowsza do Italii

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

Feliks Rajczak należy do tego nurtu poetyckiego, który swój świat wyprowadza z ludowej wizji. Początek takiej poezji przypada na lata międzywojenne, zwłaszcza na okres działalności „Okolicy Poetów” Stanisława Czernika, ale pełna krystalizację osiąga ona dopiero w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w liryce J. B. Ożoga i T. Nowaka. Mimo wewnętrznej różnorodności estetycznej wykazuje ona pod względem filozoficzno-swiatopoglądowym istotne podobieństwa. Podstawą tej strukturalnej jedności jest swoista ontologia poetycka wywodząca się właśnie ze wspomnianej tu ludowej wizji świata. Często poeci zaliczani do tego nurtu protestują przeciw przypisywaniu im ludowości. Niekiedy słusznie — jeśli ludowość pojmują się płytko sprowadzając ją do specyficznej tematyki, rekwizytów lub tzw. ludowych motywów itp.; niekiedy jednak niesłusznie — jeśli ludowość rozumie się odpowiednio głęboko. Wtedy nie tylko nie przeciwstawia się ona uniwersalności, ale jak naciśniętą się z nią łączy, stając się nawet jedną z jej wersji. Bowiem ludowa wizja świata wyrasta z archetypicznych, najbardziej rudymenarnych doświadczeń człowieka z bytem. Jest ona w pewnym sensie ponadkulturowa, to znaczy wspólna więcej niż jednej ściśle określonej kulturze, np. kulturze narodowej. Poeta sięgając w głąb tej wizji, a raczej bezwiednie ją w twórczości swojej wyrażając, dotyka samej jakby materii egzystencjalnego bytu ludzkiego. Nie więc dziwnego, że w poezji tej dominują podstawowe motywy egzystencjalne: problem czasu i śmierci, skończoności i nieskończoności, poczucie wspólnoty z wszechświatem i własnej wobec niego odrębności, czy wreszcie — mocno przygasły w poezji ostatnich lat — motyw tajemniczości świata. U Rajczaka przewija się on szczególnie w wierszach o charakterze baśniowo-balladowym, a także w inny już sposób w symbolistycznym cyklu „Sonety dla Romy”.

Oto jeden z odwiecznych problemów poetów i filozofów: problem czasu. Od przyjęcia określonego rozwiązania tego problemu zależy kształt rozwiązań wszystkich pozostałych egzystencjalnych problemów, zwłaszcza problemu śmierci. U Rajczaka występuje zadziwiająco podobna koncepcja czasu jak u twórcy autentycznego Stanisława Czernika. Czas nie występuje tutaj jako bezpowrotna zatura, jako bezadziejny ubytek istnienia. Nie jest wprawdzie odwracalny, ale jest odzyskiwany, a przynajmniej osławiany:

Na kole jadą nasze dni i noce
Kolo przemija i czas swój niweczy
(„Piasta”, s. 12)

A kolo co na palcu serdecznym
Obracam
Wywruc mnie z linii
Z drogi
Poloży mi świat na oczach
(bez tytułu, s. 15)

To, co unicestwia w tej formie, w jakiej istniejemy obecnie — czas — integruje nas w inny porządek istnienia, w uniwersum wszechświata, gdzie nie przeżywa się już własnej antagonistycznej odrębności, lecz wielki współudział w bycie; gdzie panuje wielkie pogodzenie żywiołów:

Będę ziemią liściem wodą
Będę światłem nad polami
(...)
Uspokoję się jak granit
Nakrapiany ciszą planet
Na wołanie twoje Panie
Nie odpowiem i nie wstanę
(„Za snem — ogrodem z węzami”, s. 29—30)

Ostatni dwuwiersz podkreśla tylko pogańską i jakby panteistyczną wizję nieśmiertelności, a nie chrześcijańską (być może świadomie przez poetę wyznawaną?).

Niektórzy poeci wskazanego tu nurtu (np. J. B. Ożóg), niektórzy jego badacze (np. Stefan Lichański) powiadają, że cechą charakterystyczną poezji autorów chłopskiego rodowodu (także Jana Kasprowicza) jest ujmowanie w niej rzeczywistości na sposób panteistyczny. Nie zastanawiałem się, jak to wygląda u Kasprowicza, ale w przypadku poetów pokolenia Czernika i późniejszych z pewnością lepiej jest mówić o swoistym geoteizmie, niż panteizmie. Ten ostatni ma swoje bogate tradycje filozoficzne i stosując go do określenia tego nurtu poetyckiego, zastanilibyśmy swoistość jego świata poetyckiego. Geoteizm — bowiem ziemia jawi się w tej poezji jako strefa największej świętości, jako byt właściwy. Reszta kosmosu to jakby jej dalekie rozrzedzone obrzeża. Kolo, figura według której ukształtowana jest metafizyczna istota świata, zamyka się w gruncie rzeczy w obrębie ziemi, w rytmach jej pór roku, dni i nocy („Na kole jadą nasze dni i noce”). Wiele jest miejsc w wierszach Rajczaka poświęconych metafizyce i mityce ziemi, często dużej piękności, jak choćby te oto:

Susza we mnie przed łzą się nie kaja
Przyjdą deszcze zmoją suszy trwogę
I po deszczu — wyjdę z ziemią w drogę
Ktoż niekt — bóg ni wiatr — nie oswoja
(„...”, s. 16)

(...) Ziemia
Jak blisko jesteś mojej dłoni
I stopy, która idzie w ciemność
(...)
Zbyt mocno siedzę w jej korzeniach,
Gdzie słońce schodzi liści brzegiem:
I to milczenie jest słoneczne,
A krzyk mój zasypany śniegiem
(s. 106)

Jest cicho — i znowu daleko
Słychać jak we śnie ziemia rośnie
(s. 73)

Ala Feliks Rajczak to bynajmniej nie tylko poeta obsesyjnie i monotonnie trzymający się motywów geoteistycznych. Zwraca w tym tonie uwagę liczna grupa wierszy zawartych przede wszystkim w cyklu III „Wawoży” i IV „Pieśni przydrożne”, częściowo także rozszanych w cyklach „Nad drogą świata”. Znika w nich bez reszty balladowy zaśpiew i baśniowa nieokreśloność. Ich miejsce wypełnia niemal aforystyczna zwięzłość wypowiedzi. Z obrazem ściśle współistnieje myśl, refleksja. Mniej żywiołu muzycznego i wyobraźniowego plastycyzmu. Motywy egzystencjalne te same, co zawsze. Ale teraz w miejsce dawniejszych odpowiedzi — np. w postaci scharakteryzowanej wyżej koncepcji czasu i nieśmiertelności — pojawiają się znaki zapytania.

Przejrzystej formie wypowiedzi towarzyszy klasycznie przejrzysta myśl, która jednakże nie daje jasnej odpowiedzi, lecz jedynie mądrą niewiedzę. W wierszach tych jakby w szczęśliwą zgodę weszła liryczna emocjonalność z aforystycznym i epigramatycznym intelektualizmem. Przytoczmy przykłady:

Oto sam pracujesz nad sobą.
Noc pogłębia cię.
Czy zdolasz ją odchylić nad czołem.
I czy ujrzyś kiedyś prawdę.
W pełnym słowie.
(bez tytułu, s. 69)

Slepy idą niebiaśmi
ku Niewidzialnemu
(ostatni dwuwiersz „Slepców”, s. 81)

Na osobną wreszcie uwagę zasługuje ostatni cykl tomu — „Sonety dla Romy”. Nagrodzony II nagrodą na Łódzkiej Wiosnie Poetów w 1968 roku, z pewnością jeden z najlepszych z klasycyzującej poezji lat sześćdziesiątych cykl ten, niestety ukazuje się nie w porę, spóźniony o dobre dziesięć lat. Ale tym łatwiej go dziś ocenić, przyjmując za podstawę tamten okres poetycki oraz odwołując się do stojącej ponad modami intuicji poetycko-estetycznej. Tak więc doskonałością formy, symbolistycznym niedookreśleniem myśli i metafizycznym nastrojem w jedną zestrojony całość, wiersze te górują nad jakże często pustym wirtuozostwem i pseudoerdycyjną, po imitatorsku powierzchowną — acz nie pozbawioną wdzięku i swoistego uroku reprodukowanych masowo starych klejnotów — poezją z tamtego okresu. W cyklu tym, prócz klasycznego piękna harmonijnej formy, urzekającej migotliwości znaczeń archetypicznych obrazów i symboli typowych dla tego nurtu poetyckiego (morze, ryba, łka, sól, ptak, rzeka, kamień itp.), wyczuwa się autentyzm emocjonalnego podłoża. Wizja arkadyjskiego średniowiecza i zintegrowanego, wokół wiecznej Romy świata kultury europejskiej jest wysiłkiem wyobraźni poetę zmierzającego do wpisania własnej osobo-

wości w to europejskie uniwersum, które zawsze fascynowało i będzie fascynować wszelkich „barbarzyńców”, ukształtowanych z odmiennej nieco substancji niż duch wielkiego Rzymu.

I oto mamy zarysowane najszerzej ramy kulturowe, w których próbuje spełnić się poezja Feliksa Rajczaka. Z jednej strony ludowa wizja świata i chłopska rodzimność, z drugiej zaś monumentalna tradycja śródziemnomorska. Czy między tymi biegunami istnieje wybór dysjunktywny, czy też nie zachodzi bynajmniej konieczność utraty jednego, gdy opowiada się zasadniczo za drugim? Na to pytanie odpowiadają już częściowo „Sonety dla Romy”. Poeta jak gdyby wyczuwając możliwość utraty własnej autentyczności w kreowanych wizjach i symbolach nie przynależnych przyrodzonemu światu jego osobowości, odwołuje się do tego, co mu kulturowo najbliższe, a więc do chrześcijańskich pierwiastków tej kultury odpowiednio wyselekcjonowanych. Przywołuje więc obraz świętego Izydora, patrona rolników (sonet IV), nada franciszkański ton ogólnemu przesłaniu filozoficznemu jakie można wyczytać z tego cyklu (przede wszystkim sonety IV i VIII). Wreszcie całe to poetyckie misterium umieścił w rodzimym — mimo wszystko — pejzażu. Ostatni IX sonet zaczyna znamienne:

Wolam ojca jadę do Italii
Przez tysiąclecie — z żytnim kłosem lipca
Z gałązką kwietnia z pnia północnej palmy
Smutnej i gorzkiej na czczo przetykanej.

Tak jest w „Sonetach”. Ale najbardziej chyba udaną próbą znalezienia własnego odrębnego wyrazu poetyckiego są liczne utwory ze wspomnianych już wyżej części tomu: „Wawoży” i „Pieśni przydrożne”. W wierszach tych zacierają się zarówno to, co nazwał na początku ludową wizją świata, jak i nieco wymaginowana wizja wielkiego śródziemnomorza. Pozostaje poezja, pod którą mógłby się podpisać każdy, niezależnie od swojego rodowodu kulturowego.

Feliks Rajczak



Jedzie wesele
idzie pogrzeb
W dalekiej zorzy
biały oszczep
pasażerskiego
samolotu
z moją tęsknotą
bezpowną

Jedzie wesele
idzie pogrzeb
Księżyc oświeca
biały modrwa
i drzwi wejściowe
do pałacu
w których się zamek
w porę zaciął

Jedzie wesele
idzie pogrzeb



Siwieje horyzont
i mowy opuszczają niebo
przenoszą się na plażę
odludną

Kto bierze we władanie
morze
kolebie się w błodrach
i odchodzi z nim pod powieką
w głąb ładu
by opuścić je w koleiny
nieprzebytych dróg

Gdynia, lipiec 1980



Taki w sobie zapadnięty
myśl wadłami oczu
o jutrzejszym dniu
i dnie
na morzu — rozdrożu

Dokąd wypłynęłaś wczoraj
jaki wiatr cię z tafl porwał
i na jakie przeniósł dno —
krzyknij stamtąd
albo napisz
piórem orla
z góry
O!

Tallin, 19 X 1980

PROSTO Z KINA

Na tropie wampira

Wśród ludzi lubiących kino i chodzących do kina — poruszenie. Na ekranach pojawił się... premiewy film. W czasach, gdy jedno po drugim wysychają repertuarowe źródła, traktuje się taki okaz, jak, już nie rodzynek, a cały kilogram bakali w lekko zakalcowatym i przez to niezbyt strawnym cieście. Widok, który ujrzałem przed „Polonią” wprawił mnie w stan miłego rozmarzenia. Przypomniałem sobie sytuację sprzed lat: tłumy ludzi w kolejkach po bilety, kinowe koniki oferujące upragnione bilety po dwu-trzykrotnie wyższej cenie — kiedy tak było? Dawno, tak dawno, że wydaje się to bajką, pięknym snem. Ile można wtedy było obejrzeć atrakcyjnych filmów, jaki istniał wybór, jakie nazwiska przyciągały kinomanów.

Ech, wspomnienia! Dziś atrakcją staje się każdy (podkreślę: każdy) film, który technicznie świeżością, innowacją, nowością. Dlatego też takim wzięciem cieszy się polski „dreszczowiec” — „Anna i wampir”. Polskie obrazy nareszcie mają widzów i to wszystkie, bez wyjątku. W ciągu pierwszego kwartału „Znachora” obejrzało 150 tysięcy widzów, „Vabank” — 90, a „Przemienie z wiatrem” zaledwie — 80 (dane te przytaczam za „Dziennikiem Łódzkim”). O czym to świadczy? O triumfie rodzimej kinematografii — powiedzą optymiści. Pesymiści natomiast przytoczą pouczającą anegdotę: Sportowiec w towarzystwie chwali się: „Wiele, zdobyłem mistrzowski tytuł”. „Ilu was startowało” — pyta podejrziwy sceptyk. „Dwóch!” — odpowiada bez namysłu zawodnik.

Można przypuszczać, że w następnym, kwartalnym podsumowaniu, na jednym z czołowych miejsc znajdzie się także obraz, przedstawiający w sfabularyzowany sposób, prawdziwą historię sprzed lat — poszukiwanie „wampira Zagłębia” — Zdzisława Marchwickiego — mordercy 14 kobiet. „Annę i wampira” reklamuje się jako film dla ludzi o mocnych nerwach. Rzeczywiście trzeba mieć nad sobą panować, żeby wytrzymać do końca. Kiedy w finale złapano mordercę stwierdza cynicznie: „Nareszcie”, gotowy go byłem wyściskać, gdyż wiedziałem już, że za chwilę to się skończy, będę mógł wyjść na świeże powietrze i odechnąć, głęboko odechnąć. Brak klimatyzacji i panujące 30-stopniowe upały sprawiły, że gdyby przypadkiem przedłużono projekcję o dalsze pół godziny, to nie ulega dla mnie wątpliwości, że przed kinem musiałaby zjawić się karetka reanimacyjna w celu ratowania „przyduszonych” widzów.

Pierwsza refleksja zanotowana w pamięci, kiedy doszedłem już do siebie: film niewart był takich poświęceń. Podstawowe rozczarowanie polega na tym, że obraz nie dostarcza zapowiadanych emocji. Fakt, trudno nas dziś przestraszyć, tym bardziej nie damy się złapać na ogramne chwyt — noc, mgła, przybliżona postać kobiety, której twarz wykrzywia nagle grymas bólu — to idący krok w krok za upatrzoną ofiarą, morderca zadaje potężne uderzenie przemyślnie wykonanym pejem. Scena ta ma stanowić inspirację dla naszej, pobudzonej w tym momencie, wyobraźni — reszty bowiem powinniśmy domyślić się sami. Jeżeli dodam, że powtarza się ona kilkakrotnie (wszak ofiar było sporo), łatwo będzie zrozumieć, że młast pobudzać — usypia.

Nie ma dreszczyka emocji, a zatem co jest? Anatomia, a raczej rekonstrukcja śledztwa. Janusz Kidawa — reżyser, zanim wziął się za film fabularny, był znanym i cenionym dokumentalistą. Nie wiec dziwnego, że najlepszymi sekwencjami „Anny i wampira” stają się: paradowalności, beznamiętny zapis postępowania komisji śledczej, przybywającej na miejsce morderstwa oraz wizyta w prosektorium podczas sekcji zwłok.

Reżyser, zdając sobie zapewne sprawę, że to jeszcze za mało na zrobienie pełnometrażowego filmu, mogącego zainteresować widownię, uatrakcyjnia go na siłę, wciskając, co się tylko da.

Mamy zatem ciekawe obrazki obyczajowe z ciekawymi, dowcipnymi dialogami — bardziej pasujące jednak do pogodnej komedii, niż do „dreszczowca” mającego w tle autentyczne, makabryczne zdarzenia.

Mamy demaskatorską publicystykę dosięgającą oczywiście poprzednią elitę władzy. Przy okazji, chyba po raz pierwszy w historii rodzimego kina pokazano milicjantów „karanych” (diacznego w cudzysłowie, przekonacie się państwo w kinie) za nadużywanie siły! Mamy znanych aktorów: Wirgiliusza Grynia, Jerzego Tręłę, Leona Niemczyka, którzy próbują tchnąć choć odrobinę życia w kreowane postacie, a że im się nie udaje, to jedynie wina słabego scenariusza. I choć w końcu wampir zostaje schwytyany, to przecież poszukiwania rodzimego „dreszczowca” z prawdziwego zdarzenia ciągle trwają!

PAWEŁ STRZELECKI

Mówić w powietrze

Rozmowa z Ryszardem Koselem-kierownikiem księgarni „Współczesna” w Łodzi

— Otworzył pan księgarnię po remoncie. Bez większego ryzyka można byłoby powiedzieć, że od nowa. Wprawdzie księgarnia jest znana, ma swoją ułoną klientelę, ale kształtuje się nowy rynek. Rynek wydawcy. Czy wydawca da wam, księgarzom, pochwalić? Czy daje wystarczającą ilość do- brych książek?

— Jak do tej pory jest to po- bożne życzenie.

— I nie zauważył pan żad- nych zmian?

— Są. Drobne, ale już zau- ważalne.

— Czego dotyczy?

— Przede wszystkim lektur szkolnych. I książek dla mło- dzieży.

— Nie jest to jeszcze owo zapowiadane zwiększenie ilo- ci książek?

— Jeszcze nie.

— A czy są to dobre książ- ki pod względem technicznym?

— Niestety, są to książki, które mają defekty tak tech- niczne, jak fizyczne. Są czę- sto drukowane na bardzo złym papierze. Oto proszę: Karola Dickensa „Klub Pickwicka”. Wydanie dwutomowe. Tom pierwszy oprawny w płótno beżowe. Tom drugi — w płó- tno szare.

— W jakiej cenie?

— Po 420 złotych.

— Trudności ze sprzedażą nie będzie?

— Żadnych. Czasem, gdy wi- dzę uszkodzony, albo źle wy- konany egzemplarz, to mam ochotę odesłać go do wydawcy lub do drukarni. Ale powstrzy- muję się, bo wiem, że gdy za- pytam poszukującego akurat tej książki klienta, czy weźmie ją z defektem, to usłyszę od- powiedź twierdzącą. Szkoda mi po prostu tego klienta, bo wiem, że ugnie się, że poszu- kiwaną książkę i gotów jest za nią zapłacić i wziąć nawet z defektem, aby tylko mieć.

— Za każdą cenę?

— Prawie za każdą, jaką u- stali wydawca. W dodatku wy- dawca bardzo wygodny. My często otrzymujemy książki z drukarni czy Składnicy Księ- garskiej bez wydrukowanej ce- ny. Dopiero na podstawie fak- tury sami wpisujemy ceny do poszczególnych egzemplarzy. Proszę sobie wyobrazić, ile to nam zabiera czasu.

— Czy wyższe ceny wpłynęły na ruch w księgarni?

— Dopiero otworzyliśmy ją po remoncie — jak sama pa- ni zauważyła. Mamy więc jak- by wstępne sprostowanie.

— I jakie one są?

— Wystawiamy paragony na wysokie sumy. Szczególnie dla bibliotek. Ale też i dla indywi- dualnych klientów. Byli tacy, którzy brali miesięcznie po kil- kanaście egzemplarzy różnych książek. Dziś biorą zaledwie kilka.

— Czy dlatego, że nie ma co brać, czy dlatego, że drogo?

— Raczej z tego drugiego powodu. Zdarzało mi się już kilku klientom wypisywać pa- ragonów po 1500 złotych.

— Sporo obserwacji już jed- nak pan ma.

— Przecież nie od dziś pra- cuje w księgarstwie.

— Przy okazji — jak długo?

— 35 lat.

— Gratuluję! Żadny jubile- usz.

— Dziękuję. Wracając do te- matu, to ceny książek nie wzrosły tylko ostatnio. Rosły one stopniowo. Na przykład na podręczniki trzy razy zmie- niano ceny. Tak, że już moż- na coś więcej powiedzieć o kształtującym się rynku wy- dawcy. I tak, obserwujemy mniejszy popyt na albumy. Do tej pory nawet drogie, ale ład- ne albumy szły. Dziś leżą. Jak pani sądzi, dlaczego? Otóż dla- tego, że klient poszukuje książ- ek użytkowych. Jeżeli już mu- si wydać sporo pieniędzy to na coś trwałego, pożytecznego w szerszym znaczeniu. Stąd po- szukanie podręczników, en- cyklopedii, słowników, map, o- pracowań różnych zagadnień.

— A beletrystyka?

— Owszem. Również jest po- szukiwana, ale musi to być dobre książki.

— Z tego wynika, że czytel- nik wie, czego szuka?

— Oczywiście. Mamy na przykład bardzo czytelną mło- dzież. Oni chcą dalej czytać. Poszukują książek. Ale oba- wiam się, że długo jeszcze nie będziemy mogli zaspokoić ich pragnień i oczekiwań.

— Albo inny przykład. Dobrym zwyczajem księgarzy było tro- szczyć się o dobrego klienta. Takim odchodziło się nawet książki. Dziś jest to niemoż- liwe. Jest to bez wątpienia strata dla księgarstwa. Rwie się stały kontakt księgarza z klien- tem, z czytelnikiem.

— Kiedyś można było przyjsz do księgarni i pogrzebać sobie na półkach, poszukać czegoś interesującego. Dziś nie ma czego szukać. Na książkę się poluje. W witrynach też nie zobaczy się ciekawych nowo- ści.

— My na ogół orientujemy się, kto czego szuka i kto ku- puje dla siebie, a kto na... handel. Staramy się sprzeda- wać po jednym egzemplarzu. Celowo nie wystawiamy książ- ek w witrynie, aby trafiły przede wszystkim do tych, któ- rzy wiedzą, co się ukazuje i wiedza o co pytać w księgarni.

— Ale informacja o książ- kach nie jest najlepsza.

— Proponowaliśmy, aby wy- znaczyc kilka dobrych, popular- nych księgarzy, które informo- wałyby prasę, radio i telewiz- ję o tym, co do nich dotarło. Wtedy informacja dotycząca nie zapowiadzi, ale tego, co rzeczywiście jest w łódzkich księgarniach.

— I nie z tego nie wyszło?

— Jak pani widzi. Na ogół dowiaduje się pani o tym, co ukazało się w księgarniach warszawskich.

— A oni tam dostają książ- ki wcześniej. Jak teraz wyglą- da droga książki od wydawcy do księgarni?

— Nic się nie zmieniło.

— A książki przekazywane tranzytem, prosto z drukarni? Jeśli coś się drukuje w Łodzi, to powinno przede wszystkim w pierwszej kolejności trafić do łódzkich księgarzy.

— Jest taka praktyka, ale nasza administracja nie bardzo jest temu przychylna. Powia- dają, że to wprowadza bała- gan.

— Chyba to przeszkadza u- rzędnikom, bo klientom na pe- wno nie. Ale pan nie powie- dział, jak długo idzie książka z drukarni do księgarni.

— Najpierw do Składnicy Księgarskiej. Po jakichś dwóch, trzech miesiącach od ukończe- nia druku. Do księgarni ze Składnicy Księgarskiej po dal- szych dwóch, trzech miesiącach.

— Za to na bazar trafia wcześnie. Jaką drogą?

— Niech się pani domyśli, skoro w Składnicy Księgars- kiej nie ma i w księgarni nie ma. Na przykład widziałem już na bazarze „Tylko dla orłów”. W księgarniach jeszcze tej książki nie było.

— A kiedy może być u pa- na?

— Najszybciej za trzy mie- siące.

— Pracuje pan już 35 lat w księgarstwie. Ma pan ogromne doświadczenie. Czy ktoś zasię- ga u pana rady?

— Na przykład, kto?

— Na przykład wydawnic- twa.

— Obserwuję działalność łódz- kiej oficyny i wydaje mi się, że postępuje słusznie. Domy- ślam się, że wydaje drogie książki w masowych nakła- dach, dobre książki, aby móc wydawać też poezję, do której trzeba dokładać. Mogłbym — zapewne i moi koledzy — to i owo podpowiedzieć.

— Czy wszyscy kierownicy księgarń mają tak duże doś- wiadczenie?

— Nie sądzę, gdyż polityka — jeśli to można nazwać po- lityką — obsadzania tych sta- nowisk jest bardzo przypadko- wa.

— Zwracaliście na to uwagę?

— Nie bardzo mamy z kim rozmawiać. Mówimy w powie- trze. Nasz związek zawodowy jest zawieszony. Stowarzysze- nie Księgarzy Polskich stale o tym mówi. Dyrekcja zajęta jest reformą.

— A zreszczenie?

— Też zajmuje się reformą. — Z tego wniosek, że do księ- garni reforma jeszcze nie do- tarła. Czego by pan po niej oczekiwał?

— Jasnej sytuacji. Albo księ- garnia jest samodzielna i pro- wadzi własną politykę, albo ro- bi to nasz zarząd. Gdyby księ- garnia była samodzielna, to musiałbym mieć prawo decy- dowania o wielu sprawach: o placach, które powinny odpo- wiadać wkładowi, pracy, o wielkości zatrudnienia...

— I o zamówieniach książ- żek zapewne.

— Również.

— Życzę więc panu, aby do tego doszło. I żeby na półkach było dużo ciekawych książek. Żeby pan był ze swojej pracy zadowolony, żeby z pana doś- wiadczenia i wiedzy korzysta- no. Żeby nie mówił pan w po- wietrze.

— Dziękuję.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Dość osobista formuła wypowiedzi, jaką przy- jąłem dla całego cyklu artykułów w „Odgło- sach” powinna się okazać pomocna właśnie dzisiaj. Zamierzam bowiem podzielić się mo-imi refleksjami z tegorocznego XVI Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, który niedawno zako-ńczył się w Kołobrzegu. Pisać o pozycji autora tekstów piosenek będzie mi o wiele łatwiej, bowiem nie muszę ukrywać, że od kilku lat jestem stałym gościem i uczestnikiem na tej imprezie, a do tej pory zgromadziłem wszyst-kie możliwe nagrody festiwalowe przeznaczo- ne dla autorów. Od pięciu lat nie zdarzyło mi się wracać do domu z pustymi rękami — za- wsze byłem laureatem, jeśli nie „Pierścienia”. to przynajmniej wyróżnienia. Tak też stało się i tym razem. Dopiero na miejscu w Kołobrzegu dowiedziałem się, iż w konkursie premierowych utworów uczestniczą aż trzy piosenki z moimi tekstami. Wcześniej wiedziałem o dwóch, ale okazało się, że jeden z kolegów kompozytorów złożył napisaną przez nas kilka lat temu pio- senkę z programu estradowego wojskowego ze- społu „Desant” — i zakwalifikowała się (wszak utwór nie nagany, ani też nie wydany wcześ- niej należy w kontekście festiwalu uważać za premierowy). Jedną z tych trzech piosenek

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Rewia w Kołobrzegu czyli co mnie cieszy?

znalazła się na kasecie — wydanej w miejsce tradycyjnej płyty długogrającej — z kołobrzez- kimi premierami, lecz nie ją uhonorowało fe- stiwalowe jury pod przewodnictwem Jerzego Bisiaka z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wy- różnienie przypadło utworowi zatytułowanemu „Poborowy”; w tej roli — jak zapowiedział Sta- nisław Mikulski — wystąpił Jacek Lech. Bar- dzo uciechałem się, że właśnie ta piosenka zo- stała zauważona przez jurorów. Dlaczego? Otóż od dwóch, trzech lat jestem jednym z tych, którzy starają się rozluźnić umowne rygory, jakim sprostac powinna piosenka żołnierska zarówno w warstwie muzycznej, jak i teksto- wej. Wychodzę bowiem z założenia, że sły- wne trzymanie się „regul” twórczych powoduje zastój. Piosenka „Poborowy” jest przykładem nurtu opartego na muzyce country. Było trochę oporów — jak zwykle gdy wprowadza się ja- kąś repertuarową innowację — nim propozycja została zaakceptowana. Jednakże później opi- nia jurorów i publiczności w amfiteatrze, na której prośby Jacek Lech musiał wielokrotnie bisować, potwierdziła słuszność dążenia do u- rozmiazenia kołobrzezskich premier.

— Ale dość samochwalstwa. Pomysł wpro- wadzenia country na Festiwal Piosenki Żołnier- skiej był nie tylko moim udziałem. Niezależnie od „Poborowego” podstawy muzyki country posłużyły także Kasi Gaertner do skompono- wania piosenki „A gdzie to miasto”, która w wykonaniu solistki Kieleckich „Arian” — Iwo- ny Niedzielskiej zdobyła „Srebrny Pierścień”. Notabene: autor tekstu tej piosenki Jerzy Sko- kowski również zaproponował interesujące ro- związanie pisząc tekst nie będący stricte żoł- nierskim w dotychczasowym powszechnym ro- zumieniu, a ponieważ jest to równocześnie kon- sultant literacki kołobrzezkiego festiwalu nale- ży się spodziewać, że i w latach następnych przygotowywanie tekstów piosenek ze stono- wnymi akcentami „żołnierskością” będzie mile wi- dziane.

Niekonwencjonalna była także piosenka Jac- ka Malinowskiego i Marka Holma „Ziemia Wi- ślana” (pomijając słowa trzeciego cantu) w wy- konaniu Ilony Wiecezorek. Był to mój prywatny typ na jeden z „Pierścieni”; o tym, że uzyskała tylko wyróżnienie zadecydowały chyba nieco słabsze niż się spodziewano wykonanie, co naj- mniej dwa błędy literackie i fakt zbytznego przeładowania warstwy aranżacyjnej. Inne ro- zżone próby poszukiwań twórczych to pio- senki: „Kortezya” w interpretacji Wioletty Białobłockiej (laureatki nagrody akredytowa- nych dziennikarzy i „Miss Obiektyw”) oraz może trochę mniej udana „Już kwitnie łubin” śpiewana przez Hannę Matyszkiewicz. Nato- miast za zupełne nieporozumienie uważam po- minięcie w i tak rozciągniętym nad miarę wer- dykcie jury utworu Tadeusza Margota i Kry- styny Pac-Gajewskiej „Ballada o meżym Przedstawie” we wzorowej aranżacji Andrzeja Marko (przy okazji: nagrody ZAKR-u za aran- żację w tym roku nie było) i w znakomitym wykonaniu Danuty Morel. Ja z przyjemnością odwarzam sobie tę balladę z kasyety magneto- fonowej.

Swego rodzaju zaskoczeniem były dla mnie „Złoty Pierścień” przyznane „Balladzie o matce” i piosence „My zapatrzeni, my niespo- kojni”. Pierwsza wzbudzała pewne kontrower- sje zwłaszcza, gdy Róża Walińska „dochodzi- ła” do refrenu, w którym mieszały się gospel i negro spiritual z domieszką countrową, i wraz z całym chórem zachęcała „Na wojenkę... na wojenkę...” co stało się powodem powstania kil- ku anegdot i dowcipów. Co do drugiego „Zło- ta”, to wydało mi się, że w swej kołobrzezkiej karierze festiwalowej Andrzej Szajewski mie- wał już lepsze niż ta „publicystyczna” poparta nieco kabaretową aranżacją piosenka. Wtedy go jednak nie nagradzano pozostawiając to pub- liczności.

Ktoś być może zdziwi się, że tak krytycznie wypowiadałem swoje zdanie na temat werdyktu jury. Czy jako uczestnik Festiwalu Piosenki

Żołnierskiej nie obawiam się zrazić do siebie przyszłych jurorów? Z pewnością nie obawiam się. Zawsze wychodzę z założenia, że prawdę należy mówić prosto w oczy. A poza tym pod- czas tegorocznego pobytu w Kołobrzegu podją- łem decyzję, iż nie będę w latach następnych zgłaszał swoich utworów do konkursu premier. Podzieliłem się tym nieoficjalnie z kierownic- twem imprezy i innymi osobami z nią związa- nymi — wszyscy liczyli na to, że jednak do przyszłego roku zmienię zdanie. Natura ludz- ka zmienna jest, ale jeżeli do czegoś na przy- szły „Kołobrzeg” miałbym się przyczyniać to raczej do pełnospektaklowego widowiska. A swoją drogą, warto byłoby wreszcie zmniejszyć liczbę utworów prezentowanych w koncercie premier, bo przez ową mnogość trudno wy- chwycić te najlepsze, a sam koncert staje się nużącym.

Wspomniałem tutaj o widowisku. Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu wypracow- wał dobrą tradycję przygotowywania corocznie większych form estradowych, które przyczynia- ją się w sposób bezpośredni do ożywienia całej imprezy. W ramach tej koncepcji mogą się mieścić widowiska słowno-muzyczne w szer- okim rozumieniu i myślę, że na kolejnych festi- walach wprowadzane będą coraz to nowe for- my spektakli. Na tegorocznym festiwalu wła- nie widowiska pełniły — obok premier — rolę wiodącą szczególnie w sytuacji, kiedy zrezyg- nowano z koncertu amatorów wyłanianych w latach poprzednich drogą żmudnych ogólnop- olskich eliminacji. Były aż trzy widowiska róż- niące się charakterem, obsadą i osobami twór- ców. Pierwsze z nich przeznaczono — co jest absolutnym novum — dla dzieci i młodzieży; pokazane przez Telewizję Polską w czasie trwania festiwalu „Żołnierskie przygody To- maszka Pogody” napisał Artur Zalski (muzyka) i Piotr Łosowski (teksty). Rzecz reżyserował Włodzimierz Gawroński. Drugie widowisko z muzyką Marka Sewena i tekstami Ryszarda Ulickiego, w reżyserii Jerzego Woźniaka no- siło tytuł „Jak nie kochać tej ziemi”. Tutaj cie- kawostka: nie wszyscy chyba żorają nazwisko Ryszarda Ulickiego — jest to autor tekstu zna- nego przeboju „Kolorowe jarmarki”, a aktual- nie pełni funkcję kierownika Wydziału Propa- gandy i Agitacji Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Koszalinie starając się godzić działal- ność twórczą z pracą partyjną. Wreszcie trze- cie, najciekawsze bodaj widowisko jest dzie- łem kompozytorów Janusza Kępskiego i Ali Krauzowicza, autora Janusza Szczepkowskiego oraz reżysera Włodzimierza Gawrońskiego; spektakl „Zza płotu” przygotowany przy współ- udziale Zespołu Estradowego Warszawskiego Okręgu Wojskowego „Desant” z Lublina. Po- nieważ napisałem wcześniej, że być może sam w przyszłości pokuszę się o scenariusz wido- wiska tego typu, nie chciałbym teraz wypowia- dać swoich ocen na temat tego, co widziałem na estradzie kołobrzezkiego amfiteatru, by póź- niej nie narazić się na śmieszność w wypadku niepowodzenia. Ot, taka sobie asekuracja. A zresztą mam nadzieję, że już niebawem, jeśli nawet nie przed ukazaniem się tego numeru „Odgłosów”, telewizja zafunduje czytelnikom obejrzenie także tych widowisk, których nie transmitowano od razu.

Co jeszcze było w ramach „Kołobrzegu 82”? Był koncert stanowiący parady kilku zespołów zawodowych działających pod auspicjami Wojs- ka Polskiego, w trakcie którego przedstawili one fragmenty swych programów. Niestety, był to najsłabszy moment festiwalu. O ile w ubie- głym roku zawodowe zespoły wojskowe robi- ły na estradzie prawdziwą furorę, o tyle tym razem uczucia widzów były więcej niż miesza- ne. Przyczyna prosta: przed rokiem występo- wały trzy najlepsze zespoły w kraju, w tym ro- ku zaproszono pozostałe zespoły. Przed hotelem „Skanpol” odbył się — jak co roku — konkur- sowy przemarsz śpiewających kompanii, zawsze z przyjemnością oglądany przez liczną od- wiedzających o tej porze roku Kołobrzeg wzo- sówiczków. A pogoda tym razem dopisała — na medal, czy raczej — na „Złoty Pierścień”. Aż prosiło się by został na Wybrzeżu jeszcze cho- by przez parę dni, ale wówczas — trochę ko- kieteryjnie nie zaszkodzi w ten letni czas — ten materiał nie dotarłby w porę do redakcji. A z drugiej strony na pewno miałbym kłopoty z rozliczeniem mojej delegacji.

W przerwie koncertu laureatów czyli tzw. „galówki” przedstawiciele ekipy telewizyjnej realizującej reportaż z Festiwalu Piosenki Żo- lnierskiej „Kołobrzeg 82” poprosili mnie o wy- powiedź przed kamerą. Pytanie brzmiało: czym różni się tegoroczny festiwal od poprzednich? Powiedziałem na ten temat kilka zdań pozwa- lających sobie później na bardziej osobistą konkl- uzyję: „Tegoroczny festiwal kołobrzezski różni się od poprzedniego chyba także tym, że w ubie- głym roku miałem w premierach tylko jedną swoją piosenkę, a w tym roku aż trzy”.

Jeżeli ta moja rozmowa pójdzie na wizję, to z pewnością moi znajomi mający kolorowe te- lewizory zdziwią się, że mimo ostatniego dnia imprezy nie udało mi się nie a nie opacić. To- też muszę wyjaśnić, iż nie przepadam za leże- niem na słonecznej plaży przypominającej pa- telnię. O wiele lepiej, po obejrzeniu rewii w kołobrzezskim amfiteatrze, odpoczywam na wie- czornych spacerach brzegiem morza, które na- strajają prawdziwie romantycznie przed powro- tem do „Skanpolu”, gdzie większość dziennika- rzy jest zadowolona z zakwaterowania. A tam cze- ka już na mnie wtedy przytulna „jedynka” — mam w końcu takie zasługi dla festiwalu, że panie z recepcji szanują moje starokawalerskie nawyki i nie dokwaterują mi nikogo na do- stawkę. Poza tym, po rocznej przerwie, był w tym roku czynny na drugim piętrze hotelu „Skanpol” barnek hotelowy, w którym tak jak i w latach poprzednich koncentrowało się nocne festiwalowe życie. I ja lubiłem tam usiąść na wysokim stołku i sącać czerwone wino zmie- szane pół na pół z wodą mineralną, uzupełnio- ne kostkami lodu, zastanawiając się dlaczego pa- nuje powszechne przekonanie na temat ludzi z branży estradowej co do szczególnej u nich tendencji do spożywania napojów wysokowych w nadmiernych ilościach.

Mówią o nas często: piją, bo mają za co. Czy rzeczywiście mają i czy rzeczywiście piją? Czy mają jakieś „zawodowe” wydatki? Jeśli się uda, następnym razem podejmę ten właśnie te- mat. A teraz idę się napić... herbaty, która już i tak wystygła.



Foto: R. Łucyszyn

Skocekt ani nie śledzi, ani nie wybiera swoich ofiar. Napada w momencie, kiedy drzemający może otrzymać od narządów zmysłów sygnał, że zdobycze znajduje się w zasięgu zwierzęcia. Wykonuje on swój skok zawsze na najbliższą ofiarę. Dlatego też, dla idącego na czele, skoczek jest najbardziej niebezpieczny. Dla idących z tyłu nie stanowi już większego zagrożenia.

Po polowaniu skoczek pożera swoją zdobycz. Zjadłszy, zapada w śpiączkę i szykuje się do następnego polowania. To przygotowanie zajmuje mu nie mniej niż tydzień. Dopiero po takim czasie udaje się zwierzęciu wytworzyć w jamach ruchowych ciśnienie powietrza wystarczające do tego, by wystąpić ciężkie ciało do dwudziestometrowego skoku. Teoretycznie skoczek zdolny jest wykonać do czterech skoków w miesiącu. W praktyce jednak skacze w ciągu roku dwa do dziesięciu razy. Dwa — jeśli wokół jest mało zdobyczy, dziesięć — przy jej obfitości.

Sposób życia skoczka jest zadziwiająco prosty: skok — pożeranie — śpiączka. Pograżone w śpiączce zwierzę jest zupełnie nieruchome. Oddech ma wolny i płytki, a przemiana materii zredukowana jest do niezbędnego minimum.

Skoczek to wyjątkowo prymitywna, ale nadzwyczaj odporna forma życia, dzięki czemu gatunek ten, praktycznie nie ewoluując, zachował się na planecie w ciągu milionów lat. Nie ma naturalnych wrogów. Silna zwierzęca jest silna i jadowita. Zwierzę charakteryzuje się znacznym wycieleniem na promieniowanie ciepłe. Pozostawione jest natomiast zmysłów wzroku i słuchu. Dlatego też pojawienie się na pustyni dwóch żywych istot nie zostało początkowo przez zwierzę zauważone.

Pod koniec trzeciego dnia doszli do linii piaszczystych wzgórz, tych samych, które w przeddzień wyrzuciły na noryzanie z rozpalonego, pylastego tumanu. Jeśli szczęście ich ostatecznie nie opuszczało, to powinni po wejściu na grzbiet zobaczyć Stację.

Ta myśl, zdaje się, zasawiała im jednocześnie. W milczeniu spojrzeli na siebie i ruszyli pod górę. Szli nieco w skos, po piaszczystym stokach, skąpo porośniętych kępami szorstkiej roślinności. Szli — Parra pierwszy, a za nim Kruglow — wolnymi, ostrożnymi krokami, starając się ekonomicznie rozkładać siły, których tak mało już im zostało. Jeszcze mniej było wody, ale o tym starali się nie myśleć.

Zgodnie z umową wodę prowadzącego wziął na siebie Parra. Słuch i zmysły, łatwiej znosił brak wody i znój pustyni niż silny, ale ostry Kruglow, który osiadł do tego stopnia, że przestał własną siłą ukrywać. Ukrył, bowiem, że i to wymaga wysiłku. Był tak zmęczony, że prawie nie rozmawiali. W ciągu ostatnich dwóch dni w ogóle rozmawiali bardzo mało, ale Parra na krótkich postojach zatrzymywał się teraz nieco dłużej niż sam potrzebował i nieco częściej ogłądał się w czasie marszu na Kruglowa.

Przed kamienistym osypiskiem Parra zwołnuł. Najlepiej byłoby je obejść, ale z prawej strony stok był bardzo stromy, a z lewej, z piaszczystego podłoża sterczała pionowo skała, którą aby ominąć trzeba było zejść w dół. Przewidywałyby to drogę, co najmniej o kilometr.

Parra i Kruglow wiedzieli, jak niebezpieczne są takie osypiska, ale zmęczenie i trud ostatnich trzech dni stepu ich czujność. Do tego jeszcze w czasie wędrówki ani razu nie widzieli nawet śladu skoczka.

Co kilka kroków Parra zatrzymywał się i z napięciem obserwował skąpe zarośla, wygiadzone i wyschnięte wiatrem i piaskiem. Kruglow szedł za nim krok w krok, oddalony o jakieś trzy metry. On również ogłądał góry, choć nie było to już tak istotne.

Parra szedł pierwszy i, rzecz dziwna, to właśnie uratowało mu życie. Skoczek był tam bowiem mimo wszystko. Może przez miasma, a może dlatego, że nieruchomy i milczący, ukryty za ogromnym, rudym głazem, czekał cierpliwie na swoją chwilę. Parra wcześniej wychylił się usłyszeć charakterystyczny świst sprężonego powietrza i w tej samej chwili z okrzykiem „Uważaj!” rzucił się w bok padając na plecy. Kruglow nie zdążył.

Skoczek znalazł się w jednej linii z obydwojema mężczyznami skocząc prosto przed siebie. Przeleciał nad leżącym Parra i swoim masywnym ciałem rozprędkowanym energią odrzutu strugi powietrza, wyrzucił w lewe ramię Kruglowa, odrzucając go jak piórko na kamienie. Kruglow nie zginął od razu dlatego tylko, że zwierzę mierzyło w Parra, a nie w niego.

Zerwawszy się na nogi, Parra zobaczył zastępnego w nienaturalnej pozycji, nieruchomego Kruglowa i niespiesznie pełzającego w jego kierunku skoczka. W pośpiechu zerwał z pasa ostatnią rakietę i wycołowawszy w stworzenie pociągając za spust. Rakietę ze swistem uderzyła w piasek i zostawiając za sobą warokcz dymu i ognia zeslizgowała się w dół do stoku. W ślad za nią, bezsilnie przebiegając ślady, pomatu zjechał przerażony skoczek, żeby gdzieś w dole usadowić się i zacząć przygotowania do nowego skoku po zdobyci, która nieostrożnie przed czy później pojawi się koło jego legowiska. Przez cały tydzień będzie polował i sprzątał potężnymi brzusznymi mięśniami małe porcje powietrza. Przez cały tydzień skoczek będzie niegroźny, ale ludziom myśl ta wcale nie przynosiła ulgi.

Kruglow miał rozdarte ramię i prawdopodobnie złamany kręgosłup. Spód kasku spływała po policzku strużka krwi. Kiedy Parra podbiegł do niego, był jeszcze przytomny i usiłując się uśmiechnąć ze schniętymi wargami, starał się coś powiedzieć, ale w tym momencie zamknął oczy i jego wielkie ciało zwiózło się. Wyczuwszy słaby puls, Parra próbował wiać mu w usta resztkę soku, ale płyn sekielko po zacisniętych wargach na ziemię, mieszając się z kałużą szybkiej gestniejącej krwi.

Już później Parra przypomniał sobie, że w tych minutach prawie się nie denerwował — widocznie na emocje też już nie miał siły. I nagle jasno i ze spokojem uświadomił sobie, że jeśli mimo wszystko pomylił się w wyborze drogi i za wzgórzami nie zobaczy Stacji, będzie to oznaczało szybką śmierć Kruglowa, a zatem i jego, własną.

Pomyślał, że natychmiastową śmierć Kruglowa znacznie zwiększyłaby jego własne szanse na przeżycie. Ta myśl nie przerażała go. Zarejestrował ten fakt nie analizując go, zupełnie jak automat realizujący zadany program. On również niczego nie wymyślał i nie analizował. Postępował w jedyny możliwy w tej sytuacji sposób.

Opatrzywszy jakoś kawałkiem koszu ogromną ranę Kruglowa, podniósł go i niemal na oślep ruszył chwiejąc się ze zmęczenia i strasznego wysiłku. Brnął drobnymi krokami, zapadając się po kolaną w piachu. Zachodzące słońce rozciągało na stoku ostry, kruchy cień niesamowitej, dwugłowej i dwunogiej istoty, wdzającej zaledwie na dwa kroki przed sobą, ale nieustępliwie pełzającej w górę, przed siebie.

Czasami Parra wydawało się, że przyszła noc, ale w następnej chwili ciemność ustępowała, znowu widział światło i robił kolejny krok. Nie zauważył nawet, kiedy skończyło się podejście. W pewnym momencie poczuł, że leży mu iść i jakaś siła ciągnie go do przodu. Zatrzymał się.

Wzgorza ciągnęły się z prawej i lewej strony. Były też daleko przed nim. Cienie uchodzącego dnia ciemnym puchem pokrywały połowę leżącej a stop Parry doliny, ale to co wyraźnie widział najzupełniej mu wystarczyło.

W tej dolinie Stacji nie było. Stacji nie było, ale Parra zobaczył to, co w tej chwili było po stokroć ważniejsze. Spokojnym, wieczornym blaskiem migotała w dole woda.

Ze smutkiem przypomniał sobie co było potem. Zdaje się, że upuścił Kruglowa na ziemię i pobiegł ku wodzie. Zdaje się, że przebiegł kawałek — zawrócił, dźwignął i znowu podniósł nieprzytomnego towarzysza po stoku, w dół.

Upadek! I jasny błysk w głowie — zadziwiający, cudowny smak wody.

Chłonał wodę wargami, językiem, skórą twarzy i rąk, i pił, pił bez końca z tego niewielkiego, niemal okrągłego jeziora, mającego najwyżej pięćdziesiąt kroków średnicy.

Poczuł się jak nowo narodzony. Wrócił mu zdolność obserwacji i myślenia. Nabral wody w pusty pojemnik po soku i podszedł do Kruglowa leżącego w niewysokim, ale gęstym zagajniku, który rósł na brzegu wokół zbiornika. Związał się jego wodami. Prawie cała woda przepadała tak jak wcześniej sok, ściekając po ostro zaznaczonych zmarszczkach w kącikach ust. Powolutku, powolutku Kruglow otworzył oczy.

„Doszliśmy!” — raczej ogłosił niż usłyszał Parra w odgłosie oddechu towarzysza. Zastanawiał się właśnie na tym, czy wyjaśnić Kruglowowi, że nie są na Stacji, że to tylko krótki odpoczynek, kiedy Kruglow znowu stracił przytomność. Oddychał teraz spokojniej i głębiej, jakby spał, ale Parra nie oszukiwał się. Silne zabarwienie skóry na granicy promiennego opatrunku upewniało, że powstało zakażenie. Bez surowicy i antybiotyków, jad który wraz ze słną skoczka przedostał się do organizmu, zabije w ciągu 10-12 godzin.

Było niewiarygodną bezmyślnością wylecieć dwumiejscowym polotem bez osobistego wyposażenia. Inna sprawa, że nie był to właściwie lot, a po prostu dwukilometrowy skok ze Stacji do obozu geologów. Łatwy i zwyczajny jak codzienny bieg przed śniadaniem.

Obaj jakby na chwilę zapomnieli, że na razie jeszcze planeta nie zapewnia człowiekowi całkowitego bezpieczeństwa.

Orkan uderzył w maszynę w najwyższym punkcie trajektorii. Zaczynał się on zawsze w górnych warstwach atmosfery i dlatego, wobec braku służby meteorologicznej, niemożliwy był do przewidzenia.

Dżin z butelki, bezcielesny, wszechmocny czarnoksiężnik uderzył po płaszczyznach skrzydeł miękkim, mocarnym kufakiem. W ciągu jednej sekundy skręcił i zerwał stery. W następnej chwili podstawa trąby powietrznej poruszyła grunt i wciągnęła masy piasku w swój lej. Góra i dół zupełnie się pomieszały. Zatrącały się różnice między niebem a powierzchnią ziemi. Rozpaczliwym manewrem Kruglow wyrwał polot z zasięgu orkanu. Parra zdążył zauważyć oddalającą się front burzy i gwałtownie zbliżającą się powierzchnię planety. Pozbawiony sterów i energii wyczerpanej w walce z wichurą polot spadał.

Ludzie w zasadzie nie ucierpieli. Zadziałała katapulta i grawitortyzatory. Ale na chwilę przed wylądowaniem zobaczyli błysk eksplozji i słup piasku wyrzucony w powietrze. To eksplodował polot. Mieli przy sobie trzy rakietki i dwa niewielkie pojemniki z sokiem. Nie wiedzieli w jakiej stronie jest Stacja i jak daleko zaniósł ich burza. Nie mieli pojęcia dokąd iść.

BORYS RUDENKO

Jezioro

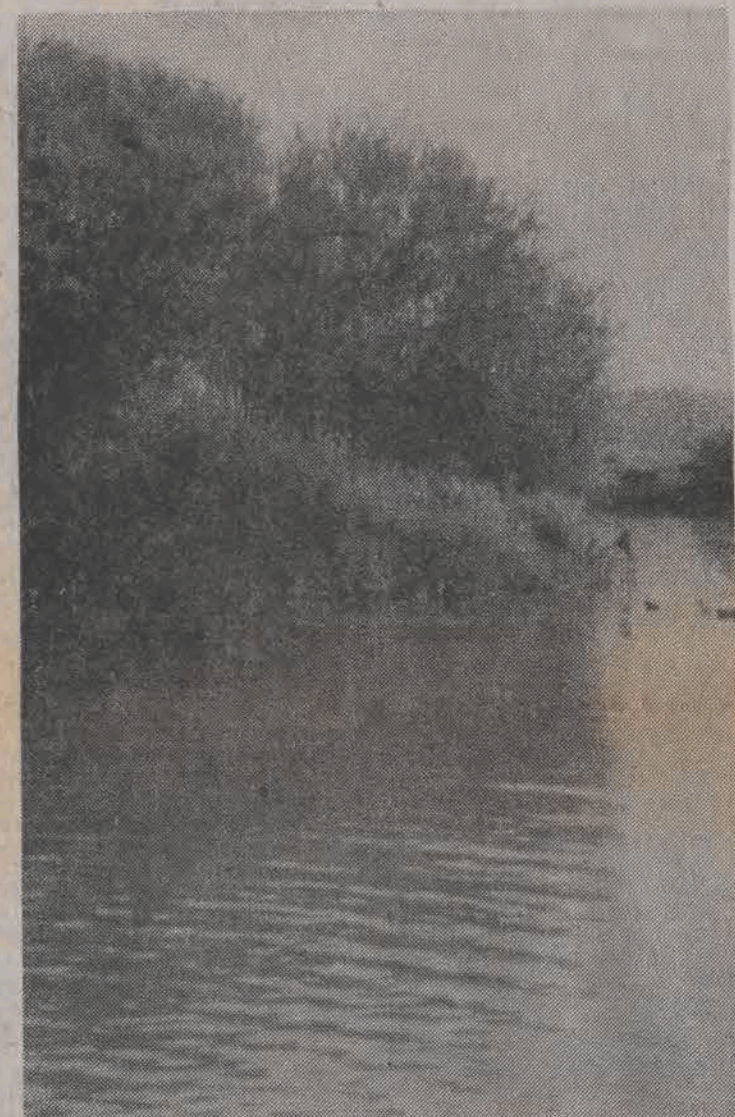


Foto: Mirosław Zajdler

„To nie — powiedział wówczas Kruglow. — Wybuch był tak głośny, że nie tylko na Stacji, ale i na Ziemi było go słychać. A rakietki pomogą nam znaleźć”.

Koniec pierwszego dnia i pierwszą noc spędził koło szczątków polota. Wypuścili w gwiazdźstwie niebo dwie rakietki. Doczekali rana i postanowili wyruszyć.

Kruglow umierał i już nawet tego nie czuł. W zapadającym mroku Parra nie mógł zaobserwować, jak daleko rozprzestrzeniło się zakażenie. Oczywiście zobaczył rano, ale wtedy Kruglow prawdopodobnie nie będzie już żył.

W oazie nie byli sami. Parra odgadywał w gestwinie krzewów ostrożny ruch nocy mieszkańców planety. Wszystkie te zwierzęta były najwidoczniej małe i nieszkodliwe, ponieważ same obawiały się ludzi i nie zbliżały się. Parra nie miał nie przeciwko takiemu sąsiedztwu. Obecność tych wszystkich drobnych stworzeń świadczyła o tym, że prawdziwe drapieżniki przebywają daleko stąd. No i bardzo dobrze. Każdy z drapieżców planety poradziłby sobie z człowiekiem, nie zdążywszy nawet zdrapać o któryś z odłamków kamieni zebranych przez Parra jeszcze za dnia. A jednak groźne zwierzęta przebywały w dolinie.

Nagle Parra wzdrygnął się i sprężył. Powietrze rozdarło ochryple zwierzęce wycie zlewające się z rykiem ofiary. Gdzieś u podnóża piaszczystej góry trwały łowy. Przy akompaniamencie gardłowego ryku zderzały się w walce potężne ciała.

Drapieżnik znowu zawił. W krzyku tym zabrzmiało rozczarowanie, wściekłość i ból. Wycie wibrowało na najwyższej nucie, oddalało się i wreszcie uciechło w oddal. Tym razem widocznie polowanie nie powiodło się. Parra siedział nieporuszenie, ścisnął w rękę bezużyteczny kamień. Aż do bólu wsłuchiwał się w otaczającą ich obcą i niebezpieczną noc.

Ponuro zaszeleściły krzaki. Ktoś ciężki i potężny szedł w kierunku jeziora. Z trudem podnosił osłabłe nogi. Hais ten rozlegał się o niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie znajdowali się ludzie. Parra wyraźnie słyszał ciężki oddech i niewiarygodne kroki zwierzęcia. Ostro zapachniała świeża krew. Plusnęła roztrącana woda. Ranione zwierzę pogryzło się w jeziorze i uciechło. Dosłownie przepadało. Niczego więcej już nie usłyszał choć z całej siły natężył słuch. W głębokiej nocy ciszy nie odezwał się żaden dźwięk.

Chwiejąc się ze zmęczenia siedział nad nieruchomym ciałem Kruglowa. Od czasu do czasu podrymował nie wypuszczając jednak z ręki kamienia. W ten sposób doczekał świtu. I znowu plusk wody zwrócił jego uwagę. Przez gągłę zobaczył jak z jeziora gramoli się na brzeg wczeszą zmore.

Zwierzę hatałsiwie otarło się i ciężkim, wolnym krokiem poszło sobie. Parra machinalnie odprowadził je wzrokiem i wrócił do Kruglowa. Doskonale wiedział co zobaczy, ale mimo wszystko spojrzał. Spojrzał i zamarał oszołomiony wspaniałą, zwariowaną nadzieją. Kruglow żył. Purpurowe zabarwienie rozprzestrzeniło się w ciągu

nocy po ciebie, ale nie w takim stopniu jak się tego obawiał. Jak powinno być ponad pół doby po ataku skoczka. Kruglow powinien był umrzeć przed świtem. A on żył. Parra wyczuł jego puls; słaby, ale wyraźny i rytmiczny.

I nagle niespodziewany domysł przeszył mu mózg. Był tak niewiarygodny i nieoczekiwany, że natychmiast go odrzucił. Ale myśl, nieustępława, powróciła. Podniósł się i rozchyłając krzaki poszedł wzdłuż brzegu. Daleko iść nie musiał. Zobaczył wchodzący w wodę pas zgniecionej ciężkim ciałem trawy. Ślad ranionego zwierzęcia, cały w wielkich plamach poczerwienia, zeschniętej krwi.

Wątpliwe, czy Parra do końca wierzył w swój domysł. Ale nadzieja, rozpaczliwa i gorąca, kazała zapomnieć o wątpliwościach.

Rozdarł i ostrożnie zdjął z Kruglowa koszulę. Rozwiązał zeskorupiałą od krwi opatrunkę, mobilizując całą siłę woli by nie odwrócić wzroku od straszliwej sieni rany ze śladami rozpoczynającego się rozkładu. Podniósł towarzysza i zaniosł go do jeziora. Patrzył teraz na tę wodę zupełnie innym wzrokiem. Klekał na miękkim, piaszczystym dnie, podtrzymując głowę towarzysza nad podobną do czarnego szklą powierzchnią. W ciemnej, ciepłej wodzie ciało Kruglowa wyglądało bardzo smutno, ale Parra nie musiał już na nie patrzeć. Powoli, ale zdecydowanie nadzieja zmieniała się w pewność.

Po godzinie Kruglow poruszył się i otworzył oczy. Zdziwionym wzrokiem powiół dookoła i zatrzymał się na twarzy przyjaciela.

— Pię — poprosił cicho i w tym momencie Parra nie wytrzymał. Trząsł się cały w ataku histerycznego śmiechu. Chciał wyjaśnić Kruglowowi jakie to śmieszne: siedzieć po szyć w wodzie i prosić pię, ale nie potrafił nie powiedzieć prócz jednego tylko słowa: — Pi!... Pi!... Pi!... — i śmiał się tak długo, dopóki nie uświadomił sobie, że po prostu nie może przestać.

Z całej siły uderzył się mokną pięścią w twarz. Ból w rozbitych wargach przywrócił mu poczucie rzeczywistości. — Nie się nie stało — odpowiedział na pytający wzrok Kruglowa. — Już wszystko w porządku.

Ataki śmiechu jeszcze dwukrotnie nim wstrząsały, ale przeciwstawiał się im siłą woli. Czerwony dysk słońca wysoko podniósł się ponad linię piaszczystych garbów, kiedy Kruglowowi udało się samodzielnie obrócić w wodzie. Od tej chwili proces powrotu do zdrowia ruszył szybko. Wkrótce Kruglow poruszał już zranioną ręką; najpierw w wodzie, a później na powietrzu. Rana zblizniała się. Purpurowa opuchlizna znikła po prostu w oczach. Około południa mężczyźni wyszli na brzeg.

Parra i sam Kruglow z niedowierzaniem patrzyli na nierówną bliznę na delikatnej, białej skórze ramienia. Skórę, która nie widziała jeszcze słońca i od razu zaczęła czerwienić pod prostymi, pionowymi promieniami Nerima-II, równie gorącego jak Słońce. — Gdzie moja koszula? — zaniepokoił się Kruglow. — Za chwilę spale się do reszty!

Parra podniósł się i rzucił mu okrwawione łachmany.

— Noś na zdrowie.

— Chwileczkę — zdenerwował się Kruglow. — Łobuzie! Według ciebie to jest koszula? A nie przypominasz sobie, gdzie się podział koinerzyk?

— Za dużo ode mnie wymagasz — spokojnie powiedział Parra. — Nie pamiętam. — i wielkodusznie oznajmił — Jeśli jest ci niezbędny mogę ci oddać swój. Jest jeszcze całkiem czysty, tyle że nie uprasowany. Tylko proszę pospiesz się. Możemy spóźnić się na lunch.

Znowu byli tacy, jakimi znali ich wszyscy na Stacji, jakimi od dawna znali się nawzajem.

— Rzeczywiście pora — poważnie już stwierdził Kruglow. — Nie wiadomo ile jeszcze czasu przyjdzie nam błądzić. Nie mamy więcej rakiet?

— Nie — pokręcił głową Parra.

— Szkoda — Kruglow z zaskokiem zmarszczył brwi. — Niezłe byłoby... Choćby na wypadek ostateczności... Ech, czort z tym! I tak dojdziemy.

— Dojdziemy — potwierdził Parra.

Ruszyli w kierunku zarośli, gdy nagle Kruglow przystanął. — Poczekaj. Co zrobić, żeby to jezioro później odnaleźć. Przecież na słowo nikt nam nie uwierzy. Żyje jezioro! Pomyśl tylko!

— Nie bój się! Nigdzie nam nie ucieknie. Znajdziemy je. Dojdziemy do Stacji i wrócimy tu łazikami.

— Był kiedyś taki przesąd — w zamyśleniu powiedział Kruglow. — Do morza, rzeki, fontanny wrzucało się monetę na pamiątkę, żeby kiedyś wrócić w to miejsce. A ty wierzysz w przesady?

— Kto może wiedzieć jak to jest naprawdę? — szczerze przyznał Parra. — Ja nie wierzę na pewno. A ty masz może monetę?

— Skąd mam mieć? Nie jestem numizmatykiem. No i gdzie teraz można dostać monetę? Jasne, że tylko na Ziemi. Ale mam co innego. Zobacz!

Z cudem chyba ocalałej kieszeni koszu, Kruglow wyciągnął błyszczące, stalowe kółko.

— Co to?

— To jest kółko od pasa bezpieczeństwa. Podniosłem je, sam nie wiem po co, w pobliżu leja po wybuchu polota.

Parra obrócił kółeczko w palcach i oddał Kruglowowi.

— Wprawdzie to przesąd... — powiedział — Wszystko jedno, rzucaj. Gdyby nie to jezioro...

Kółko po raz ostatni błysnęło w promieniach słońca i pogryzło się w ciemnej wodzie. Ludzie jeszcze chwilę postali na brzegu, po czym ruszyli w drogę.

Raz jeszcze przekroczyli piaszczystą grzędę i ponownie wyszli na pustynię. Następnego dnia odnalazł ich laszek ze Stacji.

Na miękkim, piaszczystym dnie leżał kawałek żelaza rzucony przez ludzi do jeziora. Plusk wywołany jego upadkiem dawno uciech i ciemna gład wody była jak dawniej nieruchoma, ale pod powierzchnią rodziła się nowa fala — niewidzialna, groźna fala zagłady. Metal nie zaczął jeszcze rdzewieć, a już miliardy ożywych bakterii, których unikalna kultura w ciągu tysiącleci ewoluowała w zamkniętym zbiorniku jeziora, ginęły, rozkładając się w kontakcie z metalem. Produkty rozkładu zatrwały wodę, stawały się przyczyną śmierci milionów innych, a te z kolei — następnych.

Wszystko skończyło się bardzo szybko i niepostrzeżenie.

„Droga przecinała pustynię niemal po linii prostej i dopiero koło wzgórz robiła ostry zakręt, uchodząc w głąb tunelu przebitego w miękkim piaskowcu.”

Przed zakrętem samochód przyhamował. Mężczyzna, oderwawszy się od własnych myśli, po raz pierwszy w ciągu ostatnich godzin spojrzał na drogę.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— W dolinie „Żywego Jeziora” — odpowiedziała siedząca za kierownicą kobieta. Nigdy tu jeszcze nie byłam. Mówią, że to piękne miejsce. Zatrzymamy się?

„Powinienem być ja przekonany, żeby lecieć polotem” — pomyślał mężczyzna, ale głośno powiedział:

— Oczywiście. Jeśli masz ochotę...

Samochód minął wolno jeszcze jeden zakręt i zatrzymał się na polanie z rozległym widokiem.

— Jaka czarna woda! — zdziwiła się kobieta. — Aż strach!

— Jezioro jest niezbyt głębokie — flegmatycznie odparł mężczyzna. — To gruba warstwa iltu na dnie sprawia takie wrażenie. Ot, po prostu błotniste bajoro.

— A dlaczego to miejsce nazywa się „Dolina Żywego Jeziora”?

Wiesz?

Mężczyzna z lekkim zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. — Wśród zwiałowców na tej planecie krążyła taka legenda. Podobno jezioro niemal w mgnieniu oka goi rany, wskrzesza umarłych i tak dalej. Przesąd dosyć często spotykany wśród grup desantowych. Tutejsze błota mają oczywiście pewne właściwości lecznicze, ale nie przedstawiają one większej wartości.

— A ja styszałam co innego — sprzeciwiła się kobieta. — Że w dolinie były kiedyś ciepłe źródła, bogate w sole mineralne. Woda z nich spływała do małych jezior. Rzecz jasna niekoniecznie do tego źródła stymulowały regenerację tkanek. Tylko, że po trzęsieniu ziemi źródła wyschły. Mówią, że stało się to dawno temu, jeszcze przed skolonizowaniem planety. Jeszcze przed pierwszym desantem.

— Być może — obojętnie przytaknął mężczyzna. — Mimo wszystko trzeba było lecieć polotem.

— Tak, tak, jedźmy — zaczęła się nagle spieszyć kobieta.

— Żywe jezioro — powtórzyła już w samochodzie. — Wspaniałe, romantyczne marzenie.

— Bajka — zamruczał mężczyzna, zaniósł w drzewce.

Tłumaczenie:
EWA I DARIUSZ MILERSKY

Pod żaglami

JACEK BINKOWSKI

Za Orzyszem pięć kilometrów, w Okartowie trzeba skręcić w prawo przed tartakiem, później drogą leśną około pięćset metrów. Są już pierwsze namioty komendy zgrupowania. Za parę godzin przyjadą pierwsi harcerze — uczestnicy obozu Hufca ZHP ze Zgierza.

Tymczasem piętnastoosobowa grupa kwatermistrzowska od dziesięciu dni buduje już kuchnię polową, stołówkę, magazyny, ziemiankę. Nawet most na rzeczce zbudowali, taki drewniany, żeby samochód dostawczy mógł przejechać.

— Ten most tylko 11 godzin budowaliśmy — mówią chłopcy z „kwatery”. — Nazwalismy go „mostem westchnień”, bo każdy wzdychał, czy, tylko się uda. Cały dzień przy nim siedzieliśmy, nawet posiłki dziewczyny nam donosiły. Żeby było szybciej.

Rozstawili też najbardziej potrzebne namioty, chociażby ten, dla małych sucharów, taki specjalny z małymi piętrowymi łódeczkami.

JADĄ PIERWSZE AUTOKARY

z rozbawioną dzieciarnią. Młodzi harcerze ze szkół podstawowych. Od razu biorą się do pracy. Trzeba przecież zrobić namioty, niedługo wieczór. Plecak jeszcze leży na pustej polance, obok drzyna komendanta zabawia swoich podopiecznych. Tych najmniejszych zuchów. Poczucie do dzieciaki. Daleko od rodziców, po raz pierwszy same, a takie mają dobre samopoczucie. Stoją w kółku i śpiewają harcerskie piosenki.

Komendant obozu, hm. Maciej Truszkowski, jest bardzo zajęty, przecież to pierwszy dzień, trzeba wszystkim zarządzać. Umawia się na wieczór.

— Na obozie będzie łącznie z kadra ponad 200 osób — mówi komendant. — W tym kolonia sucharów, kurs instruktorów zuchowych, podobóz starszo- i młodzieżharcerski oraz podobóz żeglarski, najliczniejszy zresztą. Przewidzieliśmy dwa trzytygodniowe turnusy. To miejsce w Okartowie jest naszym „debiutem” — pierwszy raz jesteśmy w tym lesie. Jak widać, na razie wszystko jest w stanie dziecięcym, nawet ścieżek nie ma. Żeby dojść na posiłek czy umyć się nad jeziorem trzeba trochę po gąszczach. Za kilka dni będzie już inaczej. Rozstawimy wszystkie namioty, zbudujemy pomosty, bramę, obowiązkowo maszt musi stanąć. Wtedy dopiero będzie inauguracyjny apel, pierwsze ogólno-obozowe ognisko.

TUTAJ W OKARTOWIE

w przyszłości ma powstać stała baza żeglarskiego Hufca. Plany przewidują stałą kolonię zuchową, węzeł kuchenneo-gospo-

darczy, magazyny na sprzęt obozowy, no i przede wszystkim bazę dla żeglarzy: z portem, hangarami. To wszystko w przyszłości. Wstępne plany przewidywały na ten cel około 5 mln złotych. Dzisiaj to już ponad piętnaście. Trzeba trochę poczekać. Tymczasem stopniowo, własnymi siłami, harcerze będą zagospodarowywać teren. Część „budowl” już na stałe — na przyszłe lata.

Posiłek — to jeden z ciekawszych obrzędów każdego obozu. Idą całe „watahy”, dzwoniąc menażkami. Wymyślono sprytne, ponieważ dojście do kuchni wymaga przejścia przez las, żeby każdy zebrał po drodze trochę chrustu. Gromadzą się w ten sposób zapasy drewna pod polową kuchnię. Mniej w ten sposób roboty dla kilkuosobowej grupy dyżurującej codziennie w kuchni. Grunt to fajne pomysły.

Ustawia się kolejka z menażkami. Najpierw do jednego kotła z zupą, później do kotła z ziemniakami, później z mięsem, mizerią i taśmowo szybko leci. Komendant życzy smacznego. Jedzą. Później szybko menażki do rzeczki, trochę piasku, wody i już gotowe do następnego posiłku. Po harcersku.

Jeszcze idzie ostatnia grupa, najliczniejsza — żeglarze. — Idą — krzyczy jakiś chłopak. Wszyscy spoglądają w stronę nadchodzącej grupy. Bo trzeba zaznaczyć, że ten podobóz cieszy się największą popularnością, taki elitarny, inny. Sprawiają wrażenie dumnych, patrzyjących z pogardą na innych. I odwrotnie: inni im zazdroszą, bo oni na innych prawach, u nich jest dużo fajniej.

Żeglarze mają inne mundury, inny program, inne obyczaje. Na przykład we wszystkich podobozach najpierw posiłki jedzą uczestnicy, dopiero później kadra. Tutaj odwrotnie, starszym morskim zwyczajem — na łajbie pierwszy posila się kapitan.

Najważniejszym wyróżnikiem jest fakt, że mają łodki. Stoi przy brzegu, kilka „Omeg”, małe „maczki” i dwumasztowa „deżeta”. Razem 12 łodzi. Przywieźli wszystkie ze Zgierza, z własnej skutni.

Ten obóz jest ich pierwszym stałym, poprzednio jeździli na wędrownie. Tutaj na jeziorze Śniardwy będą trzy tygodnie w jednym miejscu. Nie wszystkich to cieszy. Marek na przykład wolałby obóz żeglarski wędrowny, nie jest tak nudno. Ciągłe wtędy w innym miejscu. Warunki także inne — mniej osób, zgrana paczka, bez harcerskich rygorów. Same „wilki morskie”, bez „zielonych” — jak nazywają innych harcerzy.

Bo oni — jak mówi Marek — nie utożsamiają się z typowym harcerstwem. Gdyby było można, działaliby oddzielnie. Oni mają inne prawa, inne metody pracy. I w ogóle w drużynach wodnych jest zupełnie inaczej i fajniej.

— Co tu dużo ukrywać — mówi Marek Kustosik, zastępca komendanta Hufca — w drużynach wodnych mniej się mówi a zdecydowanie więcej pra-

cuje. Praca tych ludzi wiąże i wychowuje zarazem. Sam jestem od tadnych paru lat żeglarzem, wiem, że to wciąga. I proszę zauważyć takie zjawisko. W ostatnim roku zainteresowanie typowym harcerstwem w Zgierz spadło o ponad pięćdziesiąt procent. Tymczasem drużyny wodne rozrastają się, jest coraz więcej chętnych. Nasze harcerstwo mogą uratować przede wszystkim specjalności, nie tylko żeglarskie.

Żeglarstwo to specyficzna specjalność. Tutaj ludzie się szybko „wykruszają”, ciągle nowe twarze. Jednak ci, którzy pozostali — to prawdziwi żeglarze. Ich to naprawdę wciągnęło. A później jak środek odurzający. Sam mam już rodzinę, dziecko, i nadal pływam. Nasz synek — pokazuje na małego Bogusia — już piąty raz jeździ z nami na obozy. Żona też jest żeglarką. Chociaż, prawdę mówiąc, dziewczynki zbytnio się do tej zabawy nie nadają. Owszem, są z nami, ale my je nazywamy OTŻ czyli Osoby Towarzyszące Żeglarzom...

DZIEŃ DRUGI

Żeglarze od samego rana przystąpili do pracy. Pierwsze dni są najbardziej pracowite i najciekawsze zarazem. Budują port dla żaglówek. Chłopaki stoją do pasa w wodzie i wbijają pale, które zresztą sami ściągali z jeziora. Pracują bez przerwy, nawet posiłki nie jedzą z innymi w stołówce, tylko tutaj, na brzegu, doniesiony przez dziewczynę. Mniejsi chłopcy pomagają przy innych pracach. Myją łodzie, donoszą deski na pomost, oczyszczają brzeg jeziora z korzeni.

— Niech pan popatrzy — mówi Marek Kustosik — czy to nie jest najlepszy sposób wychowawczy, taka praca? Praca z sensem, bo taki port za kilka dni będzie już widac i oni wiedzą, że to dla nich. Te wszystkie łodzie też sami robiliśmy w Zgierzu, w naszej skutni. Ostatnio, przed wyjazdem, to chłopaki prawie nie spali, tylko mecz obejrżeli i od razu do roboty. Można by pomyśleć: taka „Omega” dzisiaj kosztuje ponad 250 tys. złotych. Hufca nie stać na takie prezenty.

W ogóle warunkiem pojechać na obóz było przepracowanie co najmniej pięćdziesięciu godzin w skutni. To dolna granica, niektórzy przepracowali dużo więcej. Ci starsi, bardziej doświadczeni, wykonywali głównie prace przy łajbach. Młodszy pomagali przy bardziej prostych czynnościach. Na trzytygodniowy obóz trzeba było nieźle zapracować. Na obozie nie mniej, zresztą.

Nie też dziwnego, że są tutaj na innych prawach. Na przykład wszystkich uczestników obowiązuje rano gimnastyka. Żeglarzy nie, oni się gimnastykują przez cały dzień.

Najmłodsi „żeglarze” mają 12 lat. Niektórzy są po raz pierwszy, bez żadnego doświadczenia.

Ta grupa jest najliczniejsza. Z pięćdziesięciu osób stanowią połowę. Będą się tutaj uczyć, nabierać pierwszych doświadczeń, uczestniczyć w kursie żeglarskim. Zaczną oczywiście od nauki podstawowych węzłów.

Maciek, Piotrek, Arek chodzą do czwartej klasy. Zainteresowało ich pływanie na łajbie, dużo czytali o „wilkach morskich”, o zmaganiu z wodnym żywiołem. Chcieliby sami spróbować w praktyce.

Dla Piotra to już drugi z kolei obóz żeglarski. Miał chrzest zgodnie z żeglarskim obyczajem.

— Najpierw mnie złapali w lesie — opowiada. — Później zaciągnęli do wody, zaczęli bić jalołcem, kazali pić jakieś świństwo. Na koniec musieli pocalować króla Neptuna i królową.

Wcale się nie bał. Mówi, że żeglarz musi być silny i odważny.

— Musi być jeszcze zdrowy — dodaje Maciek. Jego na koniec obozu też będą chrzcili. Jest przecież po raz pierwszy. Nie tyle się bał, co jest ciekawy tego chrztu. Jak to w tym roku będzie? Koledzy opowiadają, ale on nie wierzy, może będzie inaczej?

Co chcieliby robić? Oczywiście pływać. Arek chciałby jeszcze stoczyć walkę z „zielonymi” z tamtego obozu. Tak, żeby wszyscy w nocy podpiłyneli łodziami i porwali zakładników. A potem żądali okupu, jak to bywa w książkach przygodowych.

Starsi koledzy na razie nie są zadowoleni. Przeraża ich taka duża ilość uczestników. Kiedyś jeździli na taki obóz w dwudziestkę. Teraz 50 osób i tyle samo łodzi. I jeszcze innych trzeba będzie wozić, nie żeglarzy, znaczy. Jacek mówi, że będzie duży rygor, ponieważ to duży obóz, nie tylko żeglarski.

Z nostalgią wspomina dawne czasy. Kiedyś to fajnie bywało! — Nie martwicie się, chłopaki — pociesza Wojtek — komendant. — Teraz też będzie fajnie.

Razem z Wojtkiem ci starsi stanowią własną „paki”. Nieraz wspólnie żeby połamali na wspólnych rejsach. Doświadczone wilki morskie. Oni już dojrzałej mówią o cechach dobrego żeglarsza. Zdecydowanie i zgodność potwierdzają, że musi być przede wszystkim wytrwałość i siły, zarówno psychiczne, jak fizyczne.

Chociaż pogoda świetna i bardzo upalnie, następny dzień nie należy jeszcze do wypoczynkowych. Trzeba przecież wykończyć port, zrobić kąpielisko, bramę i postawić maszt.

— Za kilka dni — mówi Maciej Truszkowski — będzie już inaczej. Żeglarze zaczną pływać. Imprezy się też szykują, ognisko. Niedługo przecież 22 Lipca, później rocznica Powstania Warszawskiego. Odbędzie się też obozowy Festiwal Piosenki Harcerskiej „Okartowo-82”. Olimpiada Sportowa dla wszystkich uczestników. Będzie fajnie, byłoby tylko pogoda dopisała i komary mniej „cięły”. Bo rzeczywiście, pierwsze noce nie należały do najprzyjemniejszych. Sam wróciłem do Łodzi niemiłosiernie pocięty. W końcu to Mazury.

Obóz się rozkręca, są już pierwsze warty, pierwsze apele, no i, niestety — pierwsze interwencje obozowej lekarki. Dzieciwice i nieocyszczone jeszcze dno jeziora kalczy bosa stopy, są więc ofiary pierwszych kąpiele.

Kiedy reportaż ukaże się w druku, być może uczestnicy pierwszego turnusu będą jeszcze w Okartowie. Dopytują się czy „Odgłosy” można kupić na Mazurach, chcieliby o sobie poczytać. Proszą, żeby pozdrowić na łamach ich najbliższych. Pozdrawiamy.

Jeszcze na koniec komendant obozu żeglarskiego zdecydowanie oświadcza, że ich programem jest przede wszystkim pływanie. Żałują, że nie mogą zostać na ich pierwszym ognisku. Opowiedzieliby więcej o obyczajach żeglarskich, o swoich przygodach. Może przy innej okazji.

Tymczasem — Czuwaj!

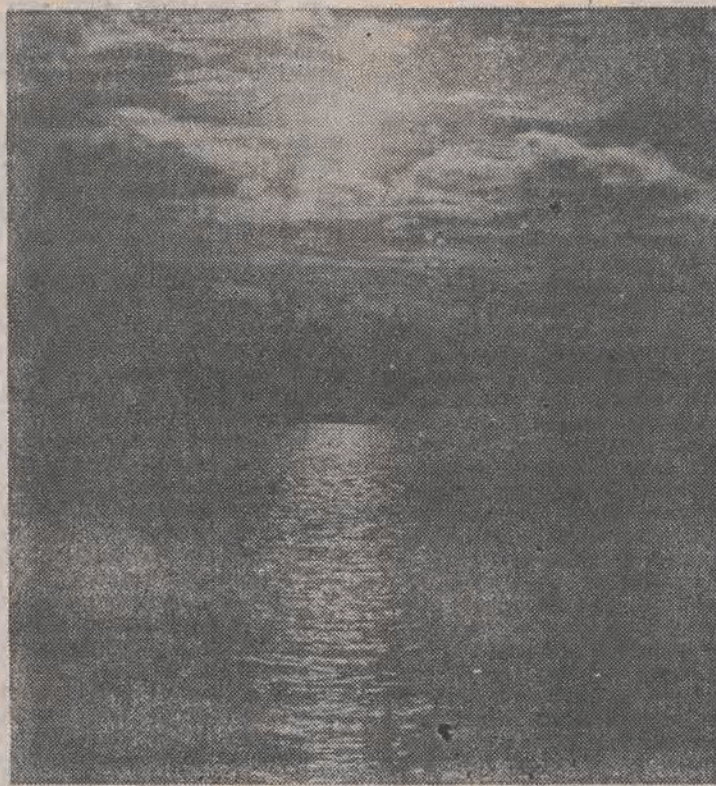


Foto: M. Zajdler

Jerzy P donosi ze wsi Wigrowce w gminie Sejny:

Jak zapewne Czytelnicy pamiętają — pisała o tym Bogda Madej w jednym ze swych mundialowych felietonów — Jerzy P. udał się w knieje, chaszcze i szuwary, aby odpocząć i z nowym zapasem sił wziąć się po powrocie do roboty. Ale mu widać tęskno za redakcją, pisuje więc do nas listy, w których donosi o różnych ciekawych rzeczach, zjawiskach itd. Szkoda byłoby, aby te wiadomości nie dotarły do Czytelnika i dlatego postanowiliśmy udostępnić fragmenty korespondencji Jerzego P.

1. WIADOMOŚCI Z PODRÓŻY

„W Łomży, w kiosku, w centrum miasta, kupiłem sobie „Tu i Teraz”, lokalne „Kontakty”. Jest to konsekwentnie i dość interesująco łamany magazyn, rzekłbym bardziej rozrywkowy np. z horoskopem na całą stronę. Numer „okazowy” przywiozę ze sobą!

Ale „Odgłosów” nie dostałem. Bardzo miła pani kioskarka zapodała, że owszem, ma nawet pismo zapowiadające dostawę „Odgłosów” od 1 września! Czyli idiotyzm, bo po sezonie.

Łomża nie jest co prawda szczególnym ośrodkiem turystycznym, ale „sprawdza”, czy podobnie jest w województwie suwalskim, Sejnie, Augustowie, samych Suwałkach.

I natychmiast napiszę. Panowie z Ruchu, strzeżcie się! Sam Jerzy P. na tropie własnej nieudolności.

„Mecze natomiast nagle przestały mnie obchodzić. Nie robię więcej za eksperta. Robię wyłącznie za wampira.

Czekając na przeobrażenie się w takowego — łączę pozdrowienia... Wigrowce, 3 lipca 1982 r.

2. LEŚNY DESER

„Kombinujemy też rozmaite desery. Polecam taki: kogel mogel z dwóch (trzech) jaj utrzyć z dużą ilością cukru. Potem dodać pół (dwie trzecie) szklanki poziomek i jagód. Dalej ucierać, potem zjeść.

Może być z samymi poziomkami, ale jest trochę młdy — kolorystycznie i smakowo”.

3. NA TROPIE...

„Nawiązując do prozy czyli rzeczywistości (przez małe „r”) spleść domięść, że w Sejnach też nie spotkałem „Odgłosów”. W Suwałkach chyba ich również nie ma; będę wracał przez turystyczny Augustów — w tę stronę zbyt nas piliło — więc sprawdźcie również i tam.

Ale widzę rzecz czarno: RUCH przespał lato, lansuje się wyłącznie tytuły już znane (jak „Życie Literackie”) bądź warszawskie.

Ważne: jeżeli ktoś jedzie do Zakopanego, niech sprawdzi i tam. Ja w pierwszej połowie września sprawdzę w Krynicę.

A jak Trójmiasto, Sopot, jak Kotłobrzeg i okolice? Niech każdy wyjeżdżający to sprawdzi”.

Tak jest! Drogi Jerzy! Będzie wykonane. Red. Jolanta Wrońska już wyjechała do Zakopanego. Wprawdzie w innym celu, ale przy okazji sprawdzi.

4. PORZUCIĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ...

„Teraz taki tekst:

WYJEJŻDZAJĄC W SUWALSKIE PORZUCIĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ... na gaz. Pomniejsze stacje w ogóle gazu bowiem nie otrzymują, a wielka rozlewnia w Suwałkach od czerwca nie obsługuje indywidualnych turystów. Jest to niewątpliwie śluzne i urocze, dlatego natomiast rozwiązano sprawę tak właśnie — postaram się dowiedzieć.

Ale nie ja będę się dowiadywał. Poproście oficjalnie o tekst redakcję „Krajobrazów” (Kościszki 32, 16-400 Suwałki) bądź „Gazetę Współczesną”, ale ta ma centralę w Białymstoku (Wesołowskiego 1, 15-950 Białystok), a filię w Suwałkach też przy Kościszki 32.

To ciekawa i aktualna sprawa, przyczynek do „wczasów po polsku”. Pozdrowienia! Wigrowce, 7 lipca 1982 r.

Drogi Jerzy! Do Suwałk nie będziemy pisali, bo — jak to widać po listach od Ciebie — pocztą też pracuje „po polsku” niestety. Ale zadzwonimy — już to zrobiliśmy — i materiał dostaniemy. Odpoczywaj spokojnie!

Łódź, 15 lipca 1982 r.

REDAKTOR DYŻURNY

ODGŁOSY 11

Dokończenie ze strony 1

niosły. Mimo, iż skup w roku bieżącym w porównaniu choćby z ubiegłym trochę ruszył, to możemy być w sumie spokojni: zaledwie o nasze kartkowe przydziały. Choć gwoździ ścisłości: odnotować trzeba, że rarykalnie zmniejszy się w tym roku, import mięsnego surowca. W roku bieżącym zadowolimy się gdzieś 50 tysiącami ton — będą to tzw. — elementy wleprzone z Chin, surowiec dla przetwórstwa, gdy w roku ubiegłym zmuszeni byliśmy zakupić około 150 tysięcy ton.

A jednak idzie ku lepszym! W pierwszych dniach lipca gruchnęła wiadomość, a natychmiast podchwycili ją — nierzadko na pierwszych stronach — niemal wszystkie gazety, że jeszcze w sprawie mięsaczu zaczyna się pojawiać w sklepach wędliny produkowane według starych, dobrych receptur, smaczne i pachnące, bez różnych dziwnych substytutów i wreszcie myśliwska znów będzie mogła parę tygodni wiewać w kuchni na gwoździu bez obawy, że sama ze wstydu zzielenieje.

Oczekawszy parę dni na zdementowanie tej historii z cyklu „wakacyjne opowieści czyli ogórki”, a nie doczekawszy się takowej — postanowiłem sprawdzić całą sprawę od podszewki czyli u źródła. Udało mi się w Okręgowym Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego w Łodzi złożyć zastępcę szefa teżej do spraw handlowych — **MACIEJA WIELGOSZA** — zastępcę do spraw produkcji — **JOZEFA ANDRZEJEWSKIEGO**. Przyznał jednak trzeba, że obaśfowie firmy przy ulicy Inżynierskiej, jak i odpowiedziany wspólnie kierownik zakładu „Nowe Sady” — **JOZEF STĘPAŃSKI**, zgodzili się bez oporów na męską wymianę zdań, z pytaniami podchwytliwymi i przypieraniem do muru włącznie. Takie parugodzinne

TWARZA W TWARZ

ze specjalistami od zagospodarowywania naszych comiesięcznych mięsno-wędliniarskich przydziałów. A że wszyscy trzej dwóili się (troili też), by wyjść z twarzą właśnie z wielu bulwersujących ludzi tematów przytaczam sumę ich wypowiedzi.

— Od kiedy powróciliśmy do starych receptur i co to w praktyce oznacza?

— Dokładnie od 6 lipca w kraju powróciły wszystkie przedsiębiorstwa naszej branży do znanych od wielu lat receptur i znanych przez klientów nazw. Oznacza to zaś, że...

— „Wraca „normalna” krakowska, jałowcowa, piwna? — Tak, będą kabanosy, salami, kiełbasy wędzone, ale także dwa rodzaje szynkowej, metka, inne będą teraz serdelki i serdela.

— W jakiej grupie wędlin zmiany będą najbardziej daleko idące?

— Chyba w półtrwałych, gdzie powinny być w sprzedaży: husarska, żywiecka, jałowcowa, piwna, toruńska, serwolotka, polska wędzona, białostocka.

— Łza się w oku kręci. Ile będzie w sumie teraz produkowanych przez was tzw. asortymentów?

— Gotowych, jednolitych w kraju receptur jest 34. W naszych czterech zakładach — w Łodzi, Rawie Mazowieckiej, Płocku i Pabianicach wytwarzać będziemy 26 asortymentów wędlin, pozostałe to są takie regionalne wyroby, jak choćby półtrwała serwolotka, bydgoska surowa, czy poszukiwane na Śląsku tzw. „frankfurterki”.

— No, ponad 20 różnych wędlin to i tak rewelacyjna ilość...

— Aż tak stodoła to nie będzie, nie produkujemy przecież wszystkich równolegle. Przeciwnie wytwarza się 7-8 różnych gatunków. Bowiemy jest jeszcze jedna zasada, o której warto wspomnieć: niedopuszczalne są obecnie, zwłaszcza dotyczy to tych najwęższych gatunków wędlin, jakiegokolwiek odstępstwa od receptur. Oznacza to, że w sytuacji podbramkowej, gdy zabraknie nam potrzebnego gatunku osłonki czy choćby pleprzu, to danej kiełbasy po prostu nie będzie w produkcji.

— Winstuje, zabraknie pleprzu i znów wszystkie sklepy dostaną wyłącznie zwyczajną i serdelki w „plastycznym” flaku?

— Bez przesady, choć przyznać trzeba, że o jakości finalnego wyrobu decyduje obok surowca właśnie osłonka i odpowiedni dobór przypraw.

— I zaraz usłyszę, że „po wodu znanych trudności w zdobywaniu tychże” bo to na pewno tzw. wsad importowy itd., itd. Rzeczywiście musicie korzystać z importowanych przypraw?

— Oczywiście, tak „ustawione” są receptury. Choć więc „Herbapol” stara się, jak może, używamy około 10-12 przypraw importowanych — pieprzu naturalnego, papryki, ziela angielskiego, kardamonu. Cóż — był import — były dewizy. Teraz jest kruczo, ale gdy dla przykładu zaczęliśmy sprzedawać węgiel do Holandii, nie ma kłopotu z haminą — specjalnym środkiem do peklowania. W sumie rocznie zużywamy ok. 30 ton przypraw importowanych i 40 ton naszych, rodzimych, takich jak cebula, czosnek, gorczyca, kminek.

— A z flakami, przepraszam osłonkami też są takie ścisłe wymagania i też kłopoty?

— Tak — okresowe. Tu trzeba chyba wyjaśnić, że wykorzystujemy osłonki naturalne (po prostu jelito zwierzęce) — do wszystkich kiełbas cienkich, które można śmiało ze skórki zjeść, osłonki białkowe — produkowane z białka pochodzenia zwierzęcego, które choć nieszkodliwe, nie są bardzo dają się spalać, są więc wreszcie poliamidowe. W takich była kiedyś mielonka robiona...

— Pamiętam — w hermetycznym, plastikowym „worku” gdzie — pomijając jakosć mielonki — po otwarciu trzeba było natychmiast wyjadać zawartość, bo później mogła sama „uciec”...

— Ale dziś robimy w nich tylko tzw. podrobowe — kaszanki, salcesony.

A TE CELOFANOWE PARÓWKI?

— No cóż — osłonki są raczej niejadalne, lepiej taką ściągnąć przed wrzuceniem parówki do garnka.

— Teraz pytanie z innej beczki: narzekacie ponoć, że przydałaby się wam chłodnia na 20 tysięcy ton. Czyżbyście mięsa mieli za dużo, czy przetwarzali je na lepsze czasy?

— Decyduje struktura skupu. Wiadomo, że w pierwszej dekadzie miesiąca i ostatniej jest większy, podobnie — w III kwartale roku zawsze jest w skupie regres, a ludzie chcą przecież jeść tak samo, mają to kartkami zagwarantowane. Musimy więc surowiec kierować wcześniej do chłodni, by te braki w dostawach wyrównać w skali roku.

— I wozicie surowiec po kraju...

— Niestety, te 5-6 tysięcy ton w łódzkich chłodniach to za mało; wozimy surowiec do Olsztyna, na Śląsk, do Bydgoszczy...

— Koszta idą w górę, bo i przywieźć też trzeba.

— Ale innego wyjścia nie ma. Można by robić co prawda konserwy, ale nie wszyscy to lubią, a poza tym — kłopoty z blachą.

— Czyżby blacha w tym kraju była już rarytatem?

— Blachy produkujemy sporo, gorzej z jej uszlachetnieniem, m. in. dla naszych potrzeb, toteż gros surowca na nasze puszkę szło z importu. A dziś — wiadomo jaka sytuacja. Robimy trochę mielonki, gulaszu, trochę pasztetów, w sumie średnio jakieś — 4-5 ton dziennie, a moglibyśmy — 30 ton.

— Mam propozycję: rozliczmy średni dzienny ubój w waszych czterech zakładach i produkt finalny...

— Proszę bardzo. Średnio ubijamy dziennie żywca jakiegoś 450-500 ton. Po rozebraniu — produkujemy znów średnio około 100 ton wędlin, 15 ton wędlin podrobowych (kaszanek, salcesonów, wiatrobianek), te 5 ton konserw. Zostaje jeszcze z 30 ton tuszczów — to jest smalec i stoniny w efekcie.

— Wszystko mało, by się rachunek zgodził...

— Oczywiście, bo najwięcej, średnio te 200 ton dziennie stanowią mięso „kłocowe”, to znaczy to użytku kulinarnego: detal, stołówki, szpitale itd. A teraz reszta to już kości, no i te ilości surowca, które odkładamy na kolejne, „chudsze” miesiące trzeciego kwartału. Bo potrzeby kartkowe są identyczne. Toteż są dni, że i 150 ton się odkłada.

— No dobrze, więc idźmy „za ciosem”!



Foto: Mirosław Zajądel

Mortadela story

GDZIE TRAFIA TE 100 TON WĘDLIN

każdego dnia i w jakiej postaci?

— Weźmy najlepiej konkretny przykład. Dziś jest 19 lipca, ze 100 ton średnio 30 dzielone jest na osłonne województwa, gdzie uzupełniamy podstawowych dostawców, czyli WSS i WZSR.

— A co znajduje się w tych 70 tonach?

— W dniu dzisiejszym dokładnie w 65 tonach. Proszę bardzo, choćby procentowo: poszło 10 procent wędzonek (szynka, baleron, poledwica), 4 proc. kiełbas suchych, 5 proc. boczków, 15 proc. — mielonki i mortadeli, reszta — to grupa wędlin parzonych, nietrwałych.

— W tonach niby sporo, ale tych lepszych gatunków to skromniutko...

— I tak niestety będzie jeszcze długo; nie damy więcej wędzonek jak maksymalnie do 15 proc. Nie mówię rzecz jasna o takim okresie przedświątecznym, kiedy proporcje są niemal odwrotne.

— Ale i tak wędliny po godzinie 11 już nie uświadczyć, w wielu sklepach zostaje tylko mielonko...

— Wtrąca od razu: to w pewnym sensie „wina” kartek, na które od 3 miesięcy może pan kupić wyłącznie mięso. I te kolejki, które znów się zaczynają tworzyć — są „za wędlinami”. A obecnie, na czas urlopu, można po całym kraju jeździć i oprócz wyczynku — kartkę zrealizować. Do Łodzi, o czym doskonale wiemy, masę ludzi przyjeżdża z województw ościennych i dalszych. Właśnie po wędliny.

— A mówi się, że na reglamentacji niektóre województwa, te „zielone” — wygrały? — Na pewno w jakimś stopniu. Skończyło się przecież preferowanie bodaj 8 dużych ośrodków czy aglomeracji w kraju. Teraz wszyscy mają „po równo”.

— Wciąż jesteście deficytowali, nawet po podwyżkach cen? — Wciąż. Do przemysłu mięsnego trzeba nadal dopłacać rocznie w skali kraju około 66 miliardów złotych.

— Słynne „rzy S” was nie uratuje...

— U nas jest niemożliwe. Trzeba by albo podnieść ceny wyrobów na rynku, albo obniżyć cenę żywca. Jedno i drugie jest nierealne.

— Nie ma recepty? — Jest, stworzyć takie mechanizmy w rolnictwie, by chłopu opłacało się przetworzyć własną paszę na mięso i mleko.

— Łatwo powiedzieć. Ale z drugiej strony gdyby każdy rolnik sprzedawał swoje ziemniaki i zboże, by trzymać się tych przykładów, to

CENY WOLNORYNKOWE MUSIAŁYBY SPAŚĆ

— I taką sytuację przewidyujemy po żniwach.

— Czy rzeczywiście skup wystarczy na pokrycie potrzeb kartkowych?

— Tak, choć struktura naszych dostaw będzie teraz nieco inna. Po prostu kończy się wleprzowina — na żniwa zawsze jest więcej wołowiny. Ale gdy niedawno nie było kłopotów z wleprzowiną — ją głównie realizowano, wołowina szła do chłodni. A teraz będziemy ją jeść.

— Wyłącznie?...

— No, niezupełnie. Ale w trzecim kwartale będzie stanowić w mięsie około 40 proc., a jeszcze niedawno dawaliśmy jej zaledwie 15 procent. W wędlinach też będzie więcej asortymentów z wołowiną.

— Wróćmy jednak do tematu starych receptur i nazw. Zmiany tych ostatnich, w których gubili się i sprzedawcy i klienci wiązały się nie tylko ze zmianami cen. W grę wchodziły różne substytuty, by z tej samej masy uzyskać więcej wyrobów gotowych.

— Tak, ale to stare dzieje. Taka operacja w skali kraju dawała pulę w granicach jednomyślniejszego wyżywienia dla nas wszystkich. Ale już w listopadzie osiemnastego roku zaczęto od tego odchodzić, zaczął się atak na jakość. Dziś nie stosuje się już substytutów.

— O ile wiem, niezupełnie. Bodaj chyba cztery gatunki jeszcze coś tam mają?...

— Ale tylko do 5 proc., z grupy kiełbas popularnych.

— Jednak przypomnijmy, czym nas karmiono przez wiele miesięcy, w jakim procencie, w jakich gatunkach. Stąd się przecież brały opowieści o niektórych kiełbasach, których „nawet pies nie chce ugryźć”...

— Oj, uparł się pan. No więc było to białko pochodzenia roślinnego. Białko teksturowane (nie tekturowe, jak niektórzy twierdzili...) — soja odtłuszczone, odpowiednio spreparowana, kazeina sodu z mleka. A że „pies nie chciał”? Bo psy nie lubią grochu, soi i tym podobnych.

— Ile tych „preparatów” dodawało się i do czego głównie?

— Do kiełbas nietrwałych. Białka roślinnego nawet do 20 proc. szło. Zmieniała się barwa, była bardziej ceglata, później szybko zzieleniała. Inny był smak i zapach. No, soja dodawana była choćby do krakowskiej, zresztą do wszystkich po trochu, za wyjątkiem suchych. Ale wracamy do...

— „Starych, dobrych receptur i nazw „babeł”. Ale tego wysokowartościowego surowca potrzebować będziecie teraz więcej.

— To oczywiście, bo „odstawiliśmy” substytuty. A trzeba jeszcze chyba powiedzieć, że w kiełbasach suchych, po „wizycie” w szusarni, czyli odparowaniu wody, otrzymujemy średnio 80 kilogramów wyrobu ze 100 kilogramów surowca.

— W tych nietrwałych za to może nam waga nawet wzrosnąć...

— To prawda. Ze 100 kilogramów „siekanego” mogą nawet do 130 kilogramów wyrobu uzyskać, ale cóż — mięso chłonie wodę. Ale też są te kiełbasy wysoce nietrwałe, powinno się je, zwłaszcza w grupie drobnoziarnistych (np. serdela, parówki, mortadela, metka) skonsumentować w ciągu 24 godzin. Choć inne już wychodzą i serdelki i parówki, z

innego nieco surowca, z innymi przyprawami.

ALE NADAL SĄ TO KIEŁBASY TŁUSTE...

— Są, choć trochę ten tłuszcz staramy się ukryć, rozdrobnić. A przy gotowaniu nie się nie ukryje. Z tym, że powiedzmy sobie wyraźnie: trzeba zagospodarować te gorsze gatunki mięsa. Tak się robi na całym świecie. A kto trochę zwiędził choćby Europę, ten wie, jak tam wyglądają te gorsze gatunki wędlin, jak smakują w porównaniu z naszymi i czy wszyscy biegają tak jak u nas za wędzonkami, suchymi kiełbasami. Ale potrafimy tylko nasze krytykować.

— Jest to jeszcze sprawa podania wyrobu, opakowań etc.

— Oczywiście, ale co tam „siedzi” w środku, to przecież konsumenci raczej nie wiedzą, ale „rozkręcając” stopniowo temat tradycyjnych receptur. Rozumiem, że coś już trafiło na rynek. A można prosić o dane?

— Oczywiście. Z kiełbas trwałych jeszcze niewiele, bowiem są w dojrzewalniach ze względu na długi cykl suszenia, ale zrobiliśmy już 1,5 tony kabanosów, 2,5 tony myśliwskiej, 5,5 tony krakowskiej suchej.

— A w grupie tzw. półtrwałych, czyli tej, gdzie zmiany powinny być najbardziej — obok popularnych — odczuwalne?

— Poszło 1,5 tony kiełbasy piwnej, po tonie polskiej wędzonej i rzeszowskiej, 7 ton serwolotki, 79 toruńskiej, 14 ton żywieckiej. Poza tym 1 tona metki (ale tej latem nie chcemy zbyt dużo robić; jest smaczna, lecz szalenie nietrwała), 21 ton mortadeli, 20 ton parówek.

— Chyba nareszcie będą one autentycznie dla dzieci i dietetyków.

— No, są już bez białka teksturowanego. O, jeszcze 138 ton krakowskiej parzonej, ale już według nowych receptur i 40 ton szynkowej parzonej.

— A gdzie zapowiadane salami?

— Będziemy robić, ale minimalne ilości, chyba w Rawie Mazowieckiej. Pomiędzy sprawę doskonałości surowca doń, ale w obecnej sytuacji nie stać nas na wielotygodniowe magazynowanie surowca, a cykl produkcyjny trwa tu do 3 miesięcy. A w ogóle to nie ma co ukrywać: nie są bardzo umiemy robić dobre salami.

— Węgrzy i Włosi nie chcą sprzedawać swoich tajemnic...

— Właśnie. Cały plaster salami musi mieć przecież taką samą konsystencję, przy suszeniu nie może na wierzchu wytworzyć się twarda skórka. U nich powstaje taka jakby pleśń i wtedy woda ze środka równomiernie odparowuje, a wierzach się twardnieje. Ale cóż, bawia się to od „paru” lat.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o różnych sprawach związanych z przemysłem mięsnym. Między innymi o gigantycznym w Rawie, który powstał w miejscu, gdzie surowiec jest pod bokiem, ale rzeźników ściągano z całej Polski. O związanych z tym kłopotach

transportowych, braku zaplecza technicznego. O peklowaniu mięsa, w trakcie której do operacji używa się salety, soli, intrytu i „maggi”, a która ma — takie wersje były modne — wywoływać jakies... rakotwórcze efekty. O czasach, gdy do Łodzi trafiało codziennie 110 ton samych wędlin. O wstępnych próbach do wytwarzania z czasem łódzkiej, wiatrobianej i kaszanki. Wreszcie próbowałem się dowiedzieć, dlaczego wędlina w przetwórnym pachnie, a w sklepie — nie. Bo konieczność pakowania, przedtem oziębiania, transportu w pojemnikach, długiej, trwającej często ponad 12 godzin drogi do sklepu, bo fatalne zwykłe warunki przechowywania w tychże...

Korekto! mnie jednak (życie jest życiem) by sprawdzić, czy rzeczywiście nawet te podane tony różnych wędlin dotarły do sklepów, jak je przyjęło, czy rzeczywiście czymś się różnią od swych „poprzedniczek” etc. Na chybili — trafił wybrałem więc sobie jedno z łódzkich dużych osiedli — Koziny i przeprowadziłem króciutki rozmowy z kierowniczkami tylko trzech sklepów. Oto efekty.

Sklep przy ulicy Długosza 7: — I po co mi pan to wyzytuje! — denerwuje się kierowniczka, **ZOFIA JANIĄK**. — Przecież ja tych „nowości” jeszcze nie widziałam u siebie. Serwolotka i mortadela — owszem, były, ale ta druga to kiedyś już przyjechała zielona.

Oczywiście, że nie mam gdzie trzymać; powiesz — to za godzinę barwę zmienia. E, niech pan nie przesadza, nie wszystkie są takie nietrwałe: jak kiedyś przywoziłam z Węgier kawałek mortadeli to upadła droga w pociąg wcale jej nie zaskodziła, była jak „nowa”.

Sklep przy ul. Długosza 28: — Aha, dostałam kiedyś 20 kilogramów toruńskiej, mortadela też jest, ale to przecież ta sama co zwykle — tłumaczy kierowniczka **TERESA WALCZAK**. — Dziś szynki miałam 20 kilogramów — co to jest taka ilość? Mam, owszem, ponad 120 kilogramów tych nietrwałych kiełbas, ludzie stali w kolejce od 3 rano i nie chcą kupować. A ta szynkowa wleprzowina to nadal identyczna jak mortadela...

Sklep przy ul. Ossowskiego 4: — Miałam krakowską, piwną, dziś dostałam trochę szynkowej wleprzowej i rzeszowskiej, była też kiedyś toruńska — wylicza kierowniczka, **BARBARA BIENIARZ**. — Tylko, że na przykład krakowskiej, mielonki i opolskiej to pan nie odróżni, która jest która. Chyba z jednego kotła „leca”. Serwolotka jest codziennie, ale żadnej zmiany na lepsze nie widzę; wczoraj była prawie surowa w środku. Mortadela jest codziennie, ale gdy dostanę we flaku jak „balon” — to leży. Zamrażarki? Są, ale na drob. A takiej golonki czy wołowego to w upały na drugi dzień już nikt nie kupi, tak wygląda. Poza tym, wie pan — co innego zamawiam, co innego dostaję. Odmawiam, a oni golonką i wołowina mnie zarzucił. I co mogę zrobić?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Jeszcze przed zakwalifikowaniem do druku poniższego tekstu redakcja nasza otrzymała pismo z Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Górna, zastrzegające prawo autoryzacji artykułu red. Edwarda Bryla. Udostępniliśmy przedstawicielowi

Zespołu tekst, do którego zgłoszono szereg zastrzeżeń. Niektóre stwierdzenia autora reportażu zostały ocenione jako „mijające się z prawdą” i przedstawiające w niekorzystnym świetle kierownictwo i kolektyw pracowniczy ZOZ Łódź-Górna”.

Zaproponowaliśmy wyszczególnienie tych zastrzeżeń na piśmie, w celu zamieszczenia ich na naszych łamach jednocześnie w reportażem. Przedstawiciel ZOZ Łódź-Górna odmówił skorzystania z takiej formy polemiki z Edwardem Brylem.

Prezentowany tekst zamieszczamy bez skreśleń, mając nadzieję, że wywoła on dyskusję w tak ważnej sprawie, jak opieka społeczna. Czekamy na listy! Tytuł pochodzi od redakcji.

Wieś Romanów, gmina Rzgów. Rodzina wielodzietna dzieci czworo w wieku od 3 do 14 lat. Małenka działka przyzgodowa, matka pracująca jako woźna w szkole. Z zatrudnieniem ojca bywa różnie. Domek skromny, drewniany — tylko kuchnia i pokój. Czysto! Z Ośrodka Opiekuna Społecznego rodzina Grochowskich otrzymuje zasiłek kwartalny — po tysiąc złotych na jedno dziecko i paczki żywnościowe, przeciętnie też jedną w kwartale. Dochód na osobę nie przekracza dwóch tysięcy złotych miesięcznie, a potrzeby są duże. Z tych najpilniejszych pracownik socjalny Ośrodka Opiekuna Społecznego Łódź-Górna, Janusz Zieliński, załatwił dopiero co wersalkę, ma jeszcze w planie węgiel. Przydzielone 1,7 tony rocznie to stanowczo za mało, a na dodatek są kłopoty z wykupieniem.

— Tutaj chętnie dajemy pomoc — mówi. — Wiemy, że nie są to pieniądze wyrzucane w błoto. Ta rodzina ma dobrą opinię.

Wieś Gospodarz, gmina Rzgów. Jan Laska, kaleka po amputacji nóg, samotny wdowiec. Utrzymuje się z renty, która łącznie z rekompensatą wynosi 5250 zł. Mieszka w prywatnym domu, niezbyt zadbanym przez właściciela. Rynny nie ma kto naprawić, woda leje się po ścianie, grzyb w pokoju!

Ośrodek zorganizował tzw. pomoc sąsiedzką, zasiłek kwartalny — 2 tysiące złotych, paczki żywnościowe, stara się dosłownie o wszystko, o każdy aktualnie potrzebny drobiazg, nie ma w mieszkaniu nowej rzeczy, która nie przeszłaby przez ręce pracownika socjalnego.

Jan Laska nie zawsze był samotny. Wychował trójkę chłopaków, których przegarnął zaraz po wojnie. Dbał jak o swoich, kochał i nadal kocha, ale młodzi nie pamiętają, nawet nie zająra. Obecnie mają więcej serca niż rodzina — gorzyc przebiega w słowach schorowanego człowieka, gdy opowiada o własnych perypetiach losu.

A tak naprawdę to pasierbowie mogliby choć w części wyręczyć opiekę społeczną. Stać ich na to, aby zająć się ojczymem, jak kiedyś on nimi. Wypadałoby, sumienie tak nakazuje i obowiązek.

Pani Anna Krawczyk zamieszkuje w Starowej Górze małą, skromną chatkę, skazana na towarzystwo starej kotki z parą kociczków. Wnuczka nie odwiedza babki, córka tylko po to, aby okraść. Zmuszona zdecydowanym działaniem ośrodka opiekuna do alimentacji, płaci trzysta złotych miesięcznie i oburza się, że musi tyle tracić...

Milicja nie chce słyszeć o jakiegokolwiek interwencji w sprawie kradzieży; nie będzie się wtrącać w zawiłości rodzinne — stara kobieta nigdy nie odzyska zabranych jej siłą przedmiotów, które wydarła jej córka wraz z przyjaciele, oczywiście „na przelew”.

Z Ośrodka pani Anna otrzymuje zapomogę okrośną 2500 zł. pracownik socjalny załatwił papę na pokrycie dachu — ktoś przecież musi się zajmować bieżącymi kłopotami staruszek.

Też w Starowej Górze mieszkają z szóstką dzieci Józef i Sabina Celmerowie. Jedno dziecko uczęszcza do szkoły specjalnej. Matka i ojciec — pracownicy fizyczni, ojciec jest robotnikiem w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi. Mieszkanie tych ludzi to nora, sufit czarny jak asfalt, ściany identyczne, zarywająca się podłoga. Wszystko wiatrem podszyte, przecieka. Zamiast szafy ogromny drąg na hakach, zawieszony od ściany do ściany, na nim odzież. Kiedy na dworze pada deszcz, i woda cieknie strugami do wnętrza, „szafa” przenosi się w inne, suchsze miejsce. W kątku stoi sfatygowane wiaderko — rodzina ubikacja Celmerowie, ubodzy, zupełnie niezaradni życiowo, próbowali coś tam załatwić u naczelnika w Rzgowie, ale wiadomo że Rzgów nie ma żadnych zasobów mieszkaniowych. Nikt się nimi nie interesował, ani stare związki zawodowe, ani „Solidarność” (nędza tych ludzi trwa latami, a w okresie „dynamicznego rozwoju” kwitła najwspanialej), ani nawet opieka społeczna nie wiedziała o ich istnieniu. Dopiero trzeba było zmiany na stanowisku pracownika socjalnego w gminie Rzgów, aby ludzkie sprawy na tym terenie ruszyły naprzód. Poprzedni pracownik zupełnie się nie sprawdzał! Zygmunt Paduch, kierownik Działu Służb Społecznych Łódź-Górna musiał dokonać zmiany.

Gmina Rzgów jest rozległa, zajmuje takie terytorium, jak dzielnica Łódź-Górna, potrzebny był ktoś rzutki, aktywny, z sercem dla ludzi. Wybor był trafny Janusz Zieliński przemierzył ją pieszo wzdłuż i wszerz, czasem samochodem z pielęgniarzką środowiskową lub połączną Władomą, że samochodów dla potrzeb opieki społecznej nie ma, a jej pracownicy rzadko posiadają prywatne. Wiele ludzkich trudnych, wstydlivych problemów udało się już załatwić. Sprawa mieszkanka dla Celmerów trafiła do dyrektora Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, Jerzego Okieńczyka — pracodawcy Józefa Celmera a stamtąd dalej. Jest już w Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu

m. Łodzi u dyrektora Stefana Majcherczaka. Mieszkanie wkrótce się znajdzie!

Swoją drogą źle jest, gdy życiowe sprawy ludzi mają nadany właściwy bieg dopiero po interwencji u dyrektorów, jakby nie było żadnych organizacji, ani społecznych, ani politycznych na terenie zakładów pracy czuwających nad losem człowieka, czyżby tylko zbierano składki, organizowano zebrania, wycieczki? Jak

EDWARD BRYL

Wspomagać w potrzebie

Liczba osób wymagających wsparcia opieki społecznej w ostatnim czasie zaczęła szybko wzrastać, już w tej chwili przynajmniej co czwarty mieszkaniec naszego kraju powinien być jej beneficjentem. Podwyżki cen, zwłaszcza artykułów spożywczych, świadczeń, usług, mimo rekompensat zubożyły wszystkich, najbardziej to środowiska, w których niedostatek zawsze dawał się we znaki — emerytów, rencistów, ludzi starych, niepełnosprawnych, rodziny wielodzietne... W obecnej sytuacji kryzysowej, kiedy opieka nie może liczyć na wydatne zwiększenie funduszy, niepokojące jest zjawisko wycofywania się zakładów pracy ze wszelkiej działalności opiekuńczej lub drastycznego jej ograniczania. Dzisiaj

u nędzy mieszkaniowej Celmerów rozlicza się POP, byle związki zawodowe, komisje socjalne?

Nowy pracownik socjalny w gminie Rzgów zajmuje swoje stanowisko tylko od grudnia 1981 roku, a już zrobił wiele dla terenu. Wspólnie z kierownikiem, Zygmuntem Paduchem, potrafił wciągnąć w kłopoty opieki społecznej dyrektora Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego w Łodzi, Sławomira Mastierka, który obiecał dać samochód przynajmniej raz w tygodniu. Dobra wola dużo może zdziałać!

Dzisiaj pozyskiwać ludzi dla spraw społecznych nie jest łatwo, brakuje terenowych opiekunów społecznych, wszyscy zaabsorbowani są własnymi potrzebami, ale właściwe poście, ogromne doświadczenie w pracy społecznej kierownika Działu Służb Społecznych, Zygmunta

Paducha, sprawia, że w ZOZ Łódź-Górna nie jest tak bardzo odczuwalny ich brak. Podopieczni mają pewność, że nie tylko dotrą do nich pieniądze z opieki, ale zjawia się ludzie, którzy rzeczywiście pomogą załatwić najtrudniejsze i najpilniejsze sprawy, zrobią zakupy, zachęca sąsiadów do życzliwości i angażowania się w ich codzienne potrzeby, sami są przecież bezradni, niewydolni. Ośrodek, jak i wszystkie

wielu ludzi, którzy korzystali z materialnej pomocy instytucji macierzystych, nie może o tym nawet pomyśleć, a i w społeczeństwie nękanym trudnościami związanymi z kryzysem coraz mniej jest chętnych, gotowych wspomagać bliźnich w potrzebie. Ani ta niechęć, ani nagłe liczenie się przedsiębiorstw z każdym groszem wydanym na cele społeczne nie świadczą dobrze o narodowym morale. Źle by się stało, gdyby Polski Czerwony Krzyż, Polski Komitet Pomocy Społecznej, Ośrodki Opiekuna Społecznego nie znalazły oparcia dla swych poczynań wśród ogółu i to w okresie, w którym zła sytuacja materialna znacznej części społeczeństwa jest zupełnie niezawiniona.

podobne instytucje, zajmuje się rodzinami wielodzietnymi, emerytami, rencistami, ludźmi niepełnosprawnymi, dziećmi kalekimi, rodzinami alkoholików. Nie jest to praca łatwa z uwagi na skąpe, jak na dzisiejszą drożyznę, fundusze, brak jednoznacznych przepisów dotyczących pomocy poszczególnym środowiskom, np. tak jest z rodzinami wielodzietnymi, brak chętnych do współpracy, zarówno instytucji, jak i osób prywatnych! Dzielnica Górna, przede wszystkim jej stara część z ogromnymi czynszowymi kamienicami bez wygód, lichymi drewniakami na obrzeżach miasta, kryje w sobie niejedną tragedię ludzką. Wyprowadzili się stąd do bloków zamożniejsi, pozostali najubożsi, często starzy i samotni. Komisja Opieki Społecznej Rady Narodowej m. Łodzi wysoko oceniła pracę terenowych opiekunów społecznych w tej dzielnicy, samorządów nr 1, i...

Jednak dyrektor ZOZ Łódź-Górna, dr Benon Głuszkowski nie jest zadowolony z pracy Działu Służb Społecznych, zwłaszcza jego kierownika, choć żadnych konkretnych zarzutów

nie ma. Oplera się na jednym, ponoć brakuje mu właściwego przygotowania — magister historii, dyplomowany pedagog i felczer — to nie to. Zgoda, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej nie przewiduje wśród swoich pracowników magistrów historii, ale bywają i pozytywne wyjątki, do takich właśnie należy Zygmunt Paduch.

W odczuciu beneficjentów jest dobry, nawet chwała go! — powiedział szef opieki społecznej, wicedyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, Włodzimierz Petrenko.

Dziwić się też należy dyrektorowi Głuszkowskiemu, bo nie przeszkadza mu szef Działu Medycy i Organizacyjnego Łódź-Górna, również mgr historii, i to na stanowisku wymagającym wyłącznie obsady lekarskiej, natomiast razi go historyk i felczer w opiece, i — co najważniejsze — doskonale radzący sobie z ludźmi i pracą. Ogłoszono nawet już konkurs na jego stanowisko, taki sam, jak na wakującą posadę ordynatora oddziału szpitalnego, choć w opiece raczej konkursów się nie praktykuje, tym bardziej, że w tym konkretnym przypadku wakat nie ma, człowieka zaś denerwować i zgnieć można...

Życie zawodowe mgr Zygmunta Paducha, bez reszty oddanego ludziom, nie jest łatwe. Może właśnie przyczyną niepowodzenia jest to jego autentyczne zaangażowanie... Gdy pracował w tymże ZOZ jako etatowy sekretarz POP, ta sama cecha jego charakteru przeszkadzała przełożonym, był niewygodny, za dużo chciał dla ludzi, mieszał się w „nie swoje sprawy”. Za karę chyba, jako jedyny wśród dzielnicowych szefów opieki społecznej w Łodzi ma tytuł kierownika Działu Służb Społecznych, podczas kiedy inni, zgodnie z przepisami, są wicedyrektorami ZOZ. A przecież nie o tytuł tu chodzi! Sprawy ludzi załatwia się w różnych urzędach, instytucjach, nierzadko interweniuje się u dyrektorów zakładów. Inaczej jest, gdy o jakiegoś tam beneficjenta zbierze kierownik działu, z dyrektorem rozmawia się jak równy z równym i z miejsca skutek jest lepszy... Śmieszne, lecz swojskie.

Potrzeby opieki społecznej są ogromne. I tylko tam, gdzie ludzie pracujący w niej zawodowo są naprawdę zaangażowani, można coś zdziałać, bo przepisy w myśl których funkcjonuje są przestarzałe, z roku 1923, niezyciowe! Najwyższy czas, aby resort pomyślał o nowej ustawie. Po co dociekliwi mają „głódkować” jak by omijać, aby pomóc potrzebującym. Rozważanie środowiska też jest kiepskie i fakt, że na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy wzrosła liczba pracowników socjalnych, pozwala mieć nadzieję, że sytuacja się poprawi, zwłaszcza na wsi, która jest pod tym względem bardzo zaniedbana. Należałoby wciągnąć do współpracy naczelników — chyba też ustawowo — dotychczas odpowiadają tylko za produkcję rolną, ludzkie sprawy niewiele ich interesują. Tylko nieliczni dobrowolnie współpracują z opieką społeczną. Wycofywanie się zakładów pracy, zupełny brak zainteresowania społeczeństwa sprawią, że ci najbardziej potrzebujący pozostają na uboczu. Pomoc i paczki trafiają do ludzi, którzy szukają wsparcia gdzie się da. Stąd dużo produktów żywnościowych, pochodzących wyłącznie z darów: odżywek dla dzieci, mleka w proszku znajduje się na czarnym rynku. Sprzedający odejmują je od ust własnym dzieciom, zamieniają na pieniądze, potem na alkohol...



Foto: Mirosław Zajdler

Chwyciła stojący garnek i uderzyła nim matkę w głowę. Potem drugi raz. Garnek się potłukł. Matka przebiegła kilka kroków. Upadła w pokoju, w pobliżu stołu, pod ścianą. Monika, która w nim spała obudziła się i zaczęła krzyczeć.

O tym co było dalej Anita Matracka opowie: — Moim zdaniem dziecko widziało moment, kiedy matka upadła. Uspokoiłam je, nachyliłam się nad matką i długo patrzyłam. Zauważyłam, że nie oddycha. Zapaliłam papierosa i nie myślałam o niczym. Ktoś zaczął walić do drzwi. Dziecko coś mówiło i osoba, która była za drzwiami orientowała się, że ktoś jest w domu. Ale ja nie otworzyłam.

Monika zauważyła krew. Powiedziała, że „babcia się skaleczyła”. „Sprzątnij to” — powiedziała jeszcze.

Zaciągnęłam zwłoki matki do łazienki i zaczęłam zmywać krew w pokoju. Nie pamiętałam się używać środków chemicznych. Potem zaczęłam się dzieckiem. Nie myślałam jeszcze wtedy co zrobić ze zwłokami matki.

Tego dnia nie wychodziła z domu. W późnych godzinach popołudniowych zjawiała się teściowa, której o zdarzeniu nie powiedziała. Teściowa pytała ją tylko o matkę. Odpowiedziała, że chyba gdzieś poszła.

Tę nocy nie spała. Nie zaglądała też do łazienki.

Następnego dnia dziecko zaprowadziła do teściowej. Wróciła do domu.

— Myślałam, że przebieje się nożem. Usiadłam w łazience i patrzyłam na zwłoki.

Pomyślałam o usunięciu zwłok. Przypomniałam sobie opowiadanie kryminalne o usuwaniu zwłok po ich pochwytaniu. Wzięłam z łazienki noż, z którym w niej siedziałam gapiąc się na zwłoki matki. Zrobiło mi się jakoś dziwnie. Poszłam do pokoju i położyłam się na tapczanie. Chyba musiałam się zorientować. Wstałam, poszłam do łazienki i zaczęłam w wannie kroić zwłoki: od rąk, po kolei, wkoło. Jedynie w przypadku miednicy i kręgosłupa użyłam noża wykonanego z pilki do metalu. Włosy z głowy obciąłam.

Tego dnia jedynie rozkawałkowałam zwłoki. Od następnego — poszczególne części ciała, włącznie z głową, gotowałam w kotle. Uważałam, że tak będzie łatwiej oddzielić tkanki miękkie.

Od tego dnia zaczęłam wyrzucać razem ze śmieciami niewielkie ilości tkanek i kości. Rozkawałkowane zwłoki przechowywałam przez cały czas w kotle i w garnku stojącym na balkonie. Przez ten okres czasu w moim mieszkaniu byliśmy znajomi, rodzina. O niczym nie powiedzieliśmy. Na pytanie o matkę mówiłam, że chyba pojechała do babki do Płocka.

Od około tygodnia mieszkala u mnie koleżanka, Barbara L. Przyprowadziła się ona do mnie wraz z dwojgiem dzieci i z Ewarystem G., z którym zerwałam całkowicie 31 grudnia 1981 roku. Pogodziłam się bowiem z mężem, który mi wybaczył.

W tygodniu po zabójstwie przyjechał mąż. W chwili gdy pukał ona miała do wyrzucenia wnętrza matki. Przykryła je śmieciami, a rano natychmiast wyrzuciła...

Jeśli rozsądek zawiedzie jest jeszcze sumienie. Dotrzeć do sumienia i jądra psychiki człowieka — sprawy potwornego zabójstwa nie zawsze oficerom śledczym udaje się. Zresztą prawo dokonuje ścisłego podziału zakresu czynności i kompetencji. „Rozgrzybenie” psychiki sprawcy pozostawia się psychologom i psychiatrom, których przedmiotem zainteresowania jest całe jego życie. W życiu jest szukają oni punktu fatalnego, który wywarł wpływ na dalszy bieg życiowej ścieżki.

Opinia sądowo-psychiatryczna jest dla prokuratora, obrońcy i sądu niezwykle ważna. Ma bowiem znaczny wpływ na karę kwalifikację zbrodni, jak i wysokość kary.

Badania psychiatryczne Anity Matrackiej przeprowadzono najpierw ambulatoryjnie:

W Łodzi Anita Matracka mieszkała od 1981 roku. Do szkoły poszła w 7 roku życia. Uczyła się dobrze, nie chodziła na wagary, nie uciekała z domu. W Liceum Ogólnokształcącym nie miała trudności, ale nie chciała jej się uczyć. Często wagarowała. Raz uciekała z domu na kilka dni.

Podjęła naukę w 2-letniej szkole pomaturalnej, zdobywając zawód technika ekonomisty.

Liceum i szkołę pomaturalną kończyła w trybie wieczorowym, gdyż w tym czasie pracowała w „Społem”. Poszła do pracy, gdyż chciała się usamodzielniczyć. Dawało jej to pieniądze, satysfakcję i większą swobodę. Z faktu pójścia do pracy matka nie była zadowolona, bo straciła w pewnym sensie nad nią kontrolę.

Gdy uczyła się, matka nie pozwalała jej przyjmować koleżanek i kolegów. Z trudem wypuszczała ją z domu. Ignorowała jej życie osobiste.

Czasami próbowała dyskutować z matką na ten temat, ale nie dawało to żadnych rezultatów.

Ojca znała bardzo mało. Gdy miała 2 lata rodzice zaczęli żyć w separacji. Gdy miała lat 10 nastąpił rozwód. Ojciec nigdy nie widywał się z nią, ani nie odwiedzał. Była mu zupełnie obcą.

Matka miała jednego kandydata do małżeństwa, ale sprawa ta „nie wyszła”, gdyż on nie odpowiadał jej poziomem — jak twierdziła.

Matce zwierzała się ze swoich problemów tylko do pewnego czasu, gdy zaczęła „przekreślać fakty tak jak jej się to podobało”.

Mąż jest dwa lata starszy od niej. Wyszła za niego przed 3 lata. Pożycie układało się dobrze, jeśli matka nie wtrącała się. Prowokowała sceny z byle powodu, wtrącając się do ich osobistego życia.

W cztery miesiące po ślubie urodziło się dziecko.

Wkrótce potem mąż zaczął pić alkohol. Twierdził, że już nie może dłużej wytrzymać w domu, a taka atmosfera jest nie do zniesienia.

Zaczęli starać się o mieszkanie.

Postanowili wyjechać do Kamienia Pomorskiego. Nie zdążyli, bo mąż poszedł do wojska.

Przez pewien czas było dobrze, a potem zaczęło się wszystko od nowa. Matka zarzucała jej, że źle wychowuje dziecko.

Przekrój

WACŁAW OPACKI

W 1981 roku poznała mężczyznę, w którym się zakochała. Wynajęła mieszkanie, a dziecko zawiązała rodzinie w Warszawie. Powieściła o wszystkim mężowi, z którym ustaliła, że wezmą rozwód.

Matka była niezadowolona, że związała się z innym mężczyzną. Często krzyczała na nią, że „jest wariatką i niespełna rozumu”. Potem chciała, żeby wzięła jednak rozwód i wróciła do domu z dzieckiem.

Rzadko zapraszała do siebie gości, zwykle za zgodą matki, która po pół godzinie demonstracyjnie wychodziła i wykonywała prace oomowe, mówiąc głośno, że powinna zająć się domem i dzieckiem, a nie pić herbatkę z gośćmi.

Od pewnego czasu matka chodziła z nożem po przedpokoju i mówiła, że ją zabije, lub inaczej: „że ją załatwi, umieści w szpitalu wariatów, zabierze jej dziecko, gdyż jest niewłaściwie wychowywane”.

W dniu 22 lutego wstała rano. Matka także była na zwolnieniu. Ona czuła się dobrze. Przed południem prała, robiła na drutach.

Matka była głodna i żądała obiadu. Krzyczała na cały dom i groziła, że zabierze jej dziecko. Obrzucała wulgarnymi słowami. Groziła domem wariatów.

Była bardzo zdenerwowana i powiedziała wtedy do matki, żeby lepiej przestała, bo to może się źle skończyć.

Matka złapała ją za ubranie i usiłowała wyrzucić z kuchni. Wtedy garnkiem uderzyła w jej głowę. Matka pobiegła do pokoju i tam upadła. Krwawiła. Obudziło się dziecko.

Zaniosła dziecko do kuchni, wróciła do matki i na nią patrzyła. Tak siedząc uspokoiła się. Potem ciało zaciągnęła do łazienki, żeby dziecko na nie nie patrzyło. Zmyła krew. Potem usiadła z dzieckiem na tapczanie. Nie wiedziała, jak długo to trwało.

— Położyła dziecko spać i siedziała przy nim całą noc.

Myślała o samobójstwie.

Na pogotowie nie dzwoniła, bo matka nie żyła i wiedziała, że to nic nie da. Postanowiła dlatego pozbyc się zwłok.

Około północy wstała z łóżka i poszła do łazienki. Wzięła z półki kocioł, który służył do mycia naczyń. Włożyła do niego zwłoki matki. Woda była zimna, ale nie chciała jej się uczyć. Często wagarowała. Raz uciekała z domu na kilka dni.

W tygodniu po zabójstwie przyjechał mąż. W chwili gdy pukał ona miała do wyrzucenia wnętrza matki. Przykryła je śmieciami, a rano natychmiast wyrzuciła...

Jeśli rozsądek zawiedzie jest jeszcze sumienie. Dotrzeć do sumienia i jądra psychiki człowieka — sprawy potwornego zabójstwa nie zawsze oficerom śledczym udaje się. Zresztą prawo dokonuje ścisłego podziału zakresu czynności i kompetencji. „Rozgrzybenie” psychiki sprawcy pozostawia się psychologom i psychiatrom, których przedmiotem zainteresowania jest całe jego życie. W życiu jest szukają oni punktu fatalnego, który wywarł wpływ na dalszy bieg życiowej ścieżki.

Opinia sądowo-psychiatryczna jest dla prokuratora, obrońcy i sądu niezwykle ważna. Ma bowiem znaczny wpływ na karę kwalifikację zbrodni, jak i wysokość kary.

Badania psychiatryczne Anity Matrackiej przeprowadzono najpierw ambulatoryjnie:

W Łodzi Anita Matracka mieszkała od 1981 roku. Do szkoły poszła w 7 roku życia. Uczyła się dobrze, nie chodziła na wagary, nie uciekała z domu. W Liceum Ogólnokształcącym nie miała trudności, ale nie chciała jej się uczyć. Często wagarowała. Raz uciekała z domu na kilka dni.

Podjęła naukę w 2-letniej szkole pomaturalnej, zdobywając zawód technika ekonomisty.

Liceum i szkołę pomaturalną kończyła w trybie wieczorowym, gdyż w tym czasie pracowała w „Społem”. Poszła do pracy, gdyż chciała się usamodzielniczyć. Dawało jej to pieniądze, satysfakcję i większą swobodę. Z faktu pójścia do pracy matka nie była zadowolona, bo straciła w pewnym sensie nad nią kontrolę.

Gdy uczyła się, matka nie pozwalała jej przyjmować koleżanek i kolegów. Z trudem wypuszczała ją z domu. Ignorowała jej życie osobiste.

Czasami próbowała dyskutować z matką na ten temat, ale nie dawało to żadnych rezultatów.

Ojca znała bardzo mało. Gdy miała 2 lata rodzice zaczęli żyć w separacji. Gdy miała lat 10 nastąpił rozwód. Ojciec nigdy nie widywał się z nią, ani nie odwiedzał. Była mu zupełnie obcą.

Matka miała jednego kandydata do małżeństwa, ale sprawa ta „nie wyszła”, gdyż on nie odpowiadał jej poziomem — jak twierdziła.

Matce zwierzała się ze swoich problemów tylko do pewnego czasu, gdy zaczęła „przekreślać fakty tak jak jej się to podobało”.

Mąż jest dwa lata starszy od niej. Wyszła za niego przed 3 lata. Pożycie układało się dobrze, jeśli matka nie wtrącała się. Prowokowała sceny z byle powodu, wtrącając się do ich osobistego życia.

W cztery miesiące po ślubie urodziło się dziecko.

Wkrótce potem mąż zaczął pić alkohol. Twierdził, że już nie może dłużej wytrzymać w domu, a taka atmosfera jest nie do zniesienia.

Zaczęli starać się o mieszkanie.

Postanowili wyjechać do Kamienia Pomorskiego. Nie zdążyli, bo mąż poszedł do wojska.

Przez pewien czas było dobrze, a potem zaczęło się wszystko od nowa. Matka zarzucała jej, że źle wychowuje dziecko.

W czasie popełnienia czynu była trzeźwa. Alkohol po raz pierwszy wypila w 16 roku życia. Potem okazjonalnie, ale zawsze w towarzystwie, najczęściej piła piwo. Po jednym dniu picia miała zwykle wstręt do alkoholu. W stanie nietrzeźwym była spokojna. W poradni odwykowej nie była.

Dużo o wszystkim co robiła — myślała. Teraz żałuje, że wtedy nie opanowała się.

Żałuje, że zabiła matkę.

Jest osobą nerwową. Gdy była zdenerwowana nikt nie starał się jej zacześć. Kłóciła się z matką, ale potem tego żałowała i było jej przykro. Będąc w szkole średniej po jednej z rodzinnych awantur usiłowała popełnić samobójstwo przez podcięcie żył. Była sama w domu, ale przypadkowo przyszła matka, która wezwała pogotowie.

W areście usiłowała także podciąć sobie żyły, lecz nieskutecznie.

W chwili zdenerwowania ma ucisk w gardle, bicie serca, mdłości. Zbiera jej się na wymioty. Potem następuje jakieś nierzeczywiste uczucie „jakby nie miała na sobie ciała”. Następnie apatia, która ustępuje po kilkunastu godzinach.

Nie wie dlaczego usiłowała zniszczyć zwłoki. Po prostu musiała się ich pozbyć. Czasami myślała, że może nikt o tym nie dowie się, czasami także miała ochotę zgłosić się na MO. Byłoby jej trudno zostać się z dzieckiem.

Choroby przebyte: pobyt w szpitalu...

Choroby weneryczne, urazy głowy — neguje. W dzieciństwie chorowała na dychawicę oskrzelową. Uważa, że jest chora psychicznie. Jest to wynikiem napadu wściekłości, dużej pobudliwości... Nie leczyła się, bo to zwykle szybko przechodziło. Zresztą poza domem zawsze była pogodna i roześmiana, tylko w domu była innym człowiekiem.

Tolerancja na alkohol nieco obniżona.

Badanie somatyczne. Blizny po samouszkodzeniach pod lewym okiem.

Badanie neurologiczne: bez objawów uszkodzenia centralnego układu nerwowego.

Czy jednorazowe badanie ambulatoryjne Anity Matrackiej pozwoliło ustalić ten fatalny punkt, który wywarł wpływ na dalszy bieg życiowej ścieżki? Psychiatrzy doszli do wniosku, że nie. Wnioskowali więc o obserwację w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Polityka karna nie opiera się na emocjach, lecz na racjonalnych kryteriach.

W społeczeństwie cywilizowanym utarło się przekonanie, że agresja ludzi może być skierowana przeciwko każdemu, nawet przeciwko własnej matce.

Matkę chroni odwieczne tabu.

Uchronienie tego przekonania jest w interesie każdego społeczeństwa, w imię jego moralnego, psychicznego i fizycznego zdrowia, w imię zachowania jego biologicznego istnienia.

W świętej księdze południowych Indii pisze: Wszelkie krwawe ofiary odrzucaj z niesmakiem. Chęć Nieba żąda ofiary.

Nasz kodeks karny zna dwa rodzaje zabójstwa umyślnego. Pierwsze z nich to zabójstwo

zwykłe (art. 148 §2), drugie tak zwane uprzywilejowane, popełnione pod wpływem „sinego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami” (art. 148 §2).

W krótkim komentarzu Andrejewa do kodeksu karnego z 1970 roku wciąż jeszcze obowiązującego, pisze on, że silne wzburzenie jest wtedy, gdy łączy się z „porwywem uczuciowym, burzącym gwałtownie i z niezwykłą siłą równowagę psychiczną sprawcy”, zaś usprawiedliwione okoliczności są wtedy, gdy „czyn zasługuje na mniejsze potępienie moralne, jako reakcja w konflikcie z otoczeniem. Silne wzburzenie jest usprawiedliwione okolicznościami, gdy jest ono np. reakcją na ciężką krzywdę doznana ze strony osoby, na której życie sprawca się targnął”.

Oskarżonemu o zabójstwo z art. 148 §2 nie zagłada w oczy kara śmierci. Sprawcy grozi kara od roku do 10 lat pozbawienia wolności. W 1976 roku na 354 skazania za zabójstwo taką kwalifikację zastosowano 23 razy, w 1977 roku — 10 razy. Jest ona więc stosowana niezwykle rzadko.

Blizsze przyjrzenie się sprawie o zabójstwo dowodzi tego, że zazwyczaj tam, gdzie dochodzi do skutku śmiertelnego, prokuratura oskarża sprawcę z art. 148 §1, które jest zagrożone karą śmierci...

W powojennej historii było wiele podobnych spraw, które miały różny sądowy finał.

Sąd Najwyższy np. w wyroku z 22 marca 1958 roku stwierdził, że silne wzburzenie może być wynikiem nie tylko nagłej supremacji procesów emocjonalnych nad intelektem, lecz także może polegać na długotrwałym procesie psychicznym, opiewającym stopniowo w sposób narastający świadomość sprawcy, by go popchnąć w razie powtórzenia się prowokacji do dokonania czynu, do wykonania którego już się psychicznie nastawił.

Na konieczność rozróżniania sytuacji, gdy sprawca natychmiast zareagował na prowokacyjne zachowanie się osoby pokrzywdzonej od sytuacji, gdy odpowiedź na prowokację była wynikiem szczegółowego i precyzyjnego rozważenia aktu odwetu. W swojej pracy „Przestępstwa spowodowane w polskim prawie karnym” Krystyna Daszkiewicz pisze: „Nie powinno ulegać wątpliwości, że oceniając taką prowokację „powtórzoną” związać ją trzeba z kwestią kształtowania się przestępczego zamiaru. Na odmienną ocenę zasługuje sprawca przestępstwa spowodowanego, który tylko dlatego nie zareagował na pierwszą prowokację, że postanowił szczegółowo i precyzyjnie rozważyć akt odwetu i ten przemysłny odwet realizuje po następnej prowokacji, a na odmienną sprawca, który tylko dlatego zareagował czynem przestępczym na drugą prowokację, że poczuł krzywdę rosnącą od chwili pierwszej prowokacji stało się podłożem natychmiastowej, gwałtownej reakcji”.

W innej pracy „Przestępstwo z premedytacją” K. Daszkiewicz pisze, że tylko taka prowokacja stanowi podstawę przestępstwa uprzywilejowanego albo nadzwyczajnego złagodzenia kary, która spowodowała natychmiastowe działanie osoby spowodowanej podjęte z zamiarem nagiem. Działanie osoby spowodowanej, odpowiadające na prowokację po upływie dłuższego czasu, w warunkach, w których możliwe było przemysłne działanie, zasługuje może w konkretnej sytuacji na łagodniejsze potraktowanie jedynie w zakresie zwyczajnego wymiaru kary”.

Jeden z najbardziej znanych polskich sędziów Michał Kulczycki, bezpośrednio po ujawnieniu zabójstwa Danuty Orzechowskiej ujął dobitnie: — Szokująca wręcz jest kolejna obserwacja, dotycząca tła tragedii. W przeważającej części spraw zabójstwo było bowiem nieodwracalnym epilogiem, kończącym mniej lub bardziej długotrwałe ważne rodzinne, wzajemnie lub jednostronnie zawiązane i o różnym ciężarze gatunkowym. Przyczyny byłyby poważne bądź białe, począwszy od pretensji na tle majątkowym, aż do awantur o nie ugotowany obiad... Dla nas sędziów, którym przychodzi dramatycznie oglądać z bliska, trzy elementy są szczególnie wyraziste i skłaniają do refleksji.

Sędzia Kulczycki podkreślił szczególnie jeden z nich. A więc jak daleko sięgać ma ochrona poufności rodziny i egzekwowanie od członków moralnych i materialnych obowiązków wobec bliskich przez wykorzystywanie możliwości twarzanych tu przez prawo i represję karną? Przedwczesna ingerencja w życie rodzinne ze strony organów powołanych do ścigania przestępstw może przynieść opaczne skutki. Budzi zasadnione sprzeciw socjologów i prawników. Z drugiej zaś strony odwołanie się do ingerencji prowadzi do dramatów, a w ekstremalnych sytuacjach do nieodwracalnych tragedii...

Sprawa Anity Matrackiej wzburzyła umysły, na pewno też roznieciła emocje — po raz kolejny. Ktoś powiedział, że nie czyni są określane przez ludzi, ale czyni określają ludzi. Czyn popełniony przez Anitę Matracką ma jednoznaczny wymiar. Ale czy w takim samym wymiarze należy potraktować jego sprawcę?

Sąd oceni i odpowie niewątpliwie na to pytanie. Oczywiście konkluzja jego przemysłu będzie miała wymiar czysto prawny.

Czy osąd i ocenę należy pozostawić tylko sądom? Zabójstwo dokonane przez Anitę Matracką nie jest w swym charakterze wypadkiem tylko incydentalnym, o czym świadczy dane Biura Kryminalnego KG MO. Kiedy więc dołączamy się rzetelnej analizie naukowej uwagom psychologicznym i społecznym takich wypadków?

Czy sąd postawi po raz kolejny kropkę nad „i”, a sprawa otrzyma tylko swój numer ewidencyjny i statystyczny?



Rys. Janusz Szymański-Glane

1

Zdarzenia i zwierzenia

Taki jest świat...

Ktoś napisał niedawno na temat intencji i społecznych skutków intencji. Otóż mogą być one świetlane, ale ich społeczne skutki jak najgorsze: „Powstańcy listopadowi z XIX wieku porwali za broń, gdyż autonomia Królestwa Polskiego wydała się im zbyt kusa. W rezultacie unicestwili ją całkowicie, za co weszli do panteonu bohaterów narodowych. Kiedy przeminęło jedno pokolenie i ówczesny polityk Aleksander Wielopolski uzyskał przywrócenie samorządów lokalnych i Rady Stanu — usiłując w ten sposób odbudować autonomię Królestwa — próba ta została zniweczona przez Powstanie Styczniowe”.

Cytuję te słowa, choć być może są one uproszczeniem, ale przecież patrząc bez emocji — tak to wyglądało. Zresztą w tych kwestiach istnieje wiele rozbieżnych opinii bardzo wybitnych historyków. Na przykład znakomity historyk polski, po wojnie przebywający na emigracji, prof. Marian Kukiel głosił teorię, że Powstanie Listopadowe nastąpiło wskutek prowokacji tajnych organizacji francuskich — dla przeszkodzenia interwencji rosyjskiej na Zachodzie Europy.

Pogląd taki jest wielce prawdopodobny, jako że w istocie Mikołaj I zamierzał owa interwencję podjąć, aby położyć kres rewolucji we Francji i niepoległości Belgii. W początkach listopada 1830 roku podjęto nawet decyzję mobilizacji wojsk rosyjskich i polskich dla marszu na Zachód Europy.

Polska karta powstańcza miała tu zagrać w interesie francuskich karbonariów. A że później ta karta spłonęła w powstaniu? Świat się tym nie martwił.

Z kolei inni uczeni twierdzą, że to wszystko nieprawda. Kto ma rację — nie mnie sądzić. Faktem jest jednak, że świat pałcem nie ruszył, aby Polakom pomóc.

Po Powstaniu Styczniowym także pozostała nam piękna legenda zaklęta w grotgórskich sztychach, pozostała literatura sławiąca, rzeczywiste zresztą, bohaterstwo i determinację powstańców... Nie pozostało tylko w świadomości społecznej to wszystko co bez ofiar i krwi uzyskał Wielopolski dla Królestwa. A uzyskał odrębny rząd, nową ustawę szkolną, rozwiązanie sprawy chłopów, jakieś, jak to wówczas było możliwe — słowem jego realistyczna polityka zapewniła Polakom maksimum ustępstw, na jakie mógł pójść wtedy rząd carski.

I choć legenda Powstania jest powszechna — to przecież i w tej kwestii wielu historyków broni polityki margarety Wielopolskiego, nie tracąc zresztą z oczu jego bardzo wąskiej klasowej podstawy działania.

Tak czy owak wszystko skończyło się klęską. Nadzieje na pomoc Zachodowi — jak zawsze — okazały się ponne. Europa ograniczyła się do dyplomatycznych oświadczeń i solidarnościowej deklaracji Pierwszej Międzynarodówki. No cóż — taki jest ten świat.

Na oczach tego świata dziś armia Izraela wkracza sobie bezkarnie do Libanu, masakruje bombami stolicę — jak nie przypominając hitlerowcy Warszawę w Powstaniu — czołgi suna przez kraj, interwencji ogłaszają zawieszenie broni, którego oczywiście nie zamierzają respektować — śmierć, wojna, zniszczenie, tragedia całego narodu...

I cały ten piękny świat przygląda się tej masakrze, jak przyglądał się wielokrotnie innym podobnym wojnom. Gdzie

Indziej życie toczy się normalnie, gdy po libańskich drogach toczą się czołgi.

Oczywiście politycy i propaganda obu stron wykonują jakieś ruchy — mniej lub bardziej pozorne, ale w Libanie nie ubywa od tego trupów i zniszczenia.

Silniejszy zaatakował słabszego — i proszę! — świat się nie zatrząsł w posadach. Czy to pierwszy raz obce wojska wchodzą do cudzego kraju? Czy mało mieliśmy ostatnio takich zdarzeń? Co najwyżej świat powiedział parę frazesów o humanitaryzmie i pokoju.

A tam się pali, leżą bomby, suną czołgi... Tak było również w Polsce w 1939 roku. Anglia robiła gesty bez znaczenia, Francja wołała, że nie będzie umierać za Gdańsk. Taki jest świat.

Wróćmy jednak do intencji i ich skutków. Dziecko zrywa rosnące na balkonie kwiaty, aby ich bukiet ofiarować mamie. A potem się zdziwi, że mama się złości — bowiem dziecko nie pojmując, że zniszczyło coś trwałego, na rzecz bukietu, który jutro zwiędnie, intencja dziecka była piękna — skutki niszczące.

Potem dzieci dorastają i mądrzeją. Choć nie wszystkie i nie zawsze.

JERZY WILMAŃSKI

2

Reforma na własny użytek

Pieniądże miewałam, zanim zaczęłam pracować. Niekiedy były to sumy, jak na owe czasy, znaczne, sięgające kilku tysięcy złotych. Ich wydawanie stanowiło czystą przyjemność, kupowałam tylko to, na co akurat miałam ochotę, nie zastanawiając się czy nowy nabytek jest potrzebny, czy też nie, i na jak długo wystarczy mi zarobiona dorywczo, np. w studenckiej spółdzielni, kwota. O znalezienie środków na wydatki konieczne martwił się rodzice. Sytuacja zmieniła się wraz z pierwszą pensją, która musiała wystarczyć do pierwszego następnego miesiąca. Niestety, już około 20-go okazało się, że będzie to bardzo trudne. Mogłam oczywiście poprosić rodziców o bezwrotną pożyczkę, ale wstyd. Zaczęłam więc liczyć. Dojazd do pracy dwoma autobusami i z powrotem — 6 zł. Za tę sumę można kupić „Sporty” (wówczas 3,50 zł), dwie bułki (razem 1 zł) i 10 dek białego sera (krajanka chuda po 12 zł za 1 kg). Do następnego wypłaty przeżyłam i natychmiast po jej otrzymaniu kupiłam zeszyt w kratkę do prowadzenia domowej księgowości, sądząc, że w ten sposób uda mi się uniknąć w przyszłości sytuacji zmuszającej do drastycznego wyboru: jeździć autobusem czy też pokonywać kilka kilometrów dziennie pieszo, ale za to jeść i palić. Od tamtej pory zeszyt towarzyszy, z przerwami, do dziś. Pojawia się, gdy trudno znaleźć koniec z końcem, natomiast wraz z poprawą mojej sytuacji finansowej wędruje na dno szuflady. W ostatnim czasie został znowu wygnany. Przeglądając stare notatki, zauważyłam pewną prawidłowość

— moja własna, domowa gospodarka stanowi w pewien sposób odbicie sytuacji w gospodarce krajowej, co zapewne nie jest wyłącznie dziełem przypadku.

Najpierw było trudno. W sklepach towary tylko najpotrzebniejsze, w niewielkim wyborze. Rodzinny dochód na dwie osoby wynosił 4.000 zł. Starczało na podstawowe wydatki, a nawet na drobne rozrywki, ale wymagało to przestrzegania pewnego reżimu finansowego, w czym pomagał wspólny zeszyt. Potem nastąpił, pozorny przynajmniej, gospodarczy boom. W sklepach hiszpańskie buty, francuskie kosmetyki, szwajcarskie czekolady. Za granicą — długi. Nowe licencje, nowe hale produkcyjne. Rozbudowany ponad miarę front inwestycyjny. W bankach zaciągnięte kredyty, których nie ma czym spłacić.

W domu nowe meble, większa lodówka, wczasy nad Bałatonem. Pensja wyższa, ale potrzebny jeszcze wędlny dywan, serwis i wiele innych rzeczy. Nie starcza na wszystko, ale kupić trzeba. Pożyczka z pracy, pożyczka w banku. Więcej mam, więcej wydaję, ale... znowu trzeba wyciągnąć zeszyt. Zapiski z tego okresu są nie tylko ilościowo, ale i jakościowo różne. Zamiast „Sportów”, wtedy już po 8 zł — „Marlboro” po 28, a wkrótce po 40 zł. Zniknęła pożyczka — bilety i takśówki, pojawiła się natomiast nowa — benzyna. Druga połowa lat 70-tych, do pierwszego znowu trudno dociągnąć, czyli w mojej gospodarce gorzej. Z drugiej strony widać jednak i postęp — przecież wiele tzw. dóbr trwałych przybyło.

Potem nastąpił okres spłacania długów, więc przez wiele miesięcy zapisywałam wydatki bardzo starannie. Wreszcie osiągnęłam to, o czym marzą księgowi: bilans wypadł na zero. Nastąpił krótki okres wytchnienia aż do tego roku, gdy zeszyt znowu okazał się potrzebny. Tym razem to już nie nowe inwestycje, ale po prostu kryzys. Mój prywatny, stanowiący częstą ogólną. Jak z niego wyjść? Oczywiście poprzez reformę. W tym nadzieja naszej gospodarki, a także i moja. Tylko, że ja mam wielkie doświadczenie, bowiem w oparciu o zasady trzech „S” działałam już od bardzo dawna. Po kolei: samodzielność posiadania (oczywiście tak, jak jednostki gospodarce w granicach ustalonych przez prawo), co robić, decyduje sama, dyktuję żadnych „słuchów” nie muszę, nikt zresztą nie pragnie mi ich narzucać. Samorządność — z tym także nie mam większych problemów. Mój udział w zarządzaniu rodzinnym przedsiębiorstwem jest równy udziałowi pozostałych jego członków, nie podlega żadnemu bieżącemu nadzorowi, ani kontroli ze strony kogokolwiek. Można więc powiedzieć, że dwa „S” mam z głowy. Największą kłopot sprawą, podobnie jak wielu przedsiębiorstwom, trzecie „S”, czyli samofinansowanie. Działam w oparciu o ceny regulowane przez szefa, który nie da sobie wytłumaczyć, że nie pokrywają one rzeczywiste ponoszonych kosztów, bo na przykład zużywam dużo atramentu, który droży. Na kredyt płatniczy, nie mówiąc o obrotowym, nie mam co liczyć, bowiem żaden dyrektor banku, działającego według nowych, zreformowanych zasad, nie chce uwierzyć na słowo, że ja go spłace. Zwiększyć produkcję mogę, ale obawiam się, że nie będzie na nią popytu. Pozostaje więc jedyna droga: źródeł samofinansowania szukać wyłącznie we własnym zakresie. Próbuje to osiągnąć, między innymi, poprzez doskonalenie systemu zapisków w domowej buchalterii. Zeszyt podzielam na trzy rubryki: żywność, wydatki niezbędne oraz wydatki zbędne. Mam jednak trudności z kwalifikacją. Wiadomo — mydło jest niezbędne, ale alkohol? Niby zbędny skoro jednak jest na kartki, to znaczy, że mądrzejsi ode mnie uznali go za artykuł pierwszej potrzeby. Gdzie wpisać nową książkę, skoro kilka już mam, a poza tym są biblioteki? Do jakiej grupy zaliczyć prezent na imieniny teściowej? Takie i podobne dylematy pojawiają się ciągle zarówno w mojej gospodarce jak i w skali makro. Jeśli nie rozwiąże się ich w sposób właściwy, przyjdzie ogłosić plażę, czyli stać się ofiarą reformy. Jestem jednak dobrej myśli. Jak już wspominałam, w ramach trzech „S” funkcjonuje od dawna i niejednemu już kryzys udało mi się dzięki temu pokonać. Tylko spokojnie konsekwentnie i z zeszytem w ręku.

AGATA

3

Nagle zastępstwo

Cudowne zabawki XX wieku

Kiedy już kryzys objawił się w całej okazałości, kiedy przeszły nam mrzonki o drugiej Polsce i drugiej Japonii, kiedy już wiadomo na co nas stać, a raczej na co nie stać, coraz częściej staje się refleksja nad przyszłym modelem konsumpcji. Sprawa niebagatelna, bo model konsumpcji to także model cywilizacyjny, to społecznie akceptowany styl życia.

Była już taka dyskusja, były już takie refleksje — w naszym cokolwiek euforycznym, w przekonaniu, że „Polak potrafi”. Jak nie potrafi zrobić, to przynajmniej potrafi pożyczyc...

Przypominam sobie z tego okresu artykuł jakiegoś publicysty-marzyciela, który strzegł przed małym nasiadowniem Zachodu, ukazywał szansę uniknięcia niektórych niedogodności industrializacji — zanieczyszczenia środowiska, budownictwa wysokościowego, wybujałej motoryzacji indywidualnej. Proponował ów publicysta (nazwiska i tytułu pisma niestety nie pamiętam) aby zachodnią, kapitalistyczną cywilizację samochodową zastąpić na polskim gruncie „cywilizacją mieszkaniową”. Rozwijajmy dobrą, wygodną komunikację masową, budujmy dla niej szosy i tunele, ale ograniczajmy do niezbędnego minimum „samochodziarstwo indywidualne”. Pokażmy światu — tak sobie marzył — jak powinien mieszkać cywilizowany naród. Budujmy dużo, dobrze i różnorodnie — bloki, domki i wille, rozwijajmy przemysł meblarski i produkcję wszystkiego tego, co służy do wyposażenia i upiększenia mieszkań. Wytwarzajmy wręcz mieszkaniowy snobizm. Niech o nas świadczy nasze mieszkania, a nie nasze samochody.

Pięknie to było pomyślane, jakoś tak humanistycznie, socjalistycznie jakos...

Utkwił mi w pamięci ten artykuł, bo wiza mnie przekonawała, ale perspektywy realizacji nie dostrzegałem. Ot, że romans z przyszłością... Budownictwo jakie jest, każdy widzi, do tego Polak, potomek husarzy, szwależerów itp. ułanów zdążył już pokochać stalowego rumaka nad wyraz. Wszyscy dookoła, albo już mieli samochody, albo właśnie na nie ciuli, pogawędki męskie przedko schodziły z tematów politycznych i seksualnych na gaźniki, garaże, migacze, i — pardon — wały Cardana.

Gierkowska koncepcja samochodu dla każdego, choć przecież nierzeczywista, była jednym z najbardziej chwytliwych elementów ideologii „drugiej Polski”.

Sam należę do grupy (nie liczonej bardzo nie liczonej) działaków, którzy ani samochodów nie mają, ani ich pożądają. Nie będę wywodził dlaczego, bo i tak mi Czytelnik nie

uwierzy, jak zresztą nie wierzy mi nikt. Kiedy się zdradzę ze swą antysamochodową tobią słyszę w odpowiedzi: — „No tak, samochody drogie, brak części i benzyny, rozumiesz cię?”. Guzik mnie rozumie! Bo też rzecz jest do pojęcia trudna. Zostawmy zresztą moje dziwactwo na boku. Wróćmy do tematu.

Na tablicy ogłoszeń w za-przyjaźnionej instytucji widnieją anonsy, z którego wyczytać można, iż dyrekcja tej instytucji nie szczędząc sił i zabiegów zdobyła dla pracowników talon na jeden (słownie jeden) samochód osobowy marki „Lada” za jedyne pół miliona złotych. Mój znajomy, uposażony nieco lepiej niż średnia krajowa westchnął: — „Patrz, kurczę, to ma być samochód dla świata pracy!”. Nic nie zrozumiał, niczego się nie nauczył...

Po ubiegłorocznej podwyżce cen benzyny czytano w Tv list automobilistów, mniej więcej tej treści: „Mój „maluch” to marzenie całego życia i wynik wielu lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń całej mojej rodziny. Przez całe lata nawet dzieciom cukierków nie kupilem...”.

Cukierki są reglamentowane, benzyna jest reglamentowana, apetytów tylko nie sposób reglamentować...

Pewnie znowu będziemy szli w kierunku „cywilizacji samochodowej” według najgorszych, amerykańsko-zachodnioeuropejskich wzorów.

Ktoś nazwał samochód i kamerę filmową cudownymi zabawkami XX wieku. Można raczej z czynnikiem masowo produkować kamery?

ANDRZEJ KAROL

4

Snort

Chwała i... pieniądze

(oraz rozwiązanie konkursu!)

Ucichy już echa Mundialu. Teraz o 17 w telewizorze biega po górach dzielny Janosik. Piłkarze rozjechali się na urlopy. Jerzy P. nie wrócił jeszcze z kniei i szuwarów, gdzie wypoczywa i skąd nadysła listy korespondencji. W sporcie jakby wakacje. Nawet mistrzostwo Europy zdobyte przez pilota Krzysztofa Lenartowicza w lataniu precyzyjnym przeszło mało przez kogoś zauważone. Tylko „Lato z radiem” należy się uhonorować.

Można więc teraz w spokoju i powadze podeliberować sobie o tym, co było a minęło. Na początku — jak pamiętamy — były nikiel nadzieje, później pewne zwątpienie. Nawet Jerzy P. pomylił się w obliczeniach, a umysł ma on precyzyjny, szachowy przecież. Kalkulował, że polska drużyna wyjdzie na najbardziej pokojową, a wysła na srebrną. Mylenie się nie jest mu obce, bo w felietonie „Strategia na Espanie” uparcie nazywa mnie Bogną, choć powinien pamiętać, że piszę się Bogda. Róż-

nica niby drobna, a pomyłka istota. Mogę uznać, że wszelkie kalumnie rzucane na Bognę M. mnie nie dotyczą. I w ten sposób miałabym sprawę z głowy, alści Jerzy P. szargałam moje nazwisko, co czyniąc publicznie narażać się na odwet. W milczeniu obelg znosić przecież nie mogę. Przyjdzie jeszcze czas, że się na nim odegram. Teraz tego nie zrobię, bowiem nie lubię atakować nieobecnych. A Jerzy P. odpoczywa ciągle na krańcu Polski.

Radości było jednak dużo. Wierni kibice oczekiwali piłkarzy na Okęciu długo w noc. Głośno demonstrowali swoją radość z trzeciego miejsca, choć w punktowej tabeli — według dokładnych wycieżeń — Polska zajmuje drugie miejsce. Ale nie spierajmy się o punkty, już choćby dlatego, że jest to punktacją nieoficjalną. Antoniego Piechniczka witano transparentami „Ave Piechniczek” jak ongiś witano rzymskim cesarzom. Zresztą Antoni Piechniczek przemawiał do tłumów zgromadzonych przed jego domem, w Chorzowie przy ul. Wrocławskiej, z otwartego okna co się dziś rzadko komu zdarza.

Było, minęło. Teraz zaczęły się rachunki. W tygodniku „Piłka Nożna” z 13 lipca 1982 r. KAN zadaje pytanie „ZA ILE?”. Chodzi mu o to, że powszechnie jest wiadomym, iż piłkarze zarobili w Hiszpanii, że mieli premie za mecze i interesuje go „ile było tego szmalu”. Powiada on, że między nami zawodowcami takie sprawy powinny być jawne. I donosi, że RTS Widzew dostał za Zbigniewa Bonka 1800 tysięcy dolarów, Zbigniew Boniek 400 tysięcy dolarów, a miejsciecznie w Juventusie zarabiał będzie około 12 tysięcy dolarów. Teraz wszystko jest jasne, proste i nie ma powodów do plotek.

Otóż KAN się myli. Teraz dopiero zaczyna się plotki, przeliczenia na złotówki po różnych kursach domyśły: „co oni z tą forszą zrobili?”, teraz nagle Zbigniew Boniek będzie miał przyjaceli i kolegów, krewnych i znajomych, a w gruncie rzeczy to jego prywatna sprawa, ile zarabia. Jego i urzędu finansowego oraz banku, w którym na koncie będzie składał oszczędności.

Jest natomiast inna sprawa. To, w jaki sposób wykorzystane będą pieniądze, które polscy piłkarze zarobili w Hiszpanii, a które — jak powiedział Włodzimierz Reczek — pozwolą PZPN „działać samodzielnie przez co najmniej dwa lata”. I te pieniądze, a właściwie sposób ich wykorzystania powinny być poddane społecznej kontroli. Polska brała już trzy razy udział w mistrzostwach świata i reprezentacja jakieś tam fundusze przywoziła. W jaki sposób wpłynęły one na rozwój piłkarstwa w Polsce? Nie wiem, nie słyszałam. Czy powstał zapowiadany i potrzebny centralny ośrodek szkolenia piłkarzy? Nie powstał. Oto, co powinno interesować w pierwszym rzędzie kibiców piłki nożnej. Powinniśmy się zatroszczyć, aby tym razem pieniądze te nie zostały roztrwonione, aby dzięki nim rozwijało się piłkarstwo w Polsce. Rozwijało się z sensem i od podstaw.

A TERAZ, UWAGA! ROZSTRZEGNIĘCIE KONKURSU. Ogłosiliśmy swego czasu konkurs na odgadnięcie, kto zajmie 7, 9 i 11 miejsce. Otrzymaliśmy dwa rozwiązania. Jest to pełny sukces, a nawet więcej, bo liczyliśmy, że nie przyjdzie żadne. Odpowiedzi przyszły nieoficjalnie. Jacek Walczak typował: 7. Anglia, 9. Hiszpania, 11. Argentyna. Mirosław Weterle — 7. Anglia, 9. Austria, 11. Irlandia Płn. Natomiast rozstrzygnięcie jest następujące: 7. ZSRR, 9. Irlandia Płn, 11. Argentyna. Proszę porównać tabelkę opublikowaną w „Przeglądzie Sportowym” z 13 lipca 1982 r. W tej sytuacji nie wygrał nikt. I bardzo dobrze. Ale żeby nie było smutno naszym konkursowiczom wrzuciliśmy ich odpowiedzi do kosza, zawiazaliśmy słoćkę czy i kazaliśmy jej wycisnąć jedną odpowiedź. Nagrodę pocieszenia wylosował Jacek Walczak (Ede, ul. Napierskiego 8 m. 34). Nagrodę może otrzymać pan w redakcji albo wysłamy pocztą.

I to by było na tyle. Trzeba powoli szykować się na urlop. Dobrze, że raz do roku są wakacje.

BOGDA MADEJ

Aferzysta

EUGENIUSZ ŁASKI

Mężczyzna wszedł zdecydowanie do sekretariatu i bez słowa położył przed sekretarką bilet wizytowy. Był to niewielki kartonik prostokątny mający w górnym lewym rogu wizerunek kuli ziemskiej oplecionej elektrycznym przewodem, a na tym wielkie litery GE. Środek zajmował nadruk: GOFSTAR ENTERPRISE IMPORT & EXPORT MARIUSZ LOSAR TRADE MANAGER. W lewym dolnym rogu drobnymi literkami wybito: Abbeke SG 13 211 33 Malmö, Sweden Box 4089 203 12 Malmö 4 Sweden Telex 32 158 PUBTMLMF, zaś dolny prawy róg zajmował nadruk Contract in Poland 97-200 Tomaszów Maz., ul. Dzieci Polskich 5 m 20 Tel. 29-30 Telex 885315 m pol. pld.

Sekretarka zaczęła się denerwować. Usiłowała przypomnieć sobie bodaj jakieśkolwiek obce słowo, ale nie nie przychodziło na pamięć. Zaczęła więc się nerwowo przekładając rozłożone na biurku papiery i zaczęła niepewnie bąkać:

— Jawohl, merci, pażatujsta, ja zaraz...

— Nie trzeba — powiedział przybyły. — Można po polsku.

— Ufff! — sekretarka wyraźnie odetchnęła. — Pan dyrektor jest zajęty, ale myślę, że pana przyjmie. Jedną chwilczkę!

Znikła za drzwiami obitymi czerwonym ceratą. Przybył z ciekawością rozglądał się po pokoju, usiłując zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Znajdował się w sekretariacie dużego zakładu produkcyjnego, jednego z największych w kraju. Po raz pierwszy podejmował tak wielkie ryzyko i należało nie popełnić żadnego błędu.

Zjawiała się sekretarka i z czującą uśmiechem zaprosiła gościa do gabinetu dyrektora naczelnego. Jakby to było dobrze, pomyślała, gdyby zaproponował jej wspólne spędzenie wieczoru. Nie jest brzydki, dobrze się prezentuje, a przy tym zagranicą... To się czuje, ona widziała tu wielu takich. Byli uprzejmi, nie żalowali grosza.

Sekretarka wyjęła puderniczkę i zaczęła szybko poprawiać makijaż.

W taki oto sposób rozpoczął działalność superoszust MARIUSZ LOSAR, który w bardzo krótkim czasie zdążył oszukać aż 11 poważnych przedsiębiorstw, zarabiając na tym sporo, przede wszystkim w walutach wymienialnych, a owe przedsiębiorstwa narazając nie tylko na straty, ale dyskontując ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w polskim przemyśle, spółdzielczości i usługach.

CURRICULUM VITAE AFERZYSTY

Mariusz Losar urodził się w 1951 r. w Tomaszowie Mazowieckim. W szkole nauka mu nie szła, powtarzał klasy IV, V, VI. Najbardziej lubił wagarować. Był konfliktowy, popadał w zaciąg z nauczycielami i wychowawcami. W domu także już mieli dość wiecznych skarg i pretensji ze strony szkoły. Przynosił tylko wstydy. Ojciec, doprowadzony do rozpacz, powiedział kiedyś w bezzilnym gniewie, ale szczerze: — Odpadłeś od mojego serca, jak gówno!...

Mając jedenaście lat uciekł z domu do Gdyni, ale został zatrzymany. Po powrocie do Tomaszowa ponownie uciekł i ukrywał się jakiś czas na statku-przetwórnym, potem znajduje schronienie u niejakiego Zenona Szejka-Szejkowskiego. Trwa to dwa lata. Wraca do domu, kończy VI klasę. I znów Gdynia, potrzeba zmiany miejsca, życie z dnia na dzień. Nie może jednak się odnaleźć, odszukać swojego miejsca w społeczeństwie. Czuje się osamotniony, niepotrzebny. Wówczas rodzi się myśl o klasztorze. Udaje się do Generalicy Zakonu Paulinów, skąd kierują go do klasztoru w Częstochowie. Wytrzymuje miesiąc. Ucieka, zamierza stworzyć własną religię. Jeździ po kraju rozważać wyroby kultury religijnej. W tym czasie ma dziecko z jakąś kobietą...

Trwa taka włóczęga do wiosny 1971 r.

Umiął i lubił kłamać, chciał imponować, podawał się raz za zakonnikiem, to znów za pracownikiem radia i telewizji. W styczniu 1972 żeni się, a w marcu już pracuje w zielonogórskiej „Estradzie” jako organizator imprez artystycznych, w czerwcu tegoż roku zakłada własny zespół „Dylizans” przy Estradzie Łódzkiej. Potem trafia do Hydrobudowy 1, na krótko zahacza się w szpitalu miejskim w Tomaszowie Maz.

Droga Mariusza Losara wiedzie nie tylko przez różne instytucje, ale jest także wyznaczona przez kolejne wyroki sądowe. W 1968 r. sąd w Gdyni skazuje go na 8 miesięcy aresztu, w 1972 — odpowiada za przywłaszczenie cudzego mienia, w 1975 — zostaje osadzony na 2,5 roku w więzieniu i musi zapłacić 18 tys. grzywny. Odbывая karę jest jednocześnie więziony do innej sprawy karnej. Po wyjściu okazuje się, że prokuratura w Elku prowadzi przeciwko niemu śledztwo w sprawie sprzedaży przez niego i jego pierwszą żonę biletów na imprezy organizowane przez „Estradę”, których to imprez nigdy nie było. Ale tu szczęście po raz pierwszy uśmiechnęło się do Mariusza Losara: ogłoszono amnestię.

Bedąc w więzieniu wpadł na pomysł założenia w Polsce organizacji na wzór cosa nostra. Niestety, pomysł nie chwycił. Zaraz po opuszczeniu więzienia popadł w apatię, usiłował ze sobą skończyć, tyknął sporą ilość środków nasennych, ale został odratowany.

Prowadził niespokojny, niestabilizowany tryb życia. Pierwsza jego żona, Celina, nie wytrzymała ciągłego napięcia, wnosi sprawę o rozwód. Jako powód podaje, że Mariusz Losar posiada szerokie kontakty z homoseksualistami i kobietami lekkiego prowadzenia się. A przy tym, co to za mąż, który co parę miesięcy wędruje za kraty. Jak z takim cokolwiek planować, jak myśleć o przyszłości, o przyszłowym ognisku domowym?

Oczywiście jest to załadowanie skrótu bogatego życia Mariusza Losara. To wszystko, co czynił dotąd, było zaledwie wstępem, przymierzaniem się do tego, co miało niebawem nastąpić. Urodził się ze sprytem, włóczęgostwo nauczyło go samodzielności, więzienie dorzuciło do tego beczelność, pewność siebie i rozległą wiedzę o ludzkich charakterach.

GENIALNY POMYSŁ, GODNY OSTAPA BENDERA

Pomysł, który miał być pomysłem jego życia, jak wszystkie genialne pomysły, przyszedł nagle. A co jeśli stworzyć coś, co nigdy nie będzie istniało? Powołać firmę będącą wytworem wyobraźni z nieograniczoną nieodpowiedzialnością? W systemie przepisów, w gąszczu aktów prawnych może przecież egzystować hybryda, dziwoląg na wzór i podobieństwo istniejących firm, tyle że bez budynków administracyjnych, bez księgowości, wreszcie bez oficjalnego zezwolenia władz. Ale kto w Polsce zakwestionuje firmę zagraniczną, która chce przysporzyć nam dewiz?

Tak rodzi się „WYTWÓRNA ŁÓDZI ŻAGŁOWYCH I PRZETWÓRSTWO TWORZYW SZTUCZNYCH SEVA”.

Druga żona Mariusza, Anna, wykupuje kurnik w Olszowej, gmina Ujazd, woj. piotrkowski i wysłała do Polskiego Związku Żeglarskiego pismo, w którym prosi Związek o opinię, czy w obecnej sytuacji w Polsce jest celowe rozpoczęcie produkcji łodzi żaglowych, gdyż ona, posiadając odpowiednie warunki i kapitał, takiej produkcji chce się podjąć. Polski Związek Żeglarski jest zachwycony; wreszcie ktoś wpadł na pomysł rozwiązania problemu masowości Związku. Natychmiast wystawia Annie Losar zaświadczenia, że „na podstawie znajomości społecznego zainteresowania uruchomienie produkcji łodzi żaglowych z tworzyw sztucznych i drobnego osprzętu — jest bardzo celowe. Nadmieniamy, że Polski Związek Żeglarski jest zainteresowany dystrybucją wspomnianego sprzętu za pośrednictwem

powołanego przedsiębiorstwa — Zarząd Działalności Gospodarczej PZZ, Okręg Centralny z siedzibą w Tomaszowie Maz.”.

Na podstawie powyższego pisma Anna Losar otrzymuje od władz miejscowych zezwolenie na uruchomienie zakładu.

Mariusz Losar natychmiast zamawia w Łódzkich Zakładach Graficznych, Zakład nr 4 w Tomaszowie Maz. druki firmowe i wizytówki ze znakiem firmowym o brzmieniu: GOFSTAR ENTERPRISE IMPORT & EXPORT MARIUSZ LOSAR TRADE MANAGER. Zamawia także pieczęć: TRADE MANAGER MARIUSZ LOSAR. W aktach sprawy, a jest ich kilka tomów, druki firmowe są imponujące, co miało w przeszłości kapitalne znaczenie, bowiem wielu dyrektorów największych zakładów przemysłu bawełnianego w Polsce dało się nabrać na ich wyraziste piękno. Są to wykonane na kredzie druki, gdzie centralne miejsce zajmuje spłaszczona, kolorowa kula ziemiska, a na niej wielki, czerwony nadruk: SEVA. Obok podano adres, telex (który później okazał się po prostu telexem hotelu w Polichnie), numer konta NBP w Tomaszowie Maz., oraz Banku Spółdzielczego w Ujeździe.

VA BANQUE

Losar od razu idzie na całego. W pierwszym piśmie do Okręgowego Urzędu Telekomunikacji Międzyimiastowej w Łodzi (21 kwietnia 1981 r.) pisze: „Prosimy o zainstalowanie teluru wraz z budową linii dla potrzeb naszej firmy, która prowadzi działalność zagraniczną”. Podpis: Dyrektor handlowy — Mariusz Losar. Obok pieczęćka firmowa SEVY. Urząd Telekomunikacyjny wyraża zgodę, podając jednocześnie koszty i warunki korzystania z teluru.

W tym samym czasie, Anna Losar, jako dyrektor naczelny SEVY powiadamia Urząd Gminny w Ujeździe, że poczynając od dnia 21 sierpnia 1981 r. rozpoczyna produkcję artykułów z tworzyw sztucznych na zamówienie Jelczańskich Zakładów Samochodowych „Jelcz” do autokarów Berliet. Odbywa się równocześnie angażowanie pracowników do nowo powstałej firmy.

Jednocześnie rozpoczyna się szeroko zakrojona kampania wyłudzenia od zakładów, nawet nieraz zupełnie małych, surowców i artykułów przemysłowych. W sumie, jak ocenia Prokuratura Wojewódzka w Łodzi, Losar wyłudził towarów co najmniej na 1.300.000 zł. Wicypokurator Wojewódzki MARIAN NIESIŃSKI przedstawiając zarzut Mariuszowi Losarowi, pisze: „na przestrzeni 1981 r. w Łodzi i innych miejscowościach, posługując się blankietami nie istniejącej firmy „Wytwórnia Łodzi Żaglowych i Przetwórstwa Tworzyw Sztucznych „SEVA” w Olszowej, woj. piotrkowski wyłudził na szkodę Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej w Łodzi i kilku innych zakładów gospodarki państwowej pieniądze w kwocie ponad 1 miliona zł, w ten sposób, że stwarzając pozory kierowania współzestępnym przedsiębiorstwem na podstawie składanych zamówień, nabył w tychże zakładach produkcyjnych i innych placówkach gospodarki państwowej po cenach hurtowych znaczne ilości tkanin bawełnianych i włókoszowych w ilości ponad 100.000 m.b., które następnie odsprzedał po wielokrotnie wyższej cenie innym osobom — to jest o przestępstwo z art. 201 kk”.

Tyle prokurator. Ale jest to działanie cokolwiek spóźnione. Losar działał prawie rok, do swojej maszyny włączył sporo ludzi, całe działy w poszczególnych zakładach, zaangażował dyrektorów, kierowników, magazynierów, działy rachuby, transport itd. i nikt jakoś nie reagował, że zawierane umowy nie są realizowane, że na konto zakładów nie wpływają żadne pieniądze z firmy „SEVA”, że obciążone przez Losara zagraniczne kontrakty nie są realizowane. Dopiero 12 marca 1982 r. wysłano za Mariuszem Losarem list gończy. Wówczas się okazało, że Losar zniknął. Poszukiwania nie dały rezultatu. Ta wiadomość zaskoczyła

jego kontrahentów. Jakże to tak, przecież jeszcze nie tak dawno jego czerwony golf wjeżdżał na zakładowe parkingi, dyrektorzy wychodzili na jego spotkanie, częstowali kawą, ustalali dokładnie termin nadejścia z zagranicy potrzebnych im części do maszyn. A tu nagle nie ma! Przecież to niemożliwe, jakiś absurd, zły sen. Na miejscu w Olszowej stoi zaledwie barak z resztką jakichś chemikaliów i sprzętem do wytwarzania płytek ceramicznych. Gdzie jest Mariusz Losar? Co się stało z ich pieniędzmi?

Prawda była straszna: Mariusz Losar w przeddzień wprowadzenia w kraju stanu wojennego wyjechał do RFN. W Polskim Banku Kasa Opieki SA, Oddział w Łodzi, gdzie miał własne konto, na które nieraz dokonywał dziennie wpłaty 6 tys. dolarów, pozostawił zaledwie 0,50 centów i 0,22 pfenigi.

Jak to się stało, że wyjechał? To pytanie pozostaje na razie bez odpowiedzi.

PIERWSZY POŁÓW

Jelczańskie Zakłady Samochodowe w Jelczu k/Oławy od dawna poszukiwały kooperanta do produkcji elementów plastycznych do autobusu licencyjnego PR-110 (chodziło szczególnie o półki bagażowe). SEVA natychmiast zgłosiła się z ofertą, choć nikt w „Jelczu” nie sprawdził czy posiada ona osobowość prawną. Radość bowiem była wielka, bo oto znalazł się producent, który nie tylko że nie grymasi, ale podejmuje się natychmiast przystąpić do produkcji tak potrzebnych elementów dla autobusów międzyimiastowych, gdzie półki są nieodłącznym elementem wyposażenia.

Początkowo „Jelcz” zamówił partię próbną; 5 elementów poliestrowych. SEVA wywiązała się z zadania szybko i dobrze. Co prawda nadesłane 4 dodatkowe elementy okazały się trochę gorsze, ale nie zraziło to zleceniodawcy. W 1980 r. SEVA dostarczyła „Jelczowi” już 217 sztuk półek bagażowych, za co otrzymała 420.209 zł, bowiem SEVA określiła koszt jednej formy na ok. 60 tys. zł, na co „Jelcz” nie bardzo się godził, więc SEVA trochę opuściła i wyraziła gotowość produkować półki dla „Jelcza” w cenie 30 tys. zł od jednego oprzyrządowania. Tak więc cena jednej półki została ustalona na 3.226 zł.

Jak wspominałem „Jelcz” był w trudnej sytuacji: musiał mieć zabezpieczoną produkcję autobusów PR-110 w wersji międzyimiastowej. Plany groziły zawaleniem, ludzie straciliby zarobki. W tej sytuacji podjęto decyzję zlecającą SEVIE dalszą produkcję półek.

Niestety, SEVA, nie wywiązała się z podjętych zobowiązań. W „Jelczu” zaczęły się niecierpliwić. Idą do Olszowej monity i poganienia. Bez skutku. SEVA milczy. Wówczas „Jelcz” decyduje się na krok desperacki i ostateczny: wysłała notę obciążającą SEVĘ sumą 226.404 zł. Ale stało się to dopiero 21 kwietnia 1982 r., kiedy firma SEVA już nie istniała.

POLOWANIE NA JELENI

Wróćmy raz jeszcze do roku 1981. Mariusz Losar wiedział, że tkaninę flanelową posiadają Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”. Nadal procentuje mistyfikacją, gdyż ludzie wierzą bezgranicznie firmowym papierkom i stemplom. SEVA wysłała więc do „Uniontexu” zamówienie na sprzedaż „tkaniny bawełnianej dwustronnie drapanej 90 cm szer. w ilości 20.000 mb”. Zamówienie podpisuje dyrektor Anna Losar, dyrektor handlowy — podpis nieczytelny. Dyrekcja wyraża zgodę. Losar natychmiast odbiera 22 tys. mb, za co winien był zapłacić „Uniontexowi” 98 tys. zł. Czas mija, nikt dość długo nie interesuje się dlaczego nie nadchodzi przelew, dlaczego firma SEVA nie płaci. W końcu zostają powiadomione organa ścigania. Milicja stwierdza, że w Ujeździe nie ma żadnej firmy SEVA, jest natomiast chałupniczo prosperujący zakład „Przetwórstwo Tworzyw Sztucznych” prowadzony przez Annę Losar.

Metoda oszukiwania była wszędzie podobna. Najpierw przychodziło pismo, gdzie figurowało zdanie, że transakcja dotyczy „współpracy gospodarczo-handlowej pomiędzy zakładami”. Później zjawiał się pan czerwonym golfem i przedkładał wizytówkę (albo taką, jaką opisałem na wstępie, albo inną, na której figurował jako „Pełnomocnik do spraw polonijno-zagranicznych działalności gospodarczo-handlowej w Polsce”), długo konferował z dyrektorem, w końcu otrzymywał to co chciał. Tak też było z Instytutem Chemii Przemysłowej — Zakład Doswiadczeń Silników w Nowej Sarzynie. Losar naciął szacowaną placówkę na 257.181 zł plus odsetki 18 procent. Po prostu zwrócił się z pismem na firmowym blankiecie SEVY o sprzedanie mu polastosiłu M-56, polastosiłu M-33, katalizatorów OL-1, silnik M-11, silnik 0. I mimo tego że Losar nie zapłacił w terminie, Instytut Chemii nadal prowadził z nim korespondencję, nawet mimo tego, że NBP w Tomaszowie Maz. wyraźnie napisał jako odpowiedź na żądanie zapłaty, że „zwrót, brak środków płatniczych” na koncie Losara. Wobec tego w kolejnym piśmie do SEVY pojawia się akcent pogroźkowy, że „w przypadku nie uregulowania tej przelewem sprawę skierujemy na drogę postępowania arbitrażowego”. W końcu takie postępowanie zostaje wszczęte 10 grudnia 1981 r. Ale jest ono co najmniej spóźnione o kilka miesięcy.

Losar „kooperuje” także z Wytwórczo-Usługową Spółdzielnią Pracy w Jędrzejowie, która we wrześniu 1981 r. wykonała i dostarczyła do SEVY pudła tekturowe na łączną kwotę 44 tys. zł. Kiedy przyszło do płacenia, bank zwrócił fakturę z adnotacją, iż płatnik nie posiada środków na koncie bankowym.

Ofiarą pozostały także Zakłady Wyróbów Obciążowych „Vera” w Łodzi, które na początku 1981 r. stanęły przed problemem co dalej? Brak dostaw materiałów z importu szacowany był na kwotę ca 405 tys. m. dzianin i mógł przynieść ogromne straty finansowe sięgające około 107 mln zł. Wtedy zjawiał się przedstawiciel SEVY. Dyrekcja uznała, że jest to w porę rzucone im koło ratunkowe. Już w oficjalnym piśmie SEVA pisze: „Zwracamy się do Was z uprzejmą prośbą o wyrażenie zgody na sprzedaż nam weluru brąz i ciemny brąz o szerokości 140 cm w zamian za zakup przez naszą firmę dla Was surowców z importu (najbardziej Wam potrzebnych) we wskazanych nam firmach zachodnich, w wysokości 10 proc. od sumy uzyskanej przez Was w wyniku eksportu waszego artykułu (weluru) do drugiego obszaru płatniczego. Powyższe surowce zostaną sprowadzone i zapłacone z naszych środków dewizowych”. W ślad za tym poszło zamówienie na „welur brązowy szerokości 140 cm — 50.000 m”.

Aby sprawę uprawdopodobnić Losar finguje teleksy. Otóż oficjalnie pyta holenderską firmę handlową o sprzedaż 1 tony Chemocarrieru jet. Z Rotterdamu nadchodzi wyczerpująca odpowiedź, z której wynika, że ów surowiec jest pakowany w beczki po 60 kg każda, a cena 1 kg wynosi 2,86 hfl (guldeny holenderskie). Należność należy przekazać na konto nr 539846414 do Algemeene Bank Nederland „Vera” daje się na to złapać. Pisze to SEVY 21.05.1981 r. „Zgodnie z Waszą propozycją zawartą w piśmie z dn. 11.05.81. uprzejmie prosimy o przelewanie 2.474,20 dolarów na konto: DOW Corning Europe Banque Bruxelles Lambert nr 310-0622500-40. Pieniądze te zostaną przeznaczone na zakup 1.000 kg śr. przeciwpieprzenia „Antifaon RD”. Podpis: Z-ca kier. Działu Zaopatrzenia Surowców i Dyr. d/s Administracyjno-Handlowych.

I tu ciekawostka: firma SEVA umowy dotrzymała, bowiem ZWO „Vera” środek zamówiony otrzymała. Mariusz Losar i tak zarobił na tej transakcji, gdyż nabył w „Verze” flanelę po cenach zbytu, a sprzedał ją po cenie detalicznej. Na czysto zagarnął 440 tys. złotych. Jednak w „Verze” uznano, że wszystko jest w najlepszym porządku i nikt nigdy nie sprawdził, czy transakcja zawarta została z przedsiębiorstwem czy też z osobą prywatną. Skoro jednak uratowano produkcję, nikt takimi drobiazgami nie zaprzętał sobie głowy.

Mariusz Losar w ciągu niedługiego czasu zdążył oszukać 11 poważnych przedsiębiorstw wyłudając od nich towary, surowce i półfabrykaty.

Ale o tym w następnym numerze.

Ze względu na dobro śledztwa nazwiska osób występujących w reportażu zostały zmienione.

Foto: M. Zajdler